

REDAGUJE
PROFESOR
JAN ŻARYN



W SIECI

Nr 5 (72)
MAJ 2019

CENA: 9,90 zł (w tym 8% VAT)

W SIECI

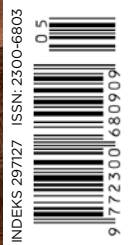
HISTORII

MIESIĘCZNIK O POLSCE,
HISTORII I KULTURZE



SYSTEM GRABIEŻY

TYSIĄCE POCIĄGÓW WJECHAŁO W GŁĄB NIEMIEC ZE ZŁODZIEJSKIM ŁUPEM



INDKS 297127 ISSN: 2300-6803

0 5

9 772300 680909

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • BAREŁKOWSKI • BIEDROŃ • FIJOŁEK • KARNOWSKI • KARNOWSKI • MAJEWSKI • OTOKA-FRĄCKIEWICZ • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:



CYFROWY
POLSAT

NA POZYCJI

196



NA POZYCJACH

339

dekoder
Mediabox

121

dekodery
KAON i Horizon



NA POZYCJI

32

N E T I A

NA POZYCJI

192

VECTRA

NA POZYCJI

825

POŁOŻENIE GEOGRAFICZNE CZY LUDZIE?

Położenie geograficzne Polski, od zarania dziejów, nie rozpieszczało nas. Skutki tego położenia odczuwamy zresztą do dziś. Jednym z nich jest stosunkowe ubóstwo w krajobrazie i w zasobach muzealnych, wybitnych dzieł architektonicznych czy kolekcji malarskich i bibliotecznych. I to nie dlatego, by nasi przodkowie nie dbali o rozwój kultury czy też nie chcieli budować pięknych zamków, dworów, fundować świątyń. Zamek w Ujeździe przetrwał bodaj kilkadziesiąt lat, gdyż został zniszczony doszczętnie przez Szwedów w połowie XVII w. Ci sami Szwedzi, plądrując Warszawę, wywieźli z niej bezcenne skarby, po latach łaskawie przekazując w darze 15-metrową rolę sztokholmską prezentującą – jak XX-wieczne kroniki filmowe – wjazd księżnej Konstancji Habsburżanki i Zygmunta III Wazy do Krakowa w grudniu 1605 r. Jeżdżąc swego czasu po Szwecji, widziałem od czasu do czasu jakieś dzieło dziwnie nadwiślańskiej proveniencji. Ile ich tam zostało? A przecież to nie Szwedzi nas najczęściej najeżdżali. Grabież dóbr polskiej kultury czy też mistrzów obcych, ale pozostających w posiadaniu polskich rodów arystokratycznych i ziemiańskich, w sposób szczególnie dotknęła naród polski w XX w. Najpierw nawałnica bolszewicka w latach 1919–1920, jak pisała o tym w „Pożodze” Zofia Kossak, przetoczyła się po Kresach, pozostawiając zgłiszczą i trupy, a potem w latach II wojny światowej i przez cały okres istnienia komuny za Bugiem ponownie Sowietnicy niszczyli polskie zabytki – dwory i pałace, zamki i kościoły kresowe, aż do końca, do ostatniego kamienia. Świadczą o tym zdjęcia przedwojenne i niemal dzisiejsze, z tych samych miejsc. Przeglądam piękny album „Kresowe rezydencje. Województwo wileńskie” Grzegorza Rąkowskiego wydane przez IPN. Str. 133 – Holszany. „Ruiny zamku po uprzątnięciu gruzu”; str. 229. Szemetowszczyzna. „Ruiny gorzelni dworskiej”; str. 346. Niemież. „Ruiny stajni” itd. To były czyjeś domy, to były kościoły przez kogoś fundowane! Jak niegdyś zamki nad Loarą, tylko że tamte stoją do dziś, jakże często są w tych samych rodzinnych rękach. Od wielu, wielu pokoleń. A tamci właściciele? Kto im odebrał prawo do podtrzymywania rodzinnej kultury?

Z kolei Niemcy, aczkolwiek krócej im było dane niewolić Polskę i jej dziedzictwo, czynili swą powinność zdecydowanie systematyczniej i celowo. Niszczyli bądź wywozili w latach 1939–1945 najcenniejsze dzieła stanowiące własność polską, w tym polskiego ziemiaństwa. Jak pisała Agnieszka Łuczak w „Utraconym decorum”: „Grabież ziemiańskich dóbr kultury polegała przede wszystkim na usunięciu dzieł sztuki i cennych przedmiotów z dworów i pałaców, a następnie rozmieszczeniu ich w rozmaitych niemieckich urzędach i instytucjach. Najcenniejsze obiekty trafiły do muzeów, gdzie znalazły się pod opieką niemieckich muzealników”. W samej Wielkopolsce potraktowano w ten sposób ponad 200 majątków, czyli rodzinnych domów, w tym pokaźny XVIII-wieczny dwór w Kruchowie k. Trzemesznej należący do moich dziadków, Zofii i Alfreda Jankowskich. Do dziś stoi i straszy swoim wyglądem. Położenie geograficzne przerwało ciągłość życia mojej rodziny w tym miejscu. Ci, którzy tam pracowali, by dom był pełen dóbr kultury i życia, nie taką dla pałacu i swoich wnuków widzieli przyszłość.

Nasze położenie geograficzne sprzyjało wrogom idącym na podbój w imię szaleństwa imperialnego lub ideologicznego, po trupach polskich i po gruzach powstałych z dzieł polskiej kultury.

Jakby ktoś planował ustawiczne zrywanie naszych więzów, sięgających przeszłych pokoleń. Nie tylko ludobójstwo i grabież temu służyły; także wypędzenia trwające w XX w. przez kolejne generacje. Pisała o tym pięknie, ale i zatrważająco, prof. Anna Pawełczyńska, posiłkując się wspomnieniami rodzinnymi; kolejne pokolenia kresowe od czasów rewolucji październikowej po rok 1945 musiały opuszczać spalone i odbudowywane z mozołem swoje domy, aż trafili po 1945 r. na ziemię tzw. odzyskane. By znów od początku, tym razem na obcej, poniemieckiej ziemi zaczynać od nowa. Za co ta kara?

Coś nas jednak podtrzymywało przy życiu – to pamięć rodzinna. Wiemy o grabieżach i wypędzeniach, o śmierci naszych najbliższych – o tych gałęziach drzew genealogicznych, które już nie wyrosły; wiemy nie tylko z podręczników szkolnych, wiemy, bo pamiętamy o losach swych najbliższych. Rodzina nasza, polska i dziś zostaje poddana zatrważającej próbie, zmasowany atak ideologiczny się już zaczął! Jego celem jest także zerwanie więzów. Ale to temat na osobny felieton.

JAN ŻARYN



FOT. ANDRZEJ WIKTOR

HISTORIA

Halka



10 HISTORIE RATOWANIA SKARBÓW KULTURY POLSKIEJ PRZED ZACHŁANNOŚCIĄ NIEMIECKICH I SOWIECKICH BARBARZYŃCÓW PRZYPOMINAJĄ HOLLYWOODZKIE KINO AKCJI W NAJLEPSZYM WYDANIU – PISZE MAREK SKALSKI

18 DWUSTULECIE URODZIN STANISŁAWA MONIUSZKI WINNO STAĆ SIĘ MANIFESTACJĄ, PRZYZNANIEM MU MIANA NARODOWEGO WIEŚCZA, OBOK CHOPINA, MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO, KRASIŃSKIEGO – POSTULUJE IRENA PONIATOWSKA

3 GŁOS NACZELNEGO
JAN ŻARYN

STO ODSŁON NA STULECIE

9 ZAWÓD: GENIUSZ. MARIA Z LABORATORIUM!
PROF. PRZEMYSŁAW WAINGERTNER

TEMAT MIESIĄCA

10 WYWIEŻĆ, ZABEZPIECZYĆ I UKRYĆ!
MAREK SKALSKI

13 GRABIEŻ DÓBR KULTURY POLSKIEJ 1939-1945
ANNA JAGODZIŃSKA

16 CO WYWIÓŻŁ KRÓL JAN KAZIMIERZ?
MAREK MADEJ

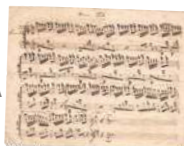
18 ROZŚPIEWAŁ POLSKĘ I ZACHWYCAŁ NA SCENIE
IRENA PONIATOWSKA

22 MONIUSZKI BIOGRAFIA (NIE)KONTROWERSYJNA
JACEK KOWALSKI

26 STANISŁAWA MONIUSZKI ŻYCIE I POTOMKOWIE
ELŻBIETA MONIUSZKO-JANOWSKA

28 Z RĘKOPISU ALEKSANDRA WALICKIEGO
JOANNA PUCHALSKA

31 NIEZNANY RĘKOPIIS NUTOWY MONIUSZKI – PO RAZ PIERWSZY W DRUKU



WEHIKUŁ CZASU

32 MAJ
MICHAŁ KOMUDA

SKARBY AGAD

36 WAZOWIE W POLSCE
JACEK KROCHMAL

POLSCY WYNAŁAZCY



38 POLSKI WKŁAD W ROZWOJ TECHNIKI (4)
BOLEŚLAW ORŁOWSKI

DUSZA KONTUSZA

42 WYBITNI PARLAMENTARZYŚCI – WALENTY ORZECZOWSKI
HENRYK LITWIN

FELIETONY

45 1941 – JAK ZAWSZE WOJNA O ROPĘ...
PAWEŁ SKIBIŃSKI

46 RZECZPOSPOLITA SOLIDARNA
GRZEGORZ GÓRNY

55 JAK KATOLIKÓW STRASZONO FASZYZMEM
MAREK JUREK

76 NIEMCY, FRANCJA, POPCORN...
RYSZARD CZARNECKI

76 POWRÓT KURIERA
PAWEŁ KOWAL

84 KSIĄŻKA, JAKIEJ NIE BYŁO
HUBERT MUSIAŁ

84 HISTORIA ŚPIEWAJĄCO
GABRIELA SIEROCIŃSKA-DEC

95 LIZBONA
ANTONI DUDEK

98 BOMBOWE MUZEUM
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

POLACY RATUJĄCY ŻYDÓW

47 NIEZWYKŁY KOŚCIÓŁ, NIEZWYKLI LUDZIE
JAN ŻARYN

50 „JESTEM MU WINNA WDZIĘCZNOŚĆ...”
MARIUSZ KRZYSZTOFIŃSKI

DAWNO TEMU

52 ROZTERKI PANA SAPIEHY
BARTOSZ STARĘGOWSKI

ZDARZYŁO SIĘ

56 KAT W SUTANNIE
ARTUR GUZICKI

59 KS. ROMAN GRADOLEWSKI: ZDRAJCA CZY OFIARA?
SEBASTIAN LIGARSKI

62 POWRÓT „MONTERA” DO KRAJU
MARIUSZ OLCZAK





FOT. MUZEUM DIECEZJALNE W PEŁUNIE, BIBLIOTEKA NARODOWA (X3), IPN

47

W CENTRUM STOLICY, PRZY KOŚCIELE POD WEZWANIEM WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH, KTÓREGO PROBOSZCZEM W CZASIE OKUPACJI BYŁ KS. PRAŁAT MARCELI GODLEWSKI, WIELKI BOHATER POLSKI WALCZĄCEJ, POWINIEN STANĄĆ POMNIK KU CZCI POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW - WSKAZUJE JAN ŻARYN

BITWA MIESIĄCA

**66 MONTE CASSINO
75 LAT TEMU**

MICHAŁ KARPOWICZ



ZIEMIAŃSTWO

**68 O PORTRET
„UPADŁEJ MADONNY...”**

AGNIESZKA ŁUCZAK



PRASPORT

**70 NAJDŁUŻSZY
BÓJ ZYGMUNTA
CHYCHŁY**

GRZEGORZ MAJCHRZAK

POLONIA

**73 O POCHWALE STANU
WOJENNEGO**

KRZYSZTOF TARKA

WŁADCZYNIĘ

**77 ŻONY KAZIMIERZA
WIELKIEGO**

MAREK BARAŃSKI

PEŁNA KULTURA

**76 ADOLF NOWACZYŃSKI
- PISARZ I PUBLICYSTA**

ARKADIUSZ MELLER

82 W KRĘGU KLIO

RAFAŁ ŁATKA

85 WOJNA NA EKRANIE

KAROL MAZUR

PUPILE HISTORII

86 BRACIA MNIEJSI

MAGDALENA SZCZEPANIAK

CZYM STRZELAĆ

87 DEWOITINE D.520

KACPER GROCHOCKI

DIABEŁ NIE MÓGŁ

88 MATKA ŚWIĘTEGO

JOANNA PUCHALSKA

SZLACHETNE ZDROWIE

**90 JEŚĆ ALBO NIE JEŚĆ
- OTO JEST PYTANIE**

KRZYSZTOF ŻARYN

TAJEMNICE AAN

**92 SZTAMBUCH
PANCERNIAKA**

KATARZYNA WYSOCZYŃSKA



NAC PREZENTUJE

**93 DAR SPÓŁDZIELCÓW
„SPOŁEM” DLA
WP W 1939 r.**

PIOTR NIEDZIELA

ZE ZBIORÓW MPW



**94 WIELKANOC
1945**

MICHAŁ TOMASZ
WÓJCIUK

HISTORIA OKŁADKI

96 NIEMIECCY ZŁODZIEJE

MICHAŁ KORSUN

OPOWIEŚCI IPN

**99 NIEMIECKIE HEŁMY
MILICJANTÓW**

KONRAD WIEŚLAW ŚLUSARSKI

ISSN 2300-6803

www.wsieci.pl

Redaktor naczelny: Jan Żaryn
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Karłowicz, Małgorzata Żaryn
Sekretarz redakcji: Krzysztof Kotowski
e-mail: redakcja@fratria.pl, tel. (22) 616 36 00
ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa

Stali współpracownicy:

Marek Barański, Ryszard Czarnecki, Antoni Dudek, Kacper Grochowski, Grzegorz Górny, Marek Jurek, Tomasz Karłowicz, Michał Komuda, Jarosław Kossakowski, Paweł Kowal, Jacek Krochmal, Henryk Litwin, Rafał Łatka, Piotr Mazurek, Joanna Puchalska, Gabriela Sierocińska-Dec, Paweł Skibiński, Andrzej Skwarczyński, Piotr Skwieciński, Magdalena Szczepaniak, Piotr Zaremba, Krzysztof Żaryn oraz IPN, MPW, AGAD, AAN i NAC

Współpracownicy:

Jarostaw Czubaty, Jerzy Dąbrowski, Iza Galicka, Grzegorz Grabski, Adam Hlebowicz, Zbigniew Hundert, Michał Janik, Piotr Kardała, Janusz Kotański, Artur Kubaj, s. Małgorzata Krupecka, Sebastian Ligarski, Agnieszka Łuczak, Piotr Łysakowski, Grzegorz Majchrzak, Łukasz Michalski, Waldemar Mierzwa, Wojciech Osiński, Tomasz Panfil, Andrzej R. Potocki, Maria Radożycka-Paoletti, Marcin Schirmer, Ewelina Steczkowska, Grzegorz Szymorski, Krzysztof Tarka, Przemysław Wajngertner, Jakub Witczak

Dyrektor artystyczny:

Michał Korsun, michal.korsun@fratria.pl

Studio graficzne:

Andrzej Skwarczyński (kierownik)
andrzej.skwarczyński@fratria.pl
Maciej Majtczak, Lidia Stowikowska,
Projekt graficzny: Michał Korsun
Fotoedytacja:
Anna Łabęcka, ania.labecka@fratria.pl,
Obróbka zdjęć: Tomasz Kieras

Wydawca:

Fratria sp. z o.o.
prezes: Romuald Orzeł
ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia
redakcja@fratria.pl, www.fratria.pl

Druk: LSC Communications Europe

Prenumerata wydania papierowego:
tel. (22) 616 15 70

www.wsieci.pl

prenumerata@fratria.pl

Regulamin oraz warunki prenumeraty
na stronie www.wsieciprawdy.pl
Wpłać za prenumeratę prosimy dokonywać na konto:

91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128,
81-472 Gdynia,

w tytule wpłaty wpisując pełne dane
adresowe od wysyłki oraz rodzaj prenumeraty

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji
papierowej oraz na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na
adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem
Obsługi Klienta pod numerem:
801 800 803 lub 22 717 59 59
- czynne w godzinach 7⁰⁰-18⁰⁰.
Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Dyrektor ds. Rozwoju Biznesu:

Katarzyna Marchewka
katarzyna.marchewka@fratria.pl

Biuro Reklamy:

reklama@fratria.pl
Paulina Kąkol - paulina.kakol@fratria.pl
Agnieszka Woźniak - agnieszka.wozniak@fratria.pl
Marcin Dąbrowski - marcin.dabrowski@fratria.pl

Kolportaż:

kolportaz@fratria.pl

**Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania i skracania tekstów.**

Copyright © Fratria Sp. z o.o.

Wszystkie prawa zastrzeżone
(włącznie z tłumaczeniem na języki obce).
Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Ogłoszenia i reklamy nie stanowią
materiału pochodzącego od Wydawcy.
Bezumowna sprzedaż numerów bieżących
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej
przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.



OKŁADKA: Koncepcja: Michał Korsun; Fot.: Andrzej Wiktor;
Charakterystyka: Klaudyna Pabuzińska-Kossel; Rekonstruktorzy:
Damian Parzeński, Piotr Owczarek, Maksymilian Prus, Adam Kozal
Podziękowanie dla Pana Wojciecha Fatkowskiego - dyrektora
Zamku Królewskiego w Warszawie, oraz Krzysztofa Nakoniecz-
nego za pomoc przy realizacji sesji fotograficznej. Podziękowania
dla Doroty oraz Jacka Danielów z „Kunszt Studio Oprawy”
za wypożyczenie ram na potrzeby sesji.

Na okładce wykorzystano „Portret królowej Jadwigi” Marcela
Bacciarelliego prezentowanego w Pokoju Marmurowym na Zamku
Królewskim w Warszawie oraz „Via Cassia Roko Rzym” Oswalda
Achenbacha ze zbiorów Muzeum Narodowego we Wrocławiu
(fot. www.dzialautraczone.gov.pl).



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Gala IV edycji konkursu „Patria Nostra”

25 marca w Centrum Olimpijskim w Warszawie odbyła się uroczysta gala rozdania nagród w ramach jednego z trzech tegorocznych finałów IV edycji konkursu historycznego „Patria Nostra”. Główną nagrodą była wycieczka do Brukseli na zaproszenie posła do Parlamentu Europejskiego Ryszarda Czarneckiego. Wszyscy uczestnicy konkursu otrzymali nagrody rzeczowe. Pierwsze miejsce zdobyli uczniowie z XLVI LO im. Stefana Czarnieckiego w Warszawie. Kolejne gale odbędą się już w kwietniu i maju w Krakowie oraz w Poznaniu. Łącznie w ramach IV międzynarodowej edycji konkursu wzięło udział ponad tysiąc uczniów z Mazowsza, Małopolski, Wielkopolski, a także młodzież polska z USA, Europy Zachodniej, Litwy, Białorusi, Ukrainy i Kazachstanu. Uczestnicy wykonali ok. 270 filmów i animacji związanych z historią Polski. Celem konkursu jest budzenie, rozwijanie i umacnianie postaw patriotycznych, a także propagowanie wiedzy o historii Polski. Prace konkursowe będą wyświetlane w miejscach publicznych na ekranach LED. Organizatorem przedsięwzięcia jest Fundacja Konkursu Historycznego „Patria Nostra”. Nad poprawnością merytoryczną prac czuwa rada programowa z prof. Janem Żarynem na czele.

Sadowne: w hołdzie Polakom ratującym Żydów

24 marca, w Narodowy Dzień Pamięci Polaków Ratujących Żydów, Instytut Pileckiego upamiętnił Marię, Leona i Stefana Lubkiewiczów zamordowanych przez Niemców w 1943 r. za niesienie pomocy żydowskim współobywatelom, a także mieszkańców Sadownego, którzy w czasie okupacji pomagali Żydom. Uroczystości okolicznościowe rozpoczęły się od mszy św. w kościele św. Jana Chrzciciela w Sadownem. Następnie przy ul. Mazowieckiej 11a została odsłonięta tablica upamiętniająca rodzinę Lubkiewiczów. W obchodach wzięli udział m.in.: premier Mateusz Morawiecki, wicemarszałek Senatu RP Maria Koc, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Magdalena Gawin, dyrektor Instytutu Pileckiego dr Wojciech Kozłowski oraz Teresa Olton, wnuczka zamordowanych bohaterów.

Przekazanie archiwum gen. Franciszka Kamińskiego do AAN

21 marca nastąpiło przekazanie do Archiwum Akt Nowych archiwum gen. Franciszka Kamińskiego, Komendanta Głównego Batalionów Chłopskich, współtwórcy Polskiego Państwa Podziemnego, jednego z przywódców niezależnego Polskiego Stronnictwa Ludowego, więźnia stalinowskiego. Przekazania dokonała córka generała – Zofia Kamińska. Pozyskany przez archiwum zbiór to niezwykle bogate źródło wiedzy dla historyków, nie tylko o osobie gen. Kamińskiego, ale również na temat Wojska Polskiego, ruchu ludowego, opozycji z lat 70. i 80., polityki rolnej w latach 90. Dużą część zbioru stanowią unikatowe fotografie, prasa, broszury oraz bardzo bogata korespondencja. Przekazane materiały wzbogacają zasób archiwalny zgromadzony w Archiwum Społecznym AAN.

Wokół Targów Wydawców Katolickich

W dniach 4–7 kwietnia w Arkadach Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie odbyły się XXV Targi Wydawców Katolickich. W ich trakcie miało miejsce spotkanie z autorami książek z serii Wydawnictwa Naukowego UKSW „W Służbie Niepodległej”, które poprowadził twórca serii prof. Jan Żaryn. Pod hasłem „Od bezhabituowanych zgromadzeń zakonnych do biskupiej mitry” dyskutowano o książkach autorstwa: Mileny Kindziuk, Jana M. Jackowskiego (tegoroczna Nagroda Feniksa za książkę wydaną w tej serii „Książd Jan Gnatowski [1855–1925] na tle epoki. Biografia historyczna”), ks. Macieja Smolińskiego i Moniki Ciosek.



FOT. EAST NEWS/TOMASZ KAWKA

Panteon Górnośląski: nowa instytucja kultury

25 marca w siedzibie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego został podpisany list intencyjny w sprawie powołania nowej instytucji kultury – Panteonu Górnośląskiego. Dokument założycielski sygnowali: wicepremier, minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, metropolita katowicki abp Wiktor Skworec, prezydent miasta Katowice Marcin Krupa oraz marszałek województwa śląskiego Jakub Chęłstowski. Panteon ma zostać otwarty w 2022 r. Celem przedsięwzięcia jest upamiętnienie setnej rocznicy powrotu do macierzy części Górnośląska, a także zasłużonych dla polskości tych ziem twórców, artystów, naukowców, polityków i żołnierzy. Nowa instytucja kultury będzie miała siedzibę w podziemiach Archikatedry Chrystusa Króla w Katowicach. Projekt budowlany, scenariusz i scenografia powstały dzięki finansowemu zaangażowaniu MKiDN oraz archidiecezji katowickiej.



Debata o relacjach polsko-rosyjskich w cieniu Katynia

4 kwietnia w Bibliotece im. Janusza Kurtyki w Warszawie odbyła się debata „Relacje polsko-rosyjskie a pamięć o zbrodni katyńskiej”, podczas której miała miejsce także promocja wydanej w USA przez Fundację im. Janusza Kurtyki oraz Carolina Academic Press książki prof. Tadeusza Wolszy „Dotyk Katynia” (ang. „Encounter with Katyn”), publikacji, która zwyciężyła w I edycji Konkursu o Nagrodę im. Janusza Kurtyki w 2017 r. W dyskusji udział wzięli: prof. Wolsza, a także prof. Wojciech Materski (PAN), dr Witold Wasilewski (IPN) oraz prowadzący dr Maciej Wyrwa (Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia). Prelegenci pochyliли się przede wszystkim nad rolą pamięci o zbrodni katyńskiej w stosunkach polsko-rosyjskich. W debacie poruszona została także kwestia losów świadków tego wydarzenia oraz zagadnienie upamiętnienia Katynia w Polsce i Rosji oraz miejsca tej zbrodni w polityce historycznej obu krajów. Spotkanie stanowi część projektu „Historia, prawda, teraźniejszość. Jak prowadzić stosunki międzynarodowe w kontekście przeszłości?”, na który składa się cykl debat mających na celu zidentyfikowanie i zdiagnozowanie węzłowych zagadnień związanych ze stosunkami międzynarodowymi w kontekście różnie interpretowanej przeszłości, opracowanie konkretnych recept w tym zakresie oraz utrwalenie zgromadzonych wniosków w formie publikacji książkowej. Przedsięwzięcie powstaje w ramach projektu „Klaster pozarządowy dla Rzeczypospolitej – na styku nauki, kultury i edukacji obywatelskiej. Nowe miejsce debaty o Polsce”, dofinansowanego ze środków programu Narodowego Instytutu Wolności Fundusz Inicjatyw Obywatelskich.

Nie żyje Jan Kobylański

27 marca w Montevideo zmarł Jan Kobylański – przedsiębiorca, dyplomata i działacz polonijny. Był więźniem Pawiaka i kilku niemieckich obozów koncentracyjnych. W 1952 r. wyemigrował do Ameryki Południowej. Od lat 50. działał w organizacjach polonijnych. Był m.in. wiceprzewodniczącym Towarzystwa Polonijnego w Paragwaju, prezesem Związku Polaków w Argentynie i prezesem Towarzystwa im. Józefa Piłsudskiego w Montevideo. W 1993 r. współtworzył, a następnie stanął na czele Unii Stowarzyszeń i Organizacji Polonijnych Ameryki Łacińskiej. W latach 1989–2000 sprawował funkcję honorowego konsula Polski w Argentynie, a następnie w Urugwaju. Został odznaczony przez trzech kolejnych prezydentów RP Krzyżem Kawalerskim, Krzyżem Komandorskim i Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. Miał 96 lat.

Pokazy filmu „Paszporty Paragwaju”

Z okazji Narodowego Dnia Pamięci Polaków Ratujących Żydów Instytut Pamięci Narodowej organizuje w całym kraju pokazy filmu dokumentalnego „Paszporty Paragwaju” w reżyserii Roberta Kaczmarka. Dokument produkcji IPN przedstawia mało znaną historię dotyczącą udziału polskiej dyplomacji w ratowaniu Żydów podczas II wojny światowej. Film opowiada o współpracy polsko-żydowskiej, której celem nadrzędnym było ratowanie życia drugiego człowieka. W latach 1942–1943 w poselstwie RP w Bernie funkcjonowała nieformalna grupa złożona z polskich dyplomatów oraz działaczy organizacji żydowskich. Wspólnie działali na rzecz uzyskiwania paszportów państw Ameryki Południowej. Fałszywe dokumenty trafiały do Żydów w okupowanej Europie, którzy dzięki nim uniknęli w większości wywózki do niemieckich obozów zagłady. 24 marca w kinie Muranów w Warszawie odbył się pokaz filmu w języku angielskim połączony ze spotkaniem z konsulem honorowym Polski w Szwajcarii Markusem Blechnerem, którego ojciec był jedną z osób finansujących paszporty dla ratowanych Żydów. Informacje o kolejnych pokazach można znaleźć na stronie internetowej www.ipn.gov.pl.



FOT. IPN

Konferencja o upadku komunizmu

W dniach 4–5 kwietnia w Pałacu Prezydenckim i Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie odbywała się międzynarodowa konferencja „Jak upadał komunizm? Rok 1989 w Europie Środkowo-Wschodniej”. W sesji wzięli udział historycy, politolodzy i socjologowie z kilkunastu państw. Wśród prelegentów byli m.in.: współzałożyciel Węgierskiego Forum Demokratycznego prof. Csaba György Kiss, prof. James Mark z Uniwersytetu w Exeter (Wlk. Brytania), prof. Andrzej Paczkowski, prof. Wojciech Roszkowski, działacz opozycji demokratycznej w NRD Wolfgang Templin oraz wieloletni współpracownik Václava Havla Michael Žantovský – obecny dyrektor Biblioteki Hávla. Wydarzenie zostało zorganizowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Kancelarię Prezydenta RP w ramach cyklu konferencji poświęconych rocznicy upadku komunizmu w Europie „1989 – Changes and Challenges”, który jest realizowany w krajach byłego bloku wschodniego przez Europejską Sieć Pamięć i Solidarność.

Marsze w 118. rocznicę urodzin Witolda Pileckiego

12 maja, już po raz dziewiąty, ulicami Warszawy przejdzie marsz upamiętniający rocznicę urodzin jednego z najodważniejszych ludzi w historii – rotmistrza Witolda Pileckiego. Tradycyjnie uroczystości rozpoczną się od mszy św. Po jej zakończeniu nastąpi przemarsz pod pomnik rotmistrza przy al. Wojska Polskiego na Żoliborzu, stojący w miejscu, z którego udał się on w swą misję do Auschwitz. Wydarzenie organizuje koalicja patriotycznych środowisk pozarządowych na czele z Fundacją „Służba Niepodległej”. Więcej szczegółów na temat uroczystości można znaleźć na stronie internetowej www.sluzbaniepodleglej.pl. Podobne marsze w hołdzie Witoldowi Pileckiemu odbędą się również w innych miastach Polski, m.in. w Lublinie, gdzie uroczystości koordynuje Korporacja Akademicka Astrea Lublinensis, a także w Gdańsku – tam głównym organizatorem jest Stowarzyszenie KoLibier. ■



FOT. IPN

Kongres „Polska Wielki Projekt”

W dniach 7–9 czerwca w Warszawie będzie miała miejsce IX edycja Kongresu „Polska Wielki Projekt”, w trakcie którego, jak co roku, odbędą się liczne panele dyskusyjne wokół ważnych tematów życia publicznego, a zwłaszcza poszczególnych obszarów funkcjonowania polskiego państwa. W trakcie imprezy wręczone zostaną dwa wyróżnienia przyznawane przez środowisko organizatorów: kierowana do wybitnych twórców Nagroda im. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego oraz Medal „Odważność i Wiarygodność”, nadawany za aktywność na rzecz wizerunku Polski w świecie. Organizatorem Kongresu jest Fundacja „Polska Wielki Projekt”. Szczegółowy program znajduje się na stronie internetowej www.polskawielkiprojekt.pl, za pomocą której można się także zarejestrować do udziału w wydarzeniu. ■

10. edycja konkursu „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy...”

IPN zaprasza do udziału w 10. edycji konkursu „Sprzączki i guziki z orzełkiem ze rdzy...”, którego celem jest upamiętnienie ofiar zbrodni katyńskiej, rozstrzelanych wiosną 1940 r. z rozkazu najwyższych władz ZSRS. Konkurs adresowany jest do uczniów siódmych i ósmych klas szkół podstawowych, szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Nagrodą w tegorocznej edycji jest wyjazd edukacyjny na Białoruś. Zadaniem uczestników jest stworzenie strony z albumu poświęconej konkretnej ofercie zbrodni katyńskiej. Zadanie to wymaga od uczestników opracowania koncepcji plastycznej pracy, ale również dużego zaangażowania w poszukiwanie informacji o wybranym przez siebie bohaterze. Prace konkursowe można wysłać do 20 maja. Więcej informacji na stronie www.ipn.gov.pl. ■

Nowy cykl wykładów „Łazienki (nie tylko) Królewskie”

Muzeum Łazienki Królewskie zaprasza na kolejne wykłady wybitnych historyków z cyklu „Łazienki (nie tylko) Królewskie”: 29 maja, godz. 18.00, pałac Na Wyspie, prof. Włodzimierz Suleja „Piłsudski lata ostatnie (1926–1935) z Belwederem i Łazienkami w tle”, 26 czerwca, godz. 18.00, prof. Andrzej Chojnowski, pałac Na Wyspie, „Prezydent Ignacy Mościcki: Między Zamkiem a Belwederem, z odpoczynkiem w Łazienkach...”. ■

W hołdzie gen. Józefowi Hallerowi

W stulecie nadania tytułu Honorowego Obywatela Warszawy gen. Józefowi Hallerowi Społeczny Komitet Organizacyjny Obchodów Patriotycznych organizuje 29 kwietnia uroczystości na warszawskiej Pradze. Rozpoczną się o godz. 11 mszą św. w kościele Matki Bożej Loretańskiej przy ul. Ratuszowej 5a. Następnie zostanie oddany hołd pod tablicą pamiątkową przy pl. Hallera, a o godz. 14.30 zostanie otwarta okolicznościowa konferencja w Urzędzie Dzielnicy Praga-Północ, w trakcie której m.in. odbędzie się pokaz filmu poświęconego gen. Hallerowi. Zostanie przypomniana również postać jednego z bliskich współpracowników generała, jego adiutanta kpt. Józefa Sierocińskiego. ■

„wSieci Historii” w Radiu dla Ciebie...

20 kwietnia (sobota) o godz. 13.00 w Radiu dla Ciebie red. Wojciech Marczyk będzie rozmawiał z członkami redakcji miesięcznika. ■



...w Radiu Warszawa...

25 kwietnia (czwartek) o godz. 9.30 Radio Warszawa oraz miesięcznik „wSieci Historii” zapraszają na wspólną audycję. Gościem Ewy Pietrzak będą członkowie redakcji pisma. ■



...i w radiowej Trójce...

Rozmowy, recenzje, felietony, kalendarium historyczne, muzyka, a także co miesiąc prezentacja numeru „wSieci Historii” w programie Marka Stremieckiego „Historie jak z książki”, w radiowej Trójce. W każdy wtorek o godz. 22.05. ■



...i w telewizji W POLSCE PL

Co piątek o godz. 12.40 zapraszamy do oglądania w telewizji wPolsce.pl omówienia najciekawszych tekstów „wSH”. Gośćmi Andrzeja Rafała Potockiego są redaktorzy i autorzy naszego miesięcznika. ■

Sto odsłón na stulecie



PRZEMYSŁAW
WAINGERTNER

Zawód: geniusz

Co łączy telewizję, holografie, bombę atomową i podróże międzyplanetarne? Postać ich prekursora – nie pisarza-fantasty, ale pioniera na serio, na niwie czysto naukowej. A był nim jeden z najbardziej cenionych w pierwszej połowie XX w. na świecie badaczy, duma wspólnoty uczonych II Rzeczypospolitej – wizjoner i genialny fizyk Mieczysław Wolfke (1883–1947).

Był klasycznym wunderkindem. Jeszcze jako 12-latek napisał obszerną rozprawę „Planetostat” o podróżach międzyplanetarnych statkami napędzanymi siłą odrzutu, w której wszystkie zaprezentowane hipotezy poparł zaawansowanymi wyliczeniami i wzorami matematycznymi. W wieku 17 lat opracował telektroskop – urządzenie pozwalające na przesyłanie obrazów za pomocą fal elektromagnetycznych, stanowiące w istocie pierwowzór telewizji. Otrzymał zresztą na nie patent w Rosji i w Niemczech, który zyskał powszechne uznanie na wystawie jubileuszowej Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie i przysporzył później Wolfkemu światowego rozgłosu. Następny patent stanowiła lampa kadmowo-rtęciowa. U progu niepodległości opublikował również pracę „O możliwości obrazowania optycznego siatek molekularnych”. Była to w istocie pierwsza na świecie naukowa prezentacja koncepcji holografii. Geniusz młodego Polaka doceniały asy światowej fizyki. Recenzentem jego rozprawy habilitacyjnej na Politechnice w Zurychu był sam Albert Einstein, a na Uniwersytecie w Zurychu Erwin Schrödinger, wielki austriacki uczony, współtwórca mechaniki kwantowej, laureat Nagrody Nobla z dziedziny fizyki. Już w niepodległej Polsce w latach 30. Wolfke pracował dla potrzeb wojska nad projektami takimi jak telefonia oparta na świetle spolaryzowanym i widzenie po ciemku za pomocą promieni podczerwonych (stosowana dziś nie tylko w siłach zbrojnych noktowizja). Zaprojektował także samonaprowadzającą raketę przeciwnocną. Jako pierwszy polski uczony przewidział również możliwość zastosowania energii jądrowej do celów wojennych, wyprzedzając swojego recenzenta, wspomnianego wcześniej Einsteina. Po II wojnie światowej, nie będąc bynajmniej zwolennikiem nowych komunistycznych rządów w Polsce, uznał, że w obliczu spustoszeń w polskim świecie nauki wywołanych przez okupację, priorytetem musi być odbudowa potencjału naukowego polskich ośrodków badawczych. Zmarł nagle w Zurychu, mieście, z którym wiązały się jego dokonania naukowe, gdy brał udział w przygotowaniu zaplecza technicznego dla odbudowujących się polskich uczelni. ■



Mieczysław Wolfke

Maria z laboratorium

To prawdziwa rekordzistka w kolekcjonowaniu tytułu „pierwsza”, ale i innych spektakularnych osiągnięć. Zatem to pierwsza polska noblistka (nagradzana w latach 1903 i 1911, kiedy odrodzonej Rzeczypospolitej nie było jeszcze na mapach). Pierwsza kobieta w historii, która otrzymała Nagrodę Nobla. Pierwsza osoba i jedyna kobieta, która Nobla zdobyła dwa razy; oprócz niej nagrodę tę otrzymali dwukrotnie tylko chemik Linus Pauling (1954, 1962), fizyk John Bardeen (1956, 1972) i chemik Frederick Sanger (1958, 1980). Odkrywcą dwóch nowych pierwiastków. Pierwsza kobieta, która zdała egzaminy z fizyki i chemii na Sorbonę. Pierwsza kobieta profesor i kierownik katedry (fizyki) na tej sławnej uczelni. Pierwsza i jak dotąd jedyna kobieta pochowana we francuskim Panteonie – i pierwsza osoba uhonorowana w ten sposób, a urodzona poza Francją. Przyjaciółka wielkiego polskiego kompozytora i pianisty Ignacego Paderewskiego. Wreszcie last but not least żona, matka, babcia i teściowa noblistów. Kobieta, o którą – niczym swego czasu o piękną Helenę Grecy i Trojanie – wojują od wieku Polacy i Francuzi, kłócąc się o to, czy była po prostu Polką (bo była!), czy z czasem stała się bardziej Francuzką...

Maria Skłodowska (o niej mowa) urodziła się w 1867 r. w Warszawie, skąd wyjechała do Francji, aby studiować fizykę i chemię na legendarnej paryskiej Sorbonie. Była prekursorką nowej gałęzi chemii – radiochemii. Do jej najważniejszych osiągnięć należą: rozwinięcie teorii promieniotwórczości, opracowanie i udoskonalenie technik rozdzielania izotopów promieniotwórczych oraz, jak już wspomniano, odkrycie dwóch nowych pierwiastków – radu i polonu. Z jej inicjatywy prowadzono także badania nad leczeniem raka za pomocą promieniotwórczości. Z jej inspiracji rząd Francji przeznaczył środki na powstanie Instytutu Radowego, w którym prowadzono badania z zakresu chemii, fizyki i medycyny. Podczas I wojny światowej była pionierką stosowania radiologii w warunkach frontowych, co uratowało życie wielu żołnierzy. Świat doceniał jej wielkie osiągnięcia. Oprócz „dubeltowego Nobla” została trzykrotnie wyróżniona tytułem laureatki Akademii Nauk w Paryżu. Wśród jej naukowych trofeów nie brakuje doktoratów honorowych najbardziej prestiżowych uniwersytetów – m.in. w Genewie, Manchesterze i Edynburgu – oraz tytułów członka Akademii Nauk w Petersburgu, Bolonii i Pradze, wreszcie rodzimej Akademii Umiejętności w Krakowie. Kiedy w 1934 r. zmarła z powodu anemii, a przede wszystkim choroby popromiennej, której nabawiła się podczas swoich badań, okryła żałobą Polskę, Francję i międzynarodową wspólnotę ludzi nauki. ■

WYWIĘĆ, ZABEZPIECZYĆ I UKRYĆ!

HISTORIE RATOWANIA
WIELKICH SKARBÓW
KULTURY POLSKIEJ
PRZED ZACHŁANNOŚCIĄ
NIEMIECKICH I SOWIECKICH
BARBARZYŃCÓW
PRZYPOMINAJĄ CZĘSTO
HOLLYWOODZKIE FILMY
AKCJI W NAJLEPSZYM
WYDANIU. PODOBNI
JAK ICH BOHATEROWIE



MAREK
SKALSKI

Biblia Pelplińska” była jednym z największych skarbów kultury znajdujących się w przededniu wybuchu II wojny światowej na ziemiach II Rzeczypospolitej. Inkunabuł liczył 641 kart dużego formatu. Był jednym z zaledwie 45 zachowanych na świecie egzemplarzy „gutenbergowskiej” Biblii – pierwszej w historii naszej cywiliza-

cji drukowanej książki. Przed wojną jej wartość oszacowano na 1,8 mln ówczesnych złotych. Suma wręcz zawrotna...

Jeśli spojrzymy na mapę przedwojennej Polski, od razu zauważymy, że Pelplin wraz ze sławnym pocysterskim zespołem klasztornym leży w wyjątkowo niekorzystnym miejscu, biorąc pod uwagę ewentualną perspektywę konfliktu polsko-niemieckiego. Niemal w środku tzw. polskiego korytarza,

nieopodal leżącego już na terytorium Prus Wschodnich Malborka. Nietrudno się domyślić, że miasto z łatwością mogłoby zostać zajęte przez Wehrmacht w ciągu zaledwie kilkunastu godzin od wybuchu wojny.

Na ratunek księgom

Dlatego księża opiekujący się bezcennymi zbiorami postanowili działać. Wczesnym

latem 1939 r. miejscowy rymarz Antoni Gutowski dostał nietypowe zlecenie. Miał wykonać niewielką walizkę dla księży... z seminarium duchownego diecezji pomorskiej. Z powierzonego mu zadania wywiązał się bez zarzutu. W lipcu walizka była gotowa. Skórzana, szyta na miarę, z miękkimi, amortyzującymi poduszkami w środku. Gutowski dostał dokładne wymiary kuferka.

Władze diecezji pelplińskiej postanowiły nie zwlekać. Znajdująca się w zbiorach Biblioteki Seminarium Duchownego w Pelplinie Biblia Gutenberga została troskliwie spakowana do przygotowanej dla niej walizki. Diecezjalny konserwator sztuki ks. Antoni Liedtke, z walizką w jednej ręce i małym pakunkiem, kryjącym XVI-wieczny psalterz biblijny, w drugiej wyjechał do Warszawy. W końcu lipca 1939 r. wszedł do nowoczesnego gmachu w stolicy. Walizka z niemal równie cennym zabytkowym psalterzem spoczęły w sejfie. I to nie było jakim sejfem, bo znajdującym się w schronie warszawskiego Banku Gospodarstwa Krajowego. Był to wówczas najnowocześniejszy, tzw. niezatapialny, sejf bankowy w Polsce. Został zaprojektowany wraz z gmachem BGK.

Wkrótce do tego zbioru dołączyć miały najcenniejsze zabytki polskiego piśmiennictwa. Dokładnie 5 sierpnia 1939 r. dyrektor Biblioteki Narodowej w Warszawie wydobył z ogniotrwałego sejfu w swym gabinecie obszerną tekę z bezcennymi oryginałami dzieł Chopina, oryginałem „Psałterza Florianńskiego”, wydanie „Kazań Świętokrzyskich”, spisane „Objawienia św. Brygidy”, „Rocznik Świętokrzyski” i 18 innych bezcennych, najstarszych polskich manuskryptów. Starannie spakowane w dwie skrzynie dzieła z Biblioteki Narodowej także trafiły do ukrytych głęboko w podziemiach gmachu przy Alejach Jerozolimskich schronów BGK.

Jednak w wyniku przebiegu działań wojennych bezcenne zbiory trzeba było ewakuować wraz z majątkiem banku. 18 września 1939 r. skarby polskiej kultury przekroczyły granicę z Rumunią. Ostatecznie udało się je wywieźć do Francji, gdzie dołączyły do szczęśliwie ewakuowanych już wawelskich arrasów. Wraz z nimi 18 czerwca 1940 r., w dniach klęski Francji, na pokładzie statku „Chorzów” popłynęły do Anglii. To nie koniec – ostatecznie w lipcu 1940 r., na pokładzie statku pasażerskiego „Batory”, dotarły do Kanady.

Niemcy są wściekli

Niemcy natychmiast po wkroczeniu do Polski zaczęli poszukiwać Biblii Gutenberga. W czasie skrupulatnego śledztwa gestapo przesłuchało wielu księży na Pomorzu. W pierwszych dniach wojny Niemcy podejrzewali, że polscy duchowni ukryli Biblię po prostu w pobliżu Pelplina. Później rozszerzono poszukiwania na Warszawę i Lublin. W końcu okupanci niemieccy rozeszali po całej okupowanej Europie list gończy za ks. Liedtkem, któ-



rego nazywali „złodziejem Biblii Gutenberga”. Książd zdążył jednak przedostać się do Londynu.

W 1945 r., po uznaniu przez mocarstwa zachodnie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, poseł rządu londyńskiego w Kanadzie Wacław Babiński postanowił ratować skarby narodowe przed warszawskimi komunistami. Arrasy wawelskie starannie ukryto w dwóch kanadyjskich klasztorach. Buławy marszałkowskie, Biblię Gutenberga i bezcenne rękopisy zdeponował w Bank of Montreal.

Wielką część skarbów polskiej kultury Kościół musiał ukrywać w kraju. Oczywiście największą odpowiedzialność spoczywała na oo. paulinach z Jasnej Góry. Pomni doświadczeń historii, zawczasu wywieźli jasnogórski skarbiec do miejscowości Leśna na Podlasiu. Niemcy nigdy nie wpadli na jego trop. Obraz Matki Boskiej zakonnicy schowali w klasztorze. Wbudowali go, wedle wiarygodnych, choć oficjalnie niepotwierdzonych przekazów, od spodu w zwykły, nierzucający się w oczy stół (inna, również niepotwierdzona wersja, mówi o zamurowaniu). Oryginał obrazu z Czarną Madonną zamienili w ołtarz na kopię. Na szczęście była to zapobiegliwość zbyt skuteczna. Niemcy nie odważyli się zrabować narodowej świętości Polaków.

Ochronić „Hołd pruski”

Wielkie zasługi położyli duchowni w ratowaniu dzieł sztuki ze zbiorów publicznych. W przeddzień wojny los sławnego malowidła „Hołd pruskiego” Jana Matejki bardzo niepokoił polskich muzealników. Prawdopodobnie jeszcze bardziej niż przyszłość „Bitwy pod Grunwaldem”. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny, w czasie oficjalnej wizyty marszałka Hermanna Göringa w Polsce, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie prof. Feliks

Kopera zaprezentował mu „Hołd pruski”. Szczegółowo tłumaczył premierowi hitlerowskich Prus historyczne konteksty dzieła i objaśniał szczegóły matejkowskiej wizji złamania i upokorzenia pruskiej pychy.

W papierach po konserwatorze zabytków Krakowa Bogdanie Treterze zachowało się pismo wysłane do 29 sierpnia przez Ministerstwo Wyznań i Oświecenia Publicznego: „[...] Ministerstwo prosi o porozumienie się z Muzeum Narodowym w Krakowie i – o ile jest to możliwe – zwinienie go do Warszawy, na Zamek Królewski. Powodem wycofania obrazu jest temat. O wysłaniu względnie powiększeniu innego postanowienia w stosunku do »Hołdu pruskiego« należy zawiadomić Ministerstwo niezwłocznie”.

Szczęśliwie prof. Kopera w stosunku do obrazu Matejki powziął postanowienie inne niż bezsensowne, w gruncie rzeczy, wysyłanie obrazu do Warszawy. Już wcześniej polecił grupie konserwatorów muzeum nawinąć płótno Matejki na drewniany wał, przekładając je miękkim papierem. Całość obszyto płótnem pakowym. Następnie ten walec przewieziono do krakowskiego Muzeum Przemysłowego. Tam, w pracowni technicznej, >>

» zaufani robotnicy wsunęli wał do długiej, wcześniej skonstruowanej rury z blachy cynkowej. Wewnątrz rury zawiesili walec na specjalnych uchwytach, by zamortyzować go i ochronić zewnętrzną warstwę płótna przed przetarciem. Tak skonstruowaną rurę umieszczono w solidnej, specjalnie przygotowanej na miarę drewnianej skrzyni. Profesor Feliks Kopera i dyrektor Muzeum Przemysłowego inż. Eugeniusz Tor planowali zakopanie skrzyni z obrazem w krakowskim Lesie Wolskim.

Wyprowadzenie do Zamościa

Jednak 1 września, zaraz po niemieckim nalocie na Kraków, zmieniają oni błyskawicznie swoje plany. Arcydzieło Matejki ma pojechać na wschód, do Zamościa. Muzealnicy zapewne nie wierzą, że Wehrmacht mógłby dotrzeć tak daleko, ale ważniejsze są rodzinne powiązania: siostra burmistrza Zamościa Michała Wazowskiego jest żoną dyrektora Tora. Ciężarówka ze skrzynią eskortowana przez samochód osobowy kierowany przez dyrektora Tora dociera do Zamościa w nocy 2 września. Samochód z tajemniczym ładunkiem zatrzymuje się obok remizy strażackiej. We wrześniu 1939 r. Zamość na krótko stał się prawdziwą skarbnicą Polski. Hrabia Tarnowski z Sucheje ewakuował tam niezwykle cenne kolekcje starej broni ze zbiorów arcyksięcia Habsburga z Żywca. Ostatecznie trafiły do zamojskiego ratusza. Trafiła tam również Biblia Gutenberga z Pelplina.

2 września co atrakcyjniejsze podziemia w Zamościu są już zajęte. Nadzorujący transport „Hołdu pruskiego” postanawiają złożyć obraz w pustych jeszcze katakumbach kościoła św. Katarzyny. Nieoczekiwane sprzeciwia się temu pomysłowi rektor kościoła, ks. dr Wacław Staniszewski. Duchowny okazuje się dużo lepszym konspiratorem od muzealników. Nie kryje zdenerwowania tym, że obraz wieziono do Zamościa, nie zmieniając samochodów i uczestników ewakuacji, że zaparkowano go obok remizy straży pożarnej, gdzie tajemnicza skrzynia zainteresowała wiele postronnych osób. Odmawia więc swojej zgody na złożenie jej w kościele. W tym czasie niemieckie samoloty bombardują już miasto. Ksiądz Staniszewski macha ręką na konspirację i razem z burmistrzem Zamościa Michałem Wazowskim organizuje ekipę do zakopania płótna Matejki w podziemiach świątyni. Ale brak wcze-

niejszych przygotowań mści się – murarze Michał i Aleksander Radziejowski przez kilka godzin bez skutku rozkuwają gruby kościelny mur wokół okienka do podziemi. W otworze nadal nie mieści się wielka skrzynia z obrazem. W końcu murarze rozbijają część arkadowego sklepienia i konspiratorzy wpychają skrzynię do podziemi świątyni. Już jednak próba zakopania jej kończy się niepowodzeniem. Twardej opoki wiekowego sklepienia pod posadzką podziemi murarze nie są w stanie rozkuć. Inżynier Tor z księdzem Staniszewskim decydują się na pozostawienie skrzyni pod ścianą.

Kościół obrabowany

Do Zamościa wkraczają wojska niemieckie. Szybko się wycofują, robiąc miejsce dla oddziałów sowieckich. Wreszcie w pierwszych dniach października ostatecznie zajmują miasto jednak Niemcy. W tym trudnym czasie kłęski głowę podnoszą rodzimi rabusie i bandyci. Nocne hałasy w trakcie chowania obrazu usłyszało wielu sąsiadów świątyni. Po mieście krążą pogłoski o ukrytych w kościele skarbach. Ksiądz Staniszewski na wszelki wypadek zamyka kościół i ukrywa się. Po paru dniach nieznani sprawcy włamują się do świątyni.

Ksiądz rektor jest bardzo ostrożny. Odczeka jeszcze kilka dni i dopiero upewniwszy się, że kościół nie jest obserwowany, sprawdza, co się stało. Złodzieje rozbili skrzynię, rozpruli cynkową rurę, płótno zaś brutalnie wywlekli, rozrywając je w kilku miejscach. Rozczarowani zawartością skrzyni, splądrowali ołtarz i zakrystię. Ksiądz Staniszewski w rabunku kościoła dostrzegł nieoczekiwaną szansę dla płótna Matejki. Po konsultacji z burmistrzem Wazowskim, gdyż sam obawiał się podjąć tak ryzykowną decyzję, zgłosił włamanie niemieckim władzom wojskowym. Prosił o przysłanie patrolu wojskowego, dokonanie oględzin sprofanowanej świątyni i wydanie stosownego zaświadczenia. Ksiądz rektor zasypał skrzynię w podziemiach rupieciami i gruzem, ale ostrożność była zbyt duża. Niemiecki żołnierz ograniczył się do obejrzenia uszkodzonego zamka w drzwiach i okradzionego ołtarza głównego.

W komendanturze ks. Staniszewski dostał poświadczenie, że „[...] nieznane osoby dokonały włamania do kościoła św. Katarzyny w Zamościu, wiele rzeczy kościelnych zabrały, inne uszkodziły”.

Brawurowa zagrywka

Ksiądz rektor okazuje się urodzonym konspiratorem. Był przekonany, że gestapo prowadzące w Krakowie śledztwo w sprawie zniknięcia „Hołdu pruskiego” wkrótce trafi na ślad prowadzący do Zamościa. Postanawiają z burmistrzem Wazowskim przenieść skrzynię w bezpieczne miejsce. Ten ostatni wpada na genialny w swej prostocie pomysł: gdy już Niemcy trafią za obrazem Matejki do Zamościa, to nie przyjdzie im do głowy, by szukać „Hołdu pruskiego” w Krakowie. Za zgodą okupacyjnych władz organizuje oficjalny wyjazd samochodem ciężarowym po sól do Wieliczki i sam nadzoruje przewiezienie przy tej okazji skrzyni z obrazem do krakowskiego Muzeum Czapskich.

W maju 1940 r. gestapo, tak jak przewidział ks. Staniszewski, dowiedziało się o ukryciu obrazu w zamojskim kościele św. Katarzyny. Gestapowcy ciężko pobili zakrystianina, który w końcu wydał im nazwisko murarza Michała Radziejowskiego. Zawieziony przez Niemców do wsi, gdzie mieszkał Radziejowski, zakrystianin w czasie jazdy przypadkiem dostrzegł murarza. Poprosił gestapowców o zatrzymanie samochodu i udając obcą osobę, zapytał Michała Radziejowskiego, „czy nie wie, gdzie mieszka... Michał Radziejowski”. Na szczęście przytomny murarz wskazał na koniec wsi i zniknął. Przysłuchiwany przez gestapo ks. Staniszewski wybronił się niemieckim zaświadczeniem o włamaniu, które wcześniej zapobiegliwie zdobył. Obraz był w podziemiach, przyznawał ksiądz, ale ktoś się włamał i skradł go, a księża zgłosili to do niemieckiej komendantury. Śledztwo w sprawie ukrycia obrazu Matejki nie przyniosło rezultatu. Nie oznaczało to jednak, że uczestnicy matejkowskiej konspiracji w Zamościu mogli spać spokojnie.

W czerwcu 1940 r. ksiądz Wacław Staniszewski i pomagający mu w ukrywaniu „Hołdu pruskiego” ks. Franciszek Trochonowicz zatrzymani zostali w masowych aresztowaniach inteligencji na Zamojszczyźnie. Do wyzwolenia przebywali w obozach koncentracyjnych. W 1941 r. rozstrzelano burmistrza Wazowskiego i jego syna.

Na szczęście w Krakowie „Hołd pruski” bezpiecznie dotrwał do wyzwolenia. ■

Autor jest dziennikarzem portalu PolskieRadio.pl

GRABIEŻ DÓBR KULTURY POLSKIEJ 1939–1945

**GRABIEŻ DÓBR KULTURY POLSKIEJ – OBOK EKSTERMINACJI
I ZNISZCZENIA GOSPODARCZEGO – BYŁA JEDNYM ZE ŚRODKÓW
DO CAŁKOWITEGO WYNIŚCZENIA NARODU POLSKIEGO**

Niemiecka walka z kulturą polską obejmowała dosłownie wszelkie dziedziny, wytwory, przejawy i źródła kulturalnego życia narodu polskiego. Walka biologiczna dziesiątkowała, ekonomiczna odbierała materialne podstawy egzystencji, a zwalczanie kultury godziło w duchowe siły narodu.

Artur Greiser – namiestnik i jednocześnie Gauleiter terenów II Rzeczypospolitej wcielonych po wrześniu 1939 r. do Rze-



**ANNA
JAGODZIŃSKA**

szy – 21 września 1939 r. na pierwszej wielkiej niemieckiej manifestacji zorganizowanej w Poznaniu powiedział: „My, Niemcy, przyszliśmy tutaj jako Panowie, Polacy natomiast powinni odtąd być naszymi sługami [...]. Za nasze najważniejsze zadanie uważamy zasiedlenie tej ziemi ludźmi, którzy pojęcie »Polski« znac

będą w przyszłości tylko jako historyczne wspomnienie”.

Polaków z tych terenów, których nie rozstrzelano w ramach „Intelligenzaktion” – likwidowania polskiej inteligencji – wysiedlano do Generalnego Gubernatorstwa. W ramach „Generalplan Ost” wypędzono na wschód Polski około kilkuset tysięcy jej mieszkańców.

Wypędzić i ograżyć

Na podstawie okólnika Heinricha Himmlera z 10 listopada 1939 r. majątek wysiedlonych osób podlegał konfiskacie na >>



Uroczystości na Wilhelmsplatz w Poznaniu (obecnie pl. Wolności) związane z zaprzysiężeniem niemieckich oddziałów wojskowych, styczeń 1940 r.

» rzecz Niemiec. Najpierw do grabieży rzucili się miejscowi Niemcy, plądrując polskie domy. Z mieszkań zabierano wszystkie przedmioty ze srebra i obrazy o dużej wartości artystycznej. Piękne rzeźbione meble, fortepiany, pianina, ponadto wszystkie domowe urządzenia... Lżejszy łup, głównie w postaci biżuterii i obcej waluty, znikał także w prywatnych kieszeniach funkcjonariuszy gestapo i SS. W ciągu niewielu godzin ludzie tracili majątek gromadzony od pokoleń.

W miejsce „wypędzonych” do ich mieszkań, gospodarstw, majątków sprowadzono niemieckich osadników. Wysiedlonym na spakowanie dozwolonych do zabrania rzeczy wyznaczano najczęściej pół godziny. Nie wolno było zabierać biżuterii (z wyjątkiem obrączek ślubnych), dzieł sztuki, dewiz i innych wartościowych przedmiotów. Całą resztę dobytku trzeba było zostawić dla nowych lokatorów. Na drzwiach domów i mieszkań objętych akcją wysiedlenia rozwieszono były ulotki.

Burmistrz miasta Poznania wydał do Polaków odezwę następującej treści: „[...] zarządzam zajęcie ewakuowanego mienia ze wszystkimi przynależnościami. Wszystkie meble oraz przedmioty, urządzenia wraz z pościelami i bielizną pościelową muszą pozostać na właściwym miejscu, jedynie czysto osobiste przedmioty [...] mogą być zabrane. Kto przeciwstawia się wykonaniu zarządzeń, podlega karze pozbawienia wolności, a w ciężkich wypadkach karze śmierci”. Korzystali na kradzieży – wykorzystując podległy aparat administracyjny – niemieccy notabie: na Pomorzu – Albert Forster, a w Poznaniu – Greiser.

Niszczeniu i plądrowaniu podlegały pomniki, kościoły, architektura monumentalno-historyczna, muzealnictwo, sztuki plastyczne, muzyka, literatura, teatr, radio, film, sport, szkolnictwo wszystkich stopni. Zajmowano majątek nie tylko samego Kościoła, lecz również instytucji i fundacji kościelnych, np. Caritasu, kas pogrzebowych, poszczególnych bractw, stowarzyszeń itp. Muzea i zbiory sztuki zostały skonfiskowane, konfiskacie uległo muzeum etnograficzne, muzea miejskie, muzeum wojskowe i diecezjalne w Poznaniu. Chłopcy z Hitlerjugend byli specjalnie szkoleni w wyszukiwaniu i niszczeniu bibliotek prywatnych.

Zabrać albo zniszczyć

O rozmiarach wandalizmu władz okupacyjnych w Poznańskim świadczą choćby

następujące fakty: od października 1940 r. aż do końca 1944 r. zrabowano i wywieziono do Berlina 20 ton świec kościelnych i kilkadziesiąt ton szat liturgicznych i bielizny. Ze zrabowanych szat liturgicznych o wyjątkowym znaczeniu historycznym sztyto kostiumy teatralne. Władze niemieckie zagrabiły setki cennych monstrancji, kielichów, relikwiarzy, w tym dzwony z wielu kościołów, które przetapiano na złom lub wywożono do Niemiec. W samej diecezji poznańskiej zasekwestrowano 280 dzwonów, 313 kielichów, 198 cyboryów, 185 monstrancji. Naczynia liturgicznych używano do hucznych biesiad, w których brali udział przedstawiciele niemieckich uniwersytetów, a zwłaszcza wykładowcy uniwersytetu w Poznaniu, przekształconego na niemiecki Uniwersytet Rzeszy.

Zniszczeniu i profanacji uległy także symbole polskiego życia religijnego. Na terenie „Kraju Warty” zdemolowano tysiące przydrożnych kapliczek i krzyży.

Tak to opisano w aktach procesu Artura Greisera z 1946 r. – zeznawał świadek Andrzej Byczak i sam oskarżony: „W Poznaniu dnia 13 grudnia 1939 r. spotkałem na narożniku przy Zamku namiestnika Warthelandu stojącego z jakimś panem, którzy naśmiewali się z pomnika Chrystusa Króla. W nocy z 18 na 19 października 1939 r. pomnik ten zniknął. Oskarżony (Greiser) wyjaśnił: nie mogę sobie przypomnieć, na mocy czyjego zarządzenia zniesiony został pomnik Chrystusa Króla. Pamiętam jednak powody, które mi

Albert Forster – gauleiter Gdańska, 1939 r.



FOT. NAC



FOT. NAC

Wilhelm Frick – minister spraw wewnętrznych III Rzeszy w Poznaniu z okazji wprowadzenia Arthura Greisera na urząd namiestnika Kraju Warty, 2 listopada 1939 r.

wówczas podawano: pierwsze – pomnik ten stał na drodze pewnej perspektywy, która przewidywała pewne jednolite ukształtowanie planu urbanistycznego miasta [...], po drugie, pomnik był wykonany z pociągu pancernego, jakim podróżował Bismarck. Nie mogłem na to pozwolić. O tym, że usunięto wszystkie polskie pomniki w Poznaniu, nic nie wiedziałem”. Ostatniego dnia października 1939 r. obalono pomnik Tadeusza Kościuszki przy ul. Bukowskiej.

Miasto za miastem

9 października 1941 r. gestapo doszczętnie ograbiło katedrę w Łodzi ze wszystkich kosztowności, szat i naczyń liturgicznych i zamieniło na składnicę wojskową. Młodzież niemiecka wybiła kamieniami witraże. W kościele bernardynów (przy ul. Spornej w Łodzi) zorganizowano stajnię. W nocy z 10 na 11 listopada 1939 r. zniszczono i usunięto z placu Katedralnego w Łodzi pomnik Nieznanego Żołnierza. Fala zniszczenia nie oszczędziła także cmentarzy. Niszczono grobowce, płyty nagrobne i krzyże. Żelazne ogrodzenia cmentarzy i grobów przeznaczono na złom.

Z archiwum katedry gnieźnieńskiej wywieziono mające tysiąc lat pergaminy, stare rękopisy oraz cenne księgi. To samo

uczyniono z archiwum i muzeum archidiecezji poznańskiej i wrocławskiej. Katedry w Gnieźnie, Poznaniu i we Wrocławku zamieniono na sale koncertowe. W ramach likwidacji polskich placówek naukowych i oświatowo-kulturalnych niemieckie władze okupacyjne już w pierwszych dniach września 1939 r. przekazały na makulaturę lub wywiozły do Niemiec wiele bezcennych dzieł polskich. Pod koniec września opieczutowano zbiory biblioteczne w Gołuchowie i Kórniku.

Systemowa grabież zorganizowana

Grabież dzieł sztuki w wyniku działań wojennych została uznana w prawie międzynarodowym za przestępstwo wojenne. Wynika to z zapisów konwencji haskiej z 1907 r., co potwierdziła sankcja karna wynikająca ze Statutu Międzynarodowego Trybunału Wojskowego z 8 sierpnia 1945 r. (Prawo Nr 10 Sojuszniczej Rady Kontroli Niemiec z 20 grudnia 1945 r.).

Jednak istoty grabieży dóbr kultury polskiej dokonanej przez Niemców nie wyczerpują ani artykuły prawa międzynarodowego, ani kodeksów karnych państwowych. Nie chodzi jedynie o rozmiary tych przestępstw ani o specyficzne przekształcenie znanego z historii łupiestwa wojsk w zorganizowaną i ulegającą akcję władz administracji państwowej, ani nawet o to, że przestępstwa dokonane zostały przy wybitnym współudziale niemieckich uczonych i artystów. Tutaj mamy do czynienia z zamiarem przestępczym i jego skutkiem.

Rozporządzeniem z 19 września 1939 r. ustanowiony został Główny Urząd Powierniczy dla Wschodu (Haupttreuhändstelle-Ost). Urząd ten został powołany do sprawowania na wschodnich ziemiach przyłączonych zarządu powierniczego nad skonfiskowanym mieniem polskim i żydowskim, ruchomym i nieruchomym, tak publicznym, jak i prywatnym. Dla lepszego przeprowadzenia konfiskaty dzieł sztuki oraz przedmiotów wartościowych, których rozpoznanie i oszacowanie wymagało fachowej oceny, ustanowiono 5 grudnia 1939 r. urząd specjalny Generalnego Powiernika dla zabezpieczenia niemieckich dóbr kulturalnych we wschodnich ziemiach przyłączonych (Generaltreuhänder für Sicherstellung

deutschen Kultur gutes in den eingegliederten Ostgebieten), nazywany w skrócie „Generalny Powiernik”, który ściśle współpracował z Heinrichem Himmlerem jako szefem policji niemieckiej oraz komisarzem dla umacniania niemieczyny. Siedziba Generalnego Powiernika mieściła się w Berlinie. Do przeprowadzenia konfiskat w terenie utworzono okręgi podległe lokalnym oddziałom Generalnego Powiernika. Założono oddziały m.in. w Katowicach, Łodzi, Poznaniu i Gdańsku. Einsatzkommandos przeprowadzały poszukiwania od muzeum do muzeum, od dworu do dworu, od mieszkania do mieszkania.

NIEMCY ZRABOWALI W POLSCE OKOŁO 516 TYS. DZIEŁ SZTUKI, O KTÓRYCH ISTNIENIU ŚWIADCZYŁY INWENTARZE

Rozporządzenie to zawiera główne wytyczne do działalności Generalnego Powiernika. Określenie przedmiotu konfiskaty wskazuje na połączenie dwóch założeń: umacniania niemieczyny przez grabież kultury polskiej i zysku materialnego przez rabunek przedmiotów wartościowych. A zatem konfiskacie ulegają wszelkie należące do obywateli polskich dobra kulturalne, bez względu na to, czy znajdują się w posiadaniu prywatnym czy publicznym, i nie tylko dzieła sztuki oraz nauki lub kultury w najszerszym tego słowa znaczeniu, ale wszystkie przedmioty mające wartość pieniężną.

Szokujące liczby

W przypadku ziemiańskich zbiorów sztuki interesujące jest to, że były one stosunkowo mało rozpoznane przez Niemców przed wojną. Dopiero dzięki działalności armii urzędników niemieckich niskiego szczebla okupanci uzyskali swoistą bazę danych dotyczącą zasobności majątków ziemskich w dzieła sztuki i cenne przedmioty. Niestety podczas

grabieży zniszczono całe zbiory i kolekcje artystyczne. W wydanym przez „Haupttreuhändstelle-Ost” zbiorze materiałów dla wewnętrznego użytku służbowego czytamy: „Dzieła sztuki i kultury oraz przedmioty wartościowe znajdują się także na pewno w niemałej ilości w posiadaniu dozorców domów, szoferów, służących i innego personelu pomocniczego, którym zbiegli najczęściej poprzedni posiadacze oddali na przechowanie do czasu swego powrotu. Należy uwzględnić i zbadać także takie wypadki”.

W ramach „zabezpieczenia niemieckich dóbr kulturalnych” niemieccy urzędnicy, profesorowie, artyści rabowali wszystko, co polskie, a co posiadało jakąkolwiek wartość kulturalną bądź czysto materialną. Największą składnicę zrabowanych przedmiotów przeznaczonych do wywiezienia do Rzeszy urządzono w katedrze w Poznaniu. Druga składnica znajdowała się w Muzeum Miejskim w Łodzi, gdzie tylko do jesieni 1940 r. Niemcy zgromadzili 3,5 tys. zrabowanych obrazów. Zbiory malarskie Zachęty w Warszawie wywieziono już w 1939 r., ograbiono Zamek Królewski, do czego znak dał sam Hans Frank, zrywając wyszywane srebrem orły z draperii w sali tronowej. Niezliczoną liczbę skrzyń ze skarbami zamkowymi wywieziono do Muzeum w Dreźnie. Znaczna część bezcennych obiektów trafiała przede wszystkim w ręce prywatne zbrodniarzy niemieckich. Z Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego wywieziono zbiory Gabinetu Rycin. Skradziono też 4 tys. zabytkowych rękopisów. Ograbiono biblioteki judaistyczną i sejmową w Warszawie, a ich zbiory wywieziono do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy w Berlinie. Do zamku w Streibersbergu wywieziono w ostatniej chwili olbrzymią kolekcję malarstwa z kolekcji Lanckorońskich. Po powstaniu warszawskim Niemcy zrabowali dobra kultury, które wywieziono z burzonego miasta w około 100 tys. wagonów towarowych.

Ogółem Niemcy zrabowali w Polsce około 516 tys. dzieł sztuki, o których istnieniu świadczyły inwentarze. Po zakończeniu wojny część zrabowanych przedmiotów zdołano rewindykować, wszystkie zaś te, które uległy grabieży czy konfiskacie, ale nie były wywiezione do Rzeszy, powróciły automatycznie w posiadanie polskie. Do odzyskania pozostało jednak nadal 60 tys. zrabowanych dzieł sztuki.

CO JAN KAZIMIERZ WYWIÓŻŁ Z RZECZYPOSPOLITEJ?

**POLSKI RELIKWIARZ KORONACYJNY ZOSTAŁ
WYWIEZIONY Z KRAJU PRZEZ KRÓLA JANA
KAZIMIERZA WAZĘ I ZNAJDUJE SIĘ OBECNIE
W SKARBCU PARYSKIEJ KATEDRY NOTRE
DAME. CZY MOŻEMY GO ODZYSKAĆ?**



**MAREK
MADEJ**

Relikwiarz (stauroteka) z drewnem Krzyża Świętego pojawił się w Skarbcu Koronnym na Wawelu ok. 1420 r., najprawdopodobniej jako dar cesarza Bizancjum Manuela Paleologa dla króla Władysława Jagiełły. Wykonany w XII w., 200 lat później miał kształt dwuramiennego krzyża patriarchalnego zwanego też lotaryńskim, z grecką inskrypcją. Owa inskrypcja przełożona na łaciński brzmi następująco: „Jesus Christus qui cruci affixus exaltavit hominum naturam – Scribit Comnenus Manuel Imperator”, w języku polskim zatem: „Jezus Chrystus do Krzyża przybity wywyższa naturę ludzką – pisze Manuel Komnen Cesarz”.

Według inwentarza Skarbcia Koronnego krzyż ten był opisywany w 1475 r. jako „krzyż złoty z drzewem Życia” („cum Ligno vitae” lub „Lignum vitae”) albo „krzyż złoty z drzewem Krzyża Świętego z turkusem i ośmioma perłami” (1607, 1632). W inwentarzu z lat 1609–1611 jest to „Crux cum Ligno vitae auro condita habens in medio lapidem turkus imposita tabernaculo argenteo

de aurato pro eodem”. Według inwentarza z 1475 r. zawierał on osiem krzyży, według ksiąg z lat 1510–1659 trzy krzyże. Późniejsze spisy do 1685 r. pokazują na stanie Skarbcia Koronnego jedynie dwa krzyże.

Państwowe, nie prywatne

Relikwiarz ów był używany przy wszystkich koronacjach królewskich, począwszy od dziesięcioletniego Władysława III Warneńczyka w 1434 r., aż do Jana Kazimierza Wazy w 1649 r. Został zabrany ze Skarbcia Koronnego przez ostatniego z Wazów w 1665 r. lub już po jego abdykacji (1668), kiedy przybył on do Krakowa tuż przed wyjazdem do Francji. Poza owym relikwiarzem wywiózł też inne, pochodzące ze Skarbcia Koronnego, insygnia i precjoza, które uważał za swoją własność prywatną. Były to m.in. trzy srebrne pozłacane berła, dwie duże srebrne pozłacane korony (tzw. zamknięte), dwie małe srebrne pozłacane korony (były to najprawdopodobniej tzw. korony egzekwialne Zygmunta III i Władysława IV), trzy srebrne pozłacane jabłka królewskie, pierścień z wielkim diamentem, używany przez monarchów przy koronacjach. Nie ulega wątpliwości, że co najmniej relikwiarz, pierścień koronacyjny i niektóre, jeśli nie wszystkie korony, berła i jabłka stanowiły własność państwową Rzeczypospolitej.



Znajdowały się one bowiem na stanie inwentarzowym Skarbcia Koronnego na Wawelu, którego zasobem monarchowie nie dysponowali.

Francuski zapis

Część tych precjozów została wywieziona przez króla z Warszawy do Gdańska już w 1665 r. Można zakładać, że wszedł on w ich posiadanie w jeden z następujących sposobów. W czasie potopu szwedzkiego, gdy główna część Skarbcia Koronnego (insygnia) w lecie 1655 r. została ukryta w Lubowli przez Jerzego Lubomirskiego (wróciły one do Skarbcia dopiero w 1662 r.). Gdy stanowiły zastaw pod pożyczkę w wysokości 120 tys. zł udzieloną Rzeczypospolitej w 1662 r. przez królową Marię Ludwikę Gonzagę; lub po prostu zostały zabrane ze Skarbcia w 1665 r. Skłaniałbym się do tej ostatniej opcji, gdyż relikwiarz/pektorat został włączony po śmierci królowej w 1667 r. do inwentarza jej mienia spadkowego.

Po wyjeździe do Paryża Jan Kazimierz ze wskazania Ludwika XIV został świeckim opatem benedyktyńskiego opactwa Saint-Germain-des-Prés. Zmarł 16 grudnia 1672 r., a wcześniej zapisał w testamencie cały majątek, w tym wspomniane wyżej insygnia i klejnoty (a więc i relikwiarz koronacyjny), swej szwagierce, księżnej palatynskiej, Annie Gonzadze de Cleves. Rzeczpospolita podjęła interwencję w korespondencji króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego ze spadko-

Relikwiarz na przestrzeni wieków

bierczynią (1673), wskazując na nieważność tego zapisu, gdyż relikwiarz jako przedmiot ze Skarbcza Koronnego nie stanowił własności Jana Kazimierza, tylko własność państwową. Mimo to Anna Gonzaga w 1683 r. przekazała relikwiarz opactwu Saint-Germain-des-Prés, gdzie przetrwał on rewolucję francuską (nie został przetopiony w 1793 r. na monety, jak wskazane powyżej korony czy berła po Janie Kazimierzu). W 1828 r. trafił do skarbcza katedry Notre Dame i tam znajduje się do dziś. Wówczas abp Paryża Hyacinthe-Louis de Quélen zlecił paryskiemu złotnikowi Jeanowi-Pierre'owi Famechanowi wykonanie nowej podstawy oraz obudowy relikwiarza i w tej podstawie umieścić (obok drewna z Krzyża Świętego) także czubek jednego z gwoździ Krzyża Pańskiego pochodzący również ze skarbcza opactwa Saint-Germain-des-Prés. Relikwiarz koronacyjny jest ujęty aktualnie w inwentarzu skarbcza katedry Notre Dame jako „krzyż księżniczki palatyńskiej (relikwiarz)”, a w jego opisie wskazuje się, że został on подарowany Annie Gonzadze przez Jana Kazimierza Wazę, króla Polski, ona zaś ofiarowała go testamentem opactwu Saint-Germain-des-Prés w 1683 r.

Jak wiadomo, w Polsce przetrwało bardzo niewiele przedmiotów, które znajdowały się pierwotnie w Skarbcu Koronnym na Wawelu, w tym niestety nie przetrwała żadna z oryginalnych sześciu koron, berła i jabłka królewskie, zrabowane przez Prusaków, po insurekcji kościuszkowskiej. Z najważniejszych polskich insygniów koronacyjnych przetrwał tylko Szczerbiec, miecz koronacyjny. Inne pamiątki po polskich monarchach, w tym sporo pomniejszych pamiątek ze Skarbcza, zgromadził ostatni inwentaryzator Skarbcza (inwentaryzacja odbyła się w 1792 r.) Tadeusz Czacki; większość z nich trafiła do zbiorów Izabelli Czartoryskiej i tworzyła tzw. Szkatułę Królewską, która niestety zaginęła w czasie ostatniej wojny.

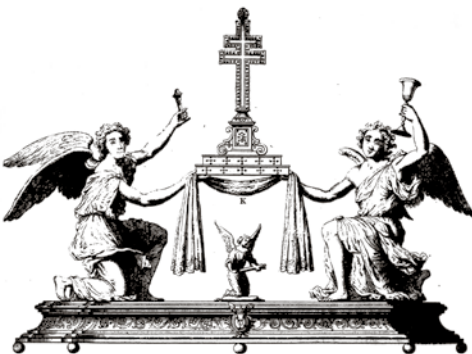
Czy mamy szansę?

Podnoszenie wobec Francji jakichkolwiek roszczeń o charakterze prawnym byłoby dziś niezwykle trudne, jeśli nie niemożliwe. Polska bowiem,

W momencie zabrania ze Skarbcza Koronnego: krzyż lotaryński (podwójny) roboty bizantyjskiej oraz relikwia drzewa Krzyża Świętego (w bursie) i ewentualnie złoty łańcuch do zawieszenia.

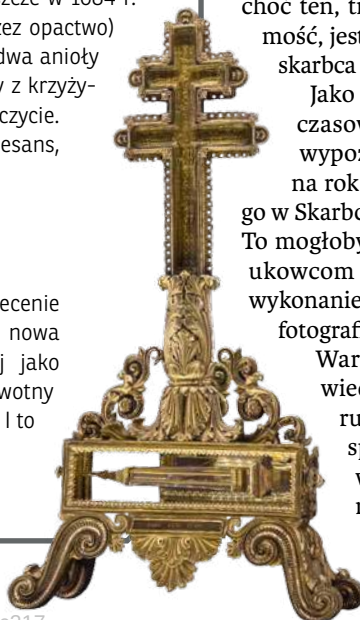


W opisie inwentarza po śmierci królowej Marii Ludwiki Gonzagi (1667, Warszawa) – jako pectorał z relikwią drzewa Krzyża Świętego z łańcuchem złotym do zawieszenia i relikwie. „Wielki złoty krzyż na modłę moskiewską ozdobiony rubinami i diamentami oraz innymi kamieniami szlachetnymi, zawiera kawałek prawdziwego Krzyża Świętego, zwieńczony czterema dosyć dużymi perłami szkockimi okrągłymi i jedną perłą na kształt gruszki z czterema małymi rubinami oraz złoty łańcuch na wzór antyczny służący do zawieszania”. Nadal nie ma cokołu krzyża ani podstawy relikwiarza.



W 1724 r. – przy opisie kościoła opactwa już po przeróbkach zleconych złotnikom francuskim przez Annę Gonzagę jeszcze w 1684 r. (a może już po jej śmierci przez opactwo) jest to pacyfikał z podstawą, dwa anioły duże z relikwiami, jeden mały z krzyżykiem, krzyż lotaryński na szczycie. Podstawa, anioły – późny renesans, barok.

Po przeróbkach XIX w. na zlecenie arcybiskupa Paryża Quelena, nowa podstawa XIX-wieczna, dalej jako pacyfikał. Zachowany pierwotny krzyż lotaryński oraz relikwie. I to jest stan aktualny.



oprócz jedynej najprawdopodobniej próby zaraz po śmierci Jana Kazimierza, nie zgłaszała ich przez ponad 120 lat do III rozbioru (1795). Po 123-letniej przerwie w możliwości dochodzenia roszczeń wynikającej z zaborów, również po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. i później nie widać takich starań (przynajmniej ja nie natrafiłem na taki ślad). Dlatego, o ile taka inicjatywa zostałaby teraz podjęta, jej ukoronowaniem mógłby być dar jako gest ze strony Republiki Francuskiej albo wymiana na inny artefakt znajdujący się w posiadaniu Polski, którym Francja byłaby zainteresowana, czy wreszcie zakup za rozsądną kwotę. W grę wchodzić mogłoby także zdeponowanie na stałe relikwiarza w Skarbcu Koronnym na Wawelu przy zatrzymaniu przez Francję formalnego tytułu własności.

Przede wszystkim chodziłoby o najstarszą część aktualnego relikwiarza (o ile można go „bezinwazyjnie” rozmontować), czyli umieszczony na jego szczycie XII-wieczny krzyż patriarchalny (lotaryński), dar cesarza Manuela Paleologa dla króla Jagiełły, oraz relikwie drewna i ewentualnie także gwoźdźcia Krzyża Świętego. Polska powinna podkreślać pochodzenie relikwiarza ze Skarbcza Koronnego oraz jego absolutnie szczególne znaczenie dla polskiej kultury i dziedzictwa narodowego jako przedmiotu używanego przy koronacjach polskich monarchów. Domniemywać należy, że relikwiarz z częstakami (drzazgami) drewna lub gwoździ z Krzyża Świętego znajduje się we Francji chyba więcej, choć ten, trzeba mieć tego świadomość, jest najstarszym artefaktem skarbcza katedry Notre Dame.

Jako krok wstępny lub tymczasowy można by rozważyć wypożyczenie relikwiarza np. na rok i uroczyste wystawienie go w Skarbcu Koronnym na Wawelu. To mogłoby umożliwić naszym naukowcom zbadanie relikwiarza, wykonanie dokładnej dokumentacji fotograficznej, a może i jego kopii.

Warto chyba podjąć odpowiedzialne działania w tym kierunku i choćby częściowo spróbować zrekompensować stratę, jaką poniosła nasza ojczyzna i jej kultura.



„Halka” Stanisława Moniuszki, 1900 r.

STANISŁAW MONIUSZKO BYŁ TWÓRCĄ
OPERY NARODOWEJ I NAJWIĘKSZYM TWÓRCĄ
PIEŚNI POLSKIEJ. DZIAŁAŁ W CZASACH ZABORÓW,
W OKRESIE SZCZEGÓLNEGO ZNIEWOLENIA NARODU PO UPADKU POWSTAŃ
LISTOPADOWEGO I STYCZNIOWEGO. KULTURA STAŁA SIĘ JEDYNYM
ORĘŻEM WALKI O UTRZYMANIE TOŻSAMOŚCI NARODU

ROZŚPIEWAŁ POLSKĘ I ZACHWYCAŁ NA SCENIE



IRENA
PONIATOWSKA

Moniuszko przejął się misją służenia polskiej kulturze od czasów młodości. Wychowany na tradycji epopei napoleońskiej roku 1812, w której brali udział jego stryjowie, oraz na „Śpiewach historycznych” Juliana Ursyna Niemcewicza, które śpiewała mu matka, o czym sam wspominał. Już w czasie trzyletnich studiów w Berlinie wydał pieśni do wierszy Mickiewicza,

m.in. „Sen”, „Niepewność”, „Pieszczotka”, „Trzech budrysów” i „Rozmowa”, także w tłumaczeniu na język niemiecki, w wydawnictwie E. Bote und G. Bock. Utwory zostały wysoko ocenione w „Tygodniku Literackim”. Antoni Woykowski tak tam pisał: „Zalecamy więc te pieśni wszystkim muzycznym czytelnikom i czytelniczkom naszym, zaręczając, iż jeżeli nie mają jeszcze smaku na lekkiej włoskiej i francuskiej muzyce zepsutej, wraz z nami życzyć będą, aby utalentowany kompozytor znów wkrótce nas zbiorem kilku tak pięknych pieśni obdarzyć raczył”.

Także Gottfried Wilhelm Finck w „Allgemeine Musikalische Zeitung” z 1839 r. podkreślił szczególnie wdźwięk i pewien narodowy ton tych pieśni mi-

łosnych. A więc wybuch inwencji melodycznej nastąpił już w czasie studiów u K. Rungenhagena. Po powrocie do Wilna Moniuszko, dostrzegając upadek życia muzycznego po powstaniu listopadowym, postanowił stworzyć repertuar pieśni polskich dla śpiewu powszechnego. Swoją plan przedstawił publicznie w 1842 r. w „Tygodniku Petersburskim”, gdzie pisał: „Z każdej strony obijają się o uszy powszechne narzekania na niedostatek śpiewu domowego; chociaż, prawdę mówiąc, nie można o to obwiniać artystów z profesji. W miarę możliwości, środków zachęcen starają się oni najusilniej temu niedostatkowi zaradzać. [...] Nowakowski w Warszawie, a Woykowski w Poznaniu wydali śpiewy, w których [...]

rzadka trafność zastosowania muzyki do myśli oraz iloczasu słów, najznakomitszy dar, jakim się artysta-kompozytor odznaczać i świetnie zabłysnąć w swoim zawodzie może, wyraźnie uczuwać się dają [...] Dobrzyński [...] zapowiada ukazanie się swoich „Piosnek sielskich”; [...] współcześnie pojawiło się kilka śpiewów prawdziwie wyższego stylu w muzyce. Świadczą one, że już u nas zaczęto pojmować poezję muzyki, czuć jej potrzebę i o nią się od kompozytorów dopominać”.

Ofensywa śpiewników

Moniuszko był zorientowany w dość ograniczonym repertorium pieśni polskich, znał też zapewne kilka piosenek Chopina, których odpisy krążyły w powszechnym obiegu przed ich wydaniem w opracowaniu Juliana Fontany w 1859 r., także pieśni obcych kompozytorów jego czasów. Píše więc dalej: „Śpiewnik” mój zawierać będzie zbiór śpiewów na jeden głos z towarzyszeniem fortepiano. Wiersze – starałem się wybierać z najlepszych naszych poetów, mianowicie „Piosnki sielskie”, tudzież „Piosnki wieśniacze znad Niemna” w nim umieściłem, będąc tego przekonania, że te utwory poetyczne najwięcej na sobie charakteru i barwy krajowej okazywały. Nadto poważylem się jeszcze doświadczyć zupełnie nowej u nas formy śpiewu, który w opowiadaniu naiwnym o „Dziadku i babie” w rodzaju baśni gminnych usiłowałem objawić. [...] A to co jest narodowe, krajowe, miejscowe, co jest echem dzieciennych naszych wspomnień, nigdy mieszkańcom ziemi, na której się urodzili i wzrosli, podobać się nie przestanie. Pod wpływem takiego natchnienia układane śpiewy moje, [...] charakter mają krajowy”.

Józef Ignacy Kraszewski w „Tygodniku Petersburskim” umieścił notatkę po ukazaniu się prospektu: „P. Moniuszko [...] obdarzony jest talentem, którego mu nikt dotąd nie przeczył. Wszystkie jego kompozycje odznaczają się uczuciem, dramatycznością (nade wszystko) i zupełną znajomością wszystkich resursów języka, którym przemawia do ogółu. Prosilibyśmy tylko szanownego kompozytora, aby mając wzgląd na przyszłą i pożądaną popularność swych śpiewów, uczynił je o ile możliwości przystępnymi dla ogółu [...]. Chcielibyśmy, aby natchnione utwory Moniuszki zastąpiły miejsca tych błędnych, bezbarwnych śpiewek warszawskich, których tyle widzimy na każdym

fortepiano, tyle słyszymy zawsze jednokowych, zawsze płynących po wierzchu duszy i nie mogących docisnąć się do środka. Dlatego to prosimy Moniuszkę, aby się zniżył do pojęcia ogółu i uczynił łatwym. Stopniowo, później, będzie mógł, oswoiwszy swych czytelników, podnieść do trudniejszej kompozycji”.

Moniuszko był nieco rozgoryczony, ale rozumiał racje Kraszewskiego. Tak zaczęły się pojawiać „Śpiewniki domowe”, pierwsze trzy w ramach subskrypcji, a następne trzy wydane do 1859 r. przez Józefa Zawadzkiego w Wilnie. Osobno wydawał różne pieśni grupowane po kilka, także pieśni religijne („Śpiewnik kościelny”). Po śmierci Moniuszki wyszło następnych sześć „Śpiewników”. Łącznie twórczość pieśniarska Moniuszki wynosi 360 pieśni solowych, duetów i pieśni chóralnych, do tekstów poetów polskich zwłaszcza z kręgu wileńskiego.

Śpiewy dla wszystkich

Pierwszy „Śpiewnik” otwiera „Świtezianka” do słów Mickiewicza, rozbudowana ballada o złożonej konstrukcji, poparta „talentem wyższym”, do którego Moniuszko nie chciał pretendować, zbyt trudna do wykonania dla śpiewaków amatorów. Do najpiękniejszych pieśni zaliczana jest również prosta pieśń zwrotkowa „Morel” do słów Aleksandra Chodźki. Zamieścił też Moniuszko

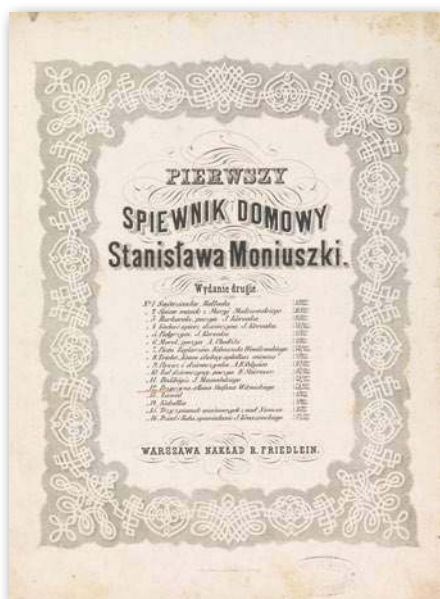
trzy piosnki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny ze zbioru Jana Czczota. Kończy zbiór „Dziad i baba”, utrzymana w tonie łzawo-scherzowym scenka rodzajowa do tekstu Kraszewskiego, w „Prospekcie” określona jako „rodzaj baśni gminnej”. Także III „Śpiewnik” (z „Trenem X” Kochanowskiego) i VI (wyłącznie do tekstów Mickiewicza) wyróżniają pieśni o większych ambicjach artystycznych (ballada „Czaty”), a właśnie w pieśniach lirycznych, miłosnych, w balladach wzniósł się Moniuszko na poziom dorównujący kunsztowi wiersza poety.

Należy dodać, że w IV „Śpiewniku” umieszcza pieśń Goethego w tłumaczeniu Mickiewicza „Znaszli ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa”, uznawaną za najlepsze opracowanie tego tekstu, w porównaniu z wersją Beethovena, Schuberta czy Schumann. Poza tym komponował piosnki sielskie, „wieśniacze” różnych regionów, stylizowane tańce: mazury krakowiaki, polonezy – historyczne dumy, ukraińskie dumki, elegie, pieśni patriotyczne i religijne do tekstów liturgicznych i nieliturgicznych („Do Ciebie, Panie, wznosim nasze modły”), także gatunki niepolskie – barkarola, romanse. Najbardziej znane były w mieszczańskich domach: „Pieśń wieczorna” oraz „Prząśniczka” i „Krakowiaczek: Wesół i szczęśliwy” (w II oraz III „Śpiewniku”). Jego pieśni wydawane były w Petersburgu, Moskwie i w Paryżu.

Moniuszko pieśniarz społecznik złożył w pieśniach z tekstami polskiej poezji obraz XIX-wiecznej Polski – krajobraz, życie ludzi, wydarzenia z historii – wyzyskując przy tym charakterystyczne dla wieloetnicznej Polski formy i gatunki wypowiedzi. Rozśpiewał Polskę na około sto lat. Krytycy wytykali mu posługiwanie się głównie formą zwrotkową, która nie koresponduje z treścią następnych strof poetyckich, brak niekiedy ścisłego pokrywania się frazy muzycznej z myślą wiersza i interpunkcji muzycznej z interpunkcją poezji. Jednak może stylizacja wymowy ludu pozwalała na odstępstwa od sztywnych zasad prozodycznych.

Twórczość na scenę

W 1846 r. przystąpił do napisania opery „Halka” do libretta Włodzimierza Wolńskiego, ale temat krzywdy chłopskiej nie dawał szans na wystawienie. Dwuaktowa „Halka” pokazana została w Wilnie na estradzie (1848) i na scenie (1854). Moniuszko zainicjował werystyczny >>



Pierwszy „Śpiewnik domowy” Stanisława Moniuszki, 1853 r.

>> dramat operowy z realistyczną fabułą i ze współczesnymi sprawami społecznymi, do tego kreował na bohaterkę opery wiejską dziewczynę uwiedzioną przez szlachcica. W latach 50. wprowadził operę do czterech aktów, wprowadził nowe arie („Gdyby rannym słońciem” dla Halki, „Szumią jodły na gór szczycie” dla Jontka), popisowe sceny taneczne – mazura i tańce góralskie, łącząc elementy wielkiej opery francuskiej, opery włoskiej z tradycją narodową. Wystawienie „Halki” 1 stycznia 1858 r. w Teatrze Wielkim w Warszawie było niezwykle sukcesem i zapoczątkowało wystawienie na tej scenie wielu polskich oper za dyrekcji Jana Quattriniego.

Jeszcze w 1858 r. wystawił Moniuszko jednoaktową operę-sielankę „Flis”, z tekstem Stanisława Bogusławskiego, a w lutym 1860 r. trzyaktową operę „Hrabina” znów z librettem Wolskiego. Były to sceny rodzajowe niepozabawione jednak narodowego wydzźwięku, satyra na arystokrację i na cudzoziemską w warszawskich salonach (muzyka baletowa, walc, aria koloraturowa). Mazur „Cztery lata wierniem służył”, cytat z piosenki myśliwskiej „Pojedziemy na łów” podkreślały polskość, a polonez „Pan Choraży”, intonowany przez trzy wiołonce przed III aktem, musiał być na premierze powtarzany pięć razy. 1 stycznia 1861 r. znów przedstawił operę-sielankę „Verbum nobile” do słów Jana Chęcińskiego, który w następnym roku pisał libretto do „Strasznego dworu”.

W tym czasie akcje polityczne zablowały działalność Teatru, a powstanie styczniowe pogrążyło naród w żałobie. Potrzebna była nadzieja czerpana z przeszłości Polski. Chęciński zrobił fabularny zlepek z komedii Augusta von Kotzebuego „Zamieszczenie, czyli dwie prababki”, z romantycznych fantazyjnych widm, nawiązań do scen z oper Verdiego i „nuty zaściankowej” z obyczajowością szlachecką i ukrytą tradycją powstańczą. Stworzył epopeję narodową, którą Moniuszko wsparł polonezem „Mieć w miłości kraj ojczysty”, liryczną pieśnią „Cisza dokoła, noc jasna”, kurantem, tercetem „Cichy domku”, sceną przątek „Spod igiełek kwiaty rosną”, sceną lania wosku, humorystyczną arią Skołuby „Ten stary zegar” i kłótnią myśliwych. Te sceny rodzajowe oraz tryskający temperament mazur i finał IV aktu złożyły się na arcydzieło świadczące o wielkim talencie i dojrzałości stylu Moniuszki.



Sukcesy i zastoje

Żarliwe manifesty publiczności na trzech przedstawieniach w 1865 r. doprowadziły do zakazu dalszych spektakli przez carską cenzurę. Wznowiono je w 1874 r., po śmierci Moniuszki, ale z retuszami libretta i usunięciem prologu (powrót bohaterów z „powstańczej” walki), który nie mógł być wykonywany do 1905 r. Jedynie we Lwowie premiera w 1877 r. odbyła się w wersji oryginalnej, jaka była utrzymana do I wojny światowej (Galicja miała autonomię).

W 1869 r. Moniuszko napisał „Parię”, ale tematyka hinduska nie zadowalała publiczności, ponadto występy opery włoskiej wycofały ją ze sceny. Krytycy nie mogli wybaczyć Moniuszce wodewilu „Beata”, baletów „Monte Christo” według Aleksandra Dumasa (ojca) czy „Figue szatana” we współpracy z Adamem Münchheimerem (1870). Domagali się narodowych arcydzieł, co źle wpłynęło na stan fizyczny i siły twórcze kompozytora. Od młodości pisał małe formy sceniczne – operetki, sielanki, wodewile, krotkowie: „Nocleg w Apeninach”, „Nowy Don Kichot”, oba utwory do tekstu Aleksandra Fredry, „Żółta szlafmyca”, wg Franciszka Zabłockiego, także „Jawnuta” wg „Cyganów” Franciszka D. Książnika. Komponował też muzykę do sztuk teatralnych, kantaty o tematyce litewskiej do drugiego wydania „Witoloraudy” Kraszewskiego, oraz „Milda” i „Nijoła”; do słów Mickiewicza – „Widma” (II cz. „Dziadów”), także „Sonety krymskie” i balladę w typie kantaty „Pani Twardowska”.

Nie można pominąć muzyki religijnej – wspomnianych pieśni religijnych, mszy, trzy łacińskie i cztery polskie („Pienia żałobne”, z tekstem Alojzego Felińskiego,

1850; „Msza piotrowska B-dur”, z tekstem Justyna Wojewódzkiego, wykonana w 1872 r. w kościele ss. wizytek kilkanaście dni przed śmiercią Moniuszki) oraz wysoko cenione „Cztery Litanie Ostrobramskie” (1843–1855) wyrażające ludową duchowość maryjną. Był par excellence twórcą muzyki wokalne. Pozostawił tylko dwie uwertury orkiestrowe (uwertura fantastyczna „Bajka”), dwa kwartety smyczkowe, drobne miniatury fortepianowe.

* * *

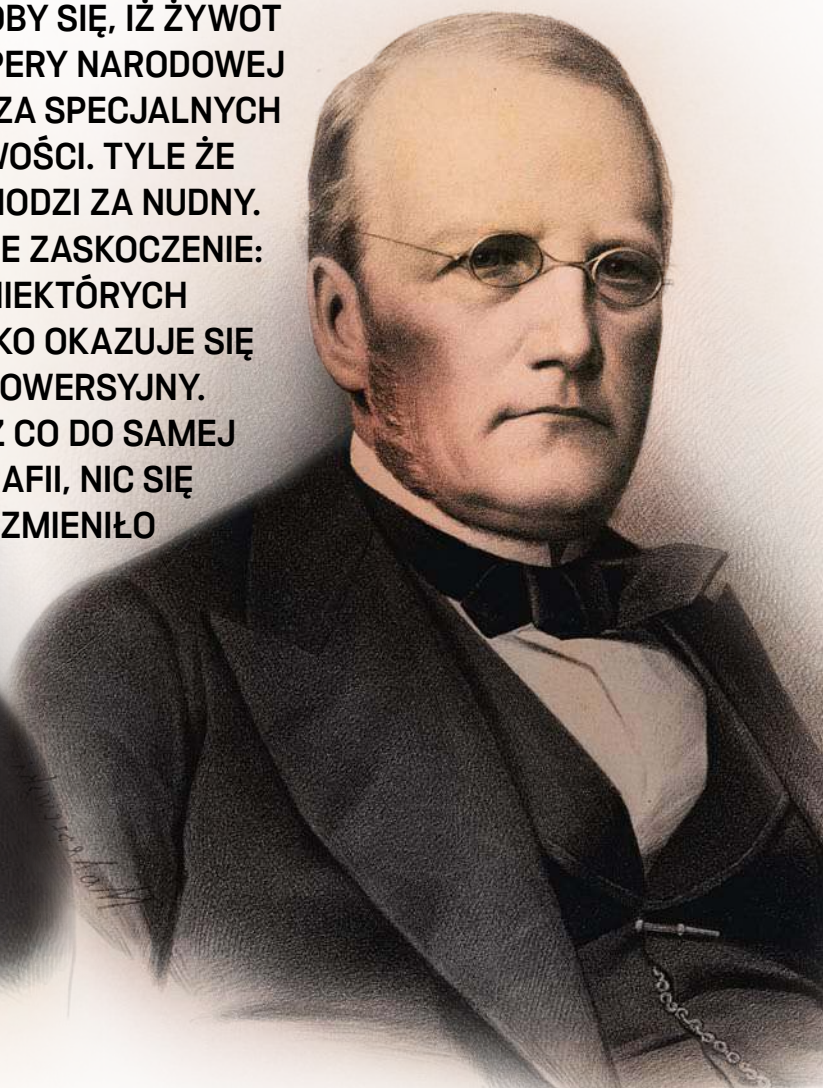
Moniuszko jest wielkim twórcą narodowym, ale w pisarstwie i krytyce muzycznej był traktowany głównie w duchu apologii polskości, a nie artyzmu, i doświadczył zwłaszcza w okresie modernizmu i międzywojnia dość ostrej krytyki. Nazywano go „lirnikiem wioskowym”, „małym romantykiem” w zestawieniu z wielkością Chopina, artystą o wymiarze lokalnym, niewytwarzającym nowych dróg muzyce (monografie Zdzisława Jachimeckiego, Henryka Opieńskiego). Po wojnie wpisany został w nurt socrealizmu (monografia Witolda Rudzińskiego). Wydanie „Dzieł wszystkich” zostało przerwane, obecnie PWM wraca do idei nowej edycji „Śpiewników” i krytycznych wydań oper.

Dwusetlecie urodzin Moniuszki winno stać się manifestacją, przyznaniem mu miana narodowego wieszczka, obok Chopina, trzech wielkich poetów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, może także Norwida, Matejki czy Sienkiewicza – wszak narodowość była dla niego nakazem moralnym.

Ale też uznaniem kunsztu wielkiego artysty.

MONIUSZKI BIOGRAFIA (NIE)KONTROWERSYJNA

WYDAWAŁOBY SIĘ, IŻ ŻYWOT
TWÓRCY OPERY NARODOWEJ
NIE WZBUDZA SPECJALNYCH
WĄTPLIWOŚCI. TYLE ŻE
MOŻE UCHODZI ZA NUDNY.
A TU NAGLE ZASKOCZENIE:
DLA NIEKTÓRYCH
MONIUSZKO OKAZUJE SIĘ
KONTROWERSYJNY.
CHOCIAŻ CO DO SAMEJ
BIOGRAFII, NIC SIĘ
NIE ZMieniŁO



**JACEK
KOWALSKI**

Intrada

Muzyka Moniuszki jest arcy polska – tak się przynajmniej pisze – ale nie europejska, bo europejskiego obywatelstwa nie zdobyła. Jedynie „Halka” weszła na

stałe do repertuaru opery... rosyjskiej. Dlaczego? Polacy debatują od ponad stulecia. Bo: „zaściankowy twórca”, „dyletant, pozbawiony szerszych horyzontów” albo „niezrozumiały dla cudzoziemców, bo nazbyt polski” czy też „wielki talent rozmienny na rzecz patriotyzmu”. Lub radykalnie: „nie zachwyca, bo kiepski, cała ta twórczość to patriotyczna propaganda”.

A jednak zachwyca. Autor daje na to słowo honoru. Z odczytywanej zaś na

nowo korespondencji mistrza wyłania się błyskotliwy, tryskający humorem intelektualista, obyty ze sztuką i z myślą swojej epoki.

Bo może jest po prostu tak, że do międzynarodowego sukcesu narodowej opery potrzeba więcej niż jednego geniusza i jednego fortepianu? A poza tym zapytajmy, czy nasz Moniuszko został już odpowiednio zbadany? Czy jego dzieła są powszechnie dostępne? Nie? To o czym dyskutować?

» Ale ja mam tu zarysować biografię, a nie wydziwiać.

Zamożne dzieciństwo

Przyszedł na świat 5 maja 1819 r. we dworze w Ubielu nieopodal Mińska. W starszszlacheckim świecie obywateli dawnego Wielkiego Księstwa. Był więc z urodzenia „Litwinem” – w znaczeniu, jakie nadała temu słowu rzeczywistość I Rzeczypospolitej. Zbyt często zapominamy, że tak rozumiana „Litwa” stanowiła przez wieki potężny, twórczy obszar polskiej kultury. Dopiero rodzące się powoli w XIX w. nacjonalizmy litewski i białoruski zmieniły ów stan rzeczy. Za młodych lat Moniuszki jeszcze o tym mowy nie było.

Z domu wyszedł bogaty. Jego dziad, ubogi szlachetka z Podlasia, własną przemyślnością osiągnął magnacki prawie majątek i zaszczytny urząd sędziego. Wielkie dziedzictwo zmarniało, podzielone między ojca i stryjów kompozytora, niemniej Stanisław długo czerpał zyski ze swojej części. Ważniejsze może okazało się dziedzictwo duchowe: dziad był pobożny i wielodziełny, a pośród stryjów panował oświeceniowy, wielkopolski „tendencyjny demokratyzm”, patriotyzm i amatorskie zamiłowanie do sztuk. Do powstań nie rwali się jednak. No, chyba żeby się przydarzył Napoleon. W 1812 r. się przydarzył: wtedy Moniuszkowie rzucili majątek na szalę dziejów. Jeden z nich uformował własnym kosztem pułk i z częścią braci ruszył na Moskwę.

Po upadku Napoleona pozostało Królestwo Polskie, namiastka wolnej ojczyzny. Moniuszkowie na półtora roku zjechali z małym Stasiem do Warszawy, jak wiele innych kresowych rodzin ziemiańskich, żeby chłonąć życie narodowej elity: teatry, przyjęcia. Staś otrzymał „metra”, czyli nauczyciela muzyki. Nie był cudownym dzieckiem, ojciec chciał go wykirować na urzędnika. Dopiero po powrocie na Mińszczyznę i ukończeniu gimnazjum talent wziął górę. Stryj Aleksander zabierał go wtedy do Wilna na bale i koncerty. Mieszkali w apartamencie wynajętym w domu państwa Müllerów. Panna Oleśia Müllerówna usłyszała przez ścianę, jak młodzieniec gra na modnym eolomelodykonie. Wkrótce Staś poprosił o jej rękę. Matka postawiła warunek: niech najpierw obierze sobie jakie zajęcie. On zaś „postanowił sobie kształcić się na

artystę”. Ojczyzna, stłamszona represjami po powstaniu 1830 r., nie dawała szans takiego wykształcenia. Więc Berlin. Ojciec nie pożądał grosza i panicz trafił do domu samego Karola Fryderyka Rungenhagena, dyrektora berlińskiej Singakademie. W 1838 r. wyszły drukiem w Berlinie pierwsze pieśni Stanisława, przychylnie recenzowane. Po powrocie wziął ślub z Omką i zamieszkał u boku teściów. Miał ledwo dwudziestkę!

Wilno Moniuszki

W otwartym domu Moniuszków gromadzili się „księża, hrabiowie, urzędnicy, oficerowie, poeci, rzemieślnicy, hreczkoście, młodzież ucząca się i Bóg wie nie kto”, a na kompozytora spoglądano „jako na panicza, przez kaprys muzyką się bawiącego, i nazywano go ekscentrycznym dyletantem” (to słowa przyjaciela i pierwszego biografa Moniuszki, Aleksandra Walickiego). Inni już wtedy pisali, że przyjął rolę „brylanta rzuconego między chwasty”. No bo tak: szlachecki synek zamieszkał sobie w prowincjonalnym mieście, został organistą (przy kościele św. Jana), dawał lekcje muzyki, organizował koncerty, założył towarzystwo muzyczne św. Cecylii, komponował litanie do miejscowej kaplicy świętego obrazu. Czy to zajęcie godne dziedzica?

Wkrótce zaczął wydawać sensacyjną serię „Śpiewników domowych”, które zyskały mu wielbicieli w najdalszych zakątkach Polski. Układał pieśni do słów polskich poetów – przede wszystkim tych z dawnego Wielkiego Księstwa. Zachęcony sukcesem chciał napisać operę, ale brakło we Wilnie poety, który stworzyłby dobre libretto.

„Halka”, Petersburg, Warszawa

Szczęściem jeden z warszawskich krytyków ściągnął go na stołeczne salony i zapoznał z Włodzimierzem Wolskim, który napisał libretto „Halki”. Wileńska premiera w 1848 r. odniosła sukces i partytura powędrowała zaraz do Warszawy, do Teatru Wielkiego. Ale tam włożono ją do szuflady. Na dziesięć lat! Bo co dobrego może być z Wilna?

Moniuszko wyruszył więc do Petersburga. Liczył na posadę, pensję. Poszło mu świetnie. Na drugie wykonanie „Mildy” przybył następca tronu, prasa pisała, że „utwór p. Moniuszki miałby powodzenie i w Paryżu, i w Londynie,

i w Wiedniu”. Tyle że posady nie zdobył i wrócił do Wilna.

Po dekadzie los się wreszcie uśmiechnął. Prezesem Teatrów Rządowych i jednocześnie... oberpolcymajstrem został zruszczony Polak, generał Ignacij Joachimowicz Abramowicz. Był to dawny napoleoński żołnierz – podwładny moniuszkowego stryja. Ten ponoć kazał zdjąć „Halkę” z półki i wystawić. „Zapału wielkiego w teatrze nie było – wspominał ówczesny dyrektor chóru – bo nie było zbyt silnej wiary w wysoką wartość dzieła”. Premiera 1 stycznia 1858 r. przeszła wszelkie oczekiwania. Szał i sensacja. Moniuszko pisał do żony, do Wilna: „Moja Duszko! Więc już po wszystkim – Powodzenie zupełne [...] – Mnie wybaczenie, że bez sensu piszę. – Nie pojmujecie, co się ze mną dzieje”. Walicki podsumował po latach: „Wyznać musimy, żeśmy do Moniuszki opery własnej nie mieli. [...] Przedstawienie »Halki« w Warszawie jest równie epoką w życiu Moniuszki, jak i w dziejach opery naszej”. Odtąd „Halka” nie schodziła ze sceny. Za życia Moniuszki odegrano ją 150 razy.

Życie stołeczne i dylematy „rewolucji moralnej”

Z punktu został „dyrektorem” warszawskiego Teatru Wielkiego, czyli dyrygentem od polskich oper. Zamieszkał z rodziną w samym centrum. Wcześniej wybrał się do Paryża, żeby promować swoją muzykę. Zebrał pochlebne opinie i wrócił z kwitkiem. Na miejscu za to odnosił kolejne operowe sukcesy: w 1858 r. jednoaktówka „Flis”, w 1860 – „Hrabina”, w 1861 – „Verbum nobile”. Libretto do tej ostatniej opery napisał nowy współpracownik, w jednej osobie poeta wysokiego lotu, dramaturg, tłumacz librett, reżyser i aktor – genialny w swoim rodzaju Jan Chęciński.

Praca paliła się Moniuszce w rękach, ale i czas był gorący. Premiera „Halki” przypadła na początek „rewolucji moralnej” w Królestwie Polskim. A było tak: Rosja poniosła upokarzającą klęskę w wojnie krymskiej, Włochy zjednoczyły się na przekór Austrii, którą pobił Napoleon III, car Aleksander II musiał odpuścić nieco władzy i nastąpiła „odwilż”, zstąpić wracali do kraju, cenzura osłabła, otwierano znów wyższe szkoły. Oczyma duszy widziano już francuskie wojska nad Wisłą i niepodległość, więc „czerwoni” organizowali powstanie, „biali” od-

suwali je w dalszą przyszłość, a wszyscy konspirowali. Pod oknami Moniuszków przetaczały się manifestacje, brzmiało „Boże coś Polskę”, w kościołach odprawiano nabożeństwa za ojczyznę. Potem przyszły uliczne masakry, zbezczeszczenie świątyń przez wojsko, stan wojenny, wreszcie powstanie, do którego „biali” się przyłączyli, chcąc nie chcąc. Przyjaciele domu Moniuszków ginęli, znikali na Syberii albo na emigracji i znów nastał popowstaniowy marazm.

Moniuszko był „biały” i do powstania się nie mieszał. Raz lub dwa dyrygował podczas nabożeństw za ojczyznę, ale trwał na rządowym stanowisku „dyrektora” – tzn. na straży polskiej sceny. Patrioci bojkotowali rządowy teatr, ale z wyjątkiem jego przedstawień. Niestety bojkot uderzał wprost w egzystencję polskich muzyków...

„Straszny dwór”

Przez cały ten czas Moniuszko tworzył, współ z Janem Chęcińskim, najważniejszą ze swoich, „a w każdym razie najbardziej polską” ze wszystkich polskich oper w ogóle – „Straszny dwór”. To arcydzieło uwieńczyło ważny zwrot w jego twórczości. Wcześniejsze dzieła miały społeczne ostrze i ludowych bohaterów (taki był zresztą ogólnoeuropejski trend): uwiedzona przez szlachcica góralka Halka, buntowniczy góral Jontek,

flisak Franek. Teraz na plan pierwszy wyszła materia staroszlachecka. Szedł tu Moniuszko za tradycją zarówno rodzinną, jak i literacką – wszak „romantyczny sarmatyzm” krzewił się bujnie w pismach Mickiewicza, Słowackiego, Rzewuskiego, Pola, Syrokomli. „Straszny dwór”, ukończony tuż przed powstaniem 1863 r., to muzyczna antologia „sarmackich” tematów naszej literatury, opracowana z niezrównanym talentem. Nie ma tu niby dramatu, nie ma też komedii (choć temat rzekomo komediowy), ale między wierszami, w melodiach, w atmosferze był prawdziwy dynamit – wystrzałowa polskość, a wszystko ściśle odpowiadało problemom „rewolucji moralnej”. Nic dziwnego, że genialny „Straszny dwór”, wystawiony rok po klęsce powstania, tak poruszył emocje publiczności, że „matka cenzura” błyskawicznie zdjęła go z afisza. Za życia Moniuszki nie wrócił na scenę.

„Paria” i finał

Pozostało jeszcze Moniuszce kilka lat krótkiego, pracowitego żywota. Nie wspominałem, że bywał przecież za granicą: w Czechach, w Rosji, w Galicji – we Lwowie i w Krakowie. Były to pobyty triumfalne, choć poza Polską mało go potem pamiętano. I niestety ostatnia jego opera, „Paria”, którą uważał za swoje najlepsze dzieło i z którym chciał wyjść

na szeroki świat (ze względu na egzotyczny, „indyjski” temat), okazała się totalną kląpą. A 4 czerwca 1872 r., w wieku lat 53, rannym świtem – relacjonuje Walicki – „[...] wyszedł według zwyczaju do kościoła i następnie, załatwiwszy niektóre w mieście interesy, o godzinie 10-ej wrócił do domu. Właśnie wchodził na wschody, kiedy go chwycił atak sercowy. Wprowadzono go do mieszkania, wezwano lekarza, użyto wszelkich środków ratowania, lecz na próżno. O godzinie 6 po południu już nie żył, pozostawiając rodzinę bez żadnych środków. [...] tłum stutysięczny grzebał [go] z okazałością, nigdy w Warszawie niewidzianą”.

Moniuszko niewygodny?

Żywot Moniuszki jest, przynajmniej, banalnie prosty. Żadnych duchowych napięć, sama praca, żona i dziesięcioro pociech. Postawa konserwatywno-patriotyczno-nabożna: Matka Boska na ścianie, modlitwa przed każdą premierą, codzienna msza święta. Może dlatego pojawiają się dziś „odbrązawiacze” suflujący: że to konformista, kolaborant i „fanatyk religijny”. No, czyli patron na nasze czasy. Żeby nie było gołostownie, podam państwu historyjkę taktownie ukrytą przez Walickiego w przypisie do pośmiertnej biografii kompozytora: „[...] pewien dawny znajomy Moniuszki, zamieszkały od lat kilkunastu we Francji, wracając po długiej niebytności do kraju [...] zaszedł go odwiedzić. [...] Moniuszko [...] zaprosił go do siebie na wilią [Wigilię]. [...] kiedy po przełamaniu opłatka wszyscy do stołu zasiedli, gość zaczął dowcipnie wyszydzać dawne zwyczaje religijne, ciemnoty tylko dowodzące, dziwiąc się, że się jeszcze dotychczas przechowywały. W rozmowie tej przyznawał się do ateizmu i religią wyśmiewał. Moniuszko z początku tej rozmowy dał poznać wyraźnie, że nie tylko zdań jego nie podziela, lecz że wobec całej rodziny, nawet prowadzenie podobnej rozmowy, wcale mu [się] nie podoba. Lecz niedyskretny gość, nie zważając na to, coraz bardziej w tej kwestii drażliwej się zagłębiał. Moniuszko zerwał się od stołu i otworzywszy drzwi, poprosił gościa, żeby natychmiast dom jego opuścił. Kto znał grzeczność i delikatność Moniuszki, ten pojmie, jak silne musiały być powody, skoro go do takiej gwałtowności doprowadziły”.

Okrutnie mi się to podoba.

Orszak pogrzebowy Moniuszki, 7 czerwca 1872 r., rys. Henryk Pillati



STANISŁAWA MONIUSZKI ŻYCIE I POTOMKOWIE

**5 MAJA 1819 r. O GODZINIE 4 RANO,
W UBIELSKIM DWORKU POLSKIEJ SZLACHTY,
HERBU KRZYWDA, URODZIŁ SIĘ PRZYSZŁY
KOMPOZYTOR – STANISŁAW MONIUSZKO. JEDYNY
POTOMEK CZESŁAWA MONIUSZKI I ELŻBIETY
Z MADŹARSKICH. NA CHRZCIE 8 MAJA 1819 r.
OTRZYMAŁ IMIONA STANISŁAW JAN CZESŁAW
EDWARD KAZIMIERZ. PODOBNO NAD KOLEBKĄ
NIEMOWLĘCIA JASKÓŁKA ULEPIŁA SWOJE
Gniazdko, SYMBOL RODZINNEJ POMYŚLNOŚCI**



FOTOGRAFIE Z PRYWATNEGO ARCHIWUM RODZINY MONIUSZKÓW

Stanisław Józefat Moniuszko
(Wilno 1843 – Warszawa 1905),
syn kompozytora; był żonaty
z Dorotą Heleną z d. Damrosz;
mieli syna Aleksandra Izydora
(1868 Warszawa – 1914
Warszawa)

Józefa Maroszka opublikowane w 2010 r.
wspólnie z Ryszardem W. Bednarkiem.

Lata edukacji

Przyszły kompozytor miał szczęście urodzić się w rodzinie dobrze wykształconej polskiej szlachty. Tylko jego ojciec Czesław nie ukończył studiów wyższych. Od wczesnej młodości Stanisław Moniuszko chętnie korzystał m.in. z bogatej, różnorodnej biblioteki swojego stryja Kazimierza Moniuszki, w której znajdowało się ponad 1000 woluminów. Jako niespełna siedmioletni chłopiec Stanisław już umiał samodzielnie i bardzo poprawnie napisać w języku francuskim list do swojej ciotki, Wiktorii Madżarskiej. Pierwszą nauczycielką muzyki i śpiewu małego Stanisława była jego matka Elżbieta.

W 1827 r. Moniuszkowie przyjechali do Warszawy. Ośmioletni Stanisław podjął naukę w czwartej klasie szkoły oo. pijarów oraz lekcje muzyki u Augusta Freyera. Był uczniem bardzo pracowitym i wszechstronnie uzdolnionym. Otrzymywał bardzo dobre oceny z języ-



**ELŻBIETA
JANOWSKA-
MONIUSZKO***

Zpamiętnika Czesława Moniuszki, byłego kapitana wojsk napoleońskich, ojca kompozytora, dowiadujemy się, że ród Moniuszków prawdopodobnie pochodzi od dwóch włoskich rycerzy o nazwisku Monneo, którzy w XV w. przybyli na ziemię polskie. Píše o tym także pierwszy biograf kompozytora i jego znajomy Aleksander Walicki: „...W istniejących wtedy rozterkach krajowych, obaj czynny udział wzięli, i tak dobrze stronie zwycięskiej się

zasłużyli, iż w nagrodę nadano im indygenat z nazwiskiem Moniuszków, i herb Krzywdę. Osiedlili się następnie w ziemi Bielskiej, w województwie Podlaskim, około rzeki Biebrzy, i dali początek licznie rozrodzonemu potomstwu [...]”. Pierwszy ślad urzędowy znajduje się w przywileju libertatis notius Nobilitatis districtus Goniądzensis et Raygrodensis w roku 1529 [...] w zamku Wileńskim przez Zygmunta I-go wydanym...”. Według Walickiego ten dokument jeszcze w 1820 r. znajdował się w aktach Goniądza.

Protoplastą rodu był Piotr Moniuszko, któremu król Zygmunt I Stary potwierdził szlachectwo oraz herb Krzywdę i obdarzył trzema wioskami na Podlasiu: Wielkie Moniuszki, Klewianka i Smogorzówka. O tym też pisał Walicki w 1873 r. i potwierdziły to badania naukowe prof.

ków obcych – łaciny, francuskiego i niemieckiego, ale także z historii, matematyki i nauk przyrodniczych.

Latem 1830 r. Moniuszkowie wyjechali na wakacje do Ubiela i nie powrócili do Warszawy. W 1831 r. 12-letni Stanisław rozpoczął naukę w mińskim gimnazjum, a lekcje muzyki pobierał u mińskiego nauczyciela Dominika Stefanowicza. Od 1834 r. chłopiec, unikając rusyfikacji w szkole, uczył się w domu. Oficjalnym powodem decyzji rodziców był zły stan zdrowia syna. Nauka w domu przyniosła dużo lepsze efekty.

W 1836 r. 17-letni Stanisław Moniuszko w Wilnie poznał Aleksandrę Müllerównę, z którą się zaręczył.

Od września 1837 r. do lipca 1840 r. przyszły kompozytor odbył wyższe studia muzyczne w Berlinie u dyrektora Singakademii, dyrygenta i profesora kompozycji Carla Friedricha Rungenhagena. Łatwość uczenia się i pracowitość Stanisława sprawiły, że preceptor zostawił młodemu Moniuszce swobodę w pracy nad sobą, powierzył mu funkcję swojego asystenta, a nawet dał mu gościnę we własnym domu. Stanisław szybko rozpoczął akompaniowanie śpiewakom, udzielał korepetycji muzycznych, a pod nieobecność prof. Rungenhagena dyrygował chórem.

W lipcu 1840 r. Stanisław Moniuszko wrócił do Polski z dyplomem studiów wyższych i 25 sierpnia 1840 r. ożenił się z Aleksandrą Müllerówną.

Rodzina

Wielu historyków i muzykologów pisało o losach Stanisława Moniuszki jako zawodowego artysty, więc nie będę powtarzać tych informacji. Jednak pragnę zaznaczyć tutaj, że niedostatki finansowe w rodzinie Stanisława i Aleksandry Moniuszków w znacznej mierze były skutkiem niskich opłat za lekcje muzyki, których udzielał kompozytor, finansowania przez niego nauki i koncertów jego młodych uczniów i artystów, których uznawał za bardziej potrzebujących niż jego rodzina. Nawet w czasach największej swojej sławy Stanisław Moniuszko bardzo nisko wyceniał swoje dzieła, a wydawcom przyznawał prawo wieczystej własności do nich, bez ograniczenia czasu i liczby edycji. Różnie interpretuje się także staranie kompozytora o zatrudnienie w Petersburgu. Jego listy z 1842 r. pozwalają czytelnikowi ro-



Synowie kompozytora – Bolesław i Stanisław

zumieć, dlaczego starał się o tę posadę i co naprawdę czuł, jeżdżąc do stolicy Imperium Rosyjskiego. Np. w liście do teściowej 23-letni kompozytor pisał: „Rozpisałem się... bom zupełnie zapomniał się, i zdawało się, że w rozkosznie potulnej kanapie rozwała się pieśczone synało (syn Kazimierz ur. w 1842 r., a zmarły w 1843 r.) w drugim pokoju, a na stole samowar kipie, zapowiadając wyborną herbatę – i przysłowie sprawdza się, że wszędzie może być dobrze, ale w domu najlepiej... Biedny, ale pocziwy SM”.

Stanisław Moniuszko ciągle prowadził wewnętrzną walkę pomiędzy pragnieniem bycia przy żonie i dzieciach, a koniecznością starania się o zarobki.



Jan Moniuszko (1853 Wilno – 1908 Warszawa), syn kompozytora (ostatnie dziecko artysty)

Szczęśliwie przy kompozytorze zawsze trwała kochająca cała rodzina. To dodawało mu sił.

Pomiędzy rokiem 1841 a 1857 urodziło się czterech synów i sześć córek Aleksandry i Stanisława Moniuszków: Elżbieta (1841), Kazimierz (1842), Stanisław (1843), Bolesław (1845), Maria (1846), Jadwiga (1847), Zofia (1849), Aleksandra (1852), Jan (1853), Cecylia (1857). Niestety Kazimierz, Maria i Aleksandra zmarły w dzieciństwie.

W drodze do Teatru Wielkiego

Podczas pobytów w Petersburgu w 1849 i 1854 r. Moniuszko odnosił sukcesy ze swoją uwerturą koncertową „Bajka” i kantatą „Milda”. O jego liryczne wokalne Aleksander Sierow, rosyjski krytyk muzyczny, pisał: „Wdzięk i szlachetność intonacji, prześliczne i umiejętnie opracowanie, zdecydowana swoboda i umiar – oto szczególnie wyraziste walory pieśni p. Moniuszki”. W stolicy imperium poznał Moniuszko osobiście Michaiła Glinkę i Aleksandra Dargomyżskiego, wysoko ceniących jego twórczość.

Przygotowując się do zapowiedzianego powierzenia mu stanowiska dyrektora w warszawskim Teatrze Wielkim, odbył długą podróż zagraniczną dzięki staraniom Marii Kalergis. Dotarł do Paryża przez Kraków, Berlin, Drezno, Lipsk, Moguncję, Kolonię, Pragę, gdzie poznał Bedřicha Smetanę, i Weimar, gdzie spotkał się z Franciszkiem Lisztem. Po powrocie został od 15 sierpnia 1858 r. dyrektorem (głównym dyrygentem) warszawskiego Teatru Wielkiego, a 2 listopada 1858 r. na stałe zamieszkał w Warszawie ze swoją rodziną.

Będąc ponownie w Paryżu w 1862 r., Stanisław Moniuszko zadeedykował Gioacchino Rossiniemu swoją III Litanię Ostrobramską, wydaną tego roku w Paryżu u Flaxlanda. Dzieło zachwycało włoskiego mistrza i w liście do autora Rossini pisał: „Szczęśliwy, że mogę ci tu wyrazić szczerze moje powinszowanie z powodu dzieła, które godnością stylu i religijną prostotą winno zyskać świetne powodzenie [...], więc przyjmuję dumny z tego koleżeństwa”.

W 1865 r. w Warszawie sukces odniosła opera „Straszny dwór”. Jednak cenzura carska po trzech przedstawieniach zakazała jej wystawiania. Rok 1868 >>

>> to sukcesy „Halki” w Pradze, a dalej w Moskwie (1869) i Petersburgu (1870).

Dorobek kompozytorski

Dobrze mieć świadomość, jak wiele w ciągu swojego 53-letniego życia Stanisław Moniuszko skomponował. 14 oper – niektórych z nich nie ukończył: „Betty”, „Biuraliści”, „Cudowna woda”, „Flis”, „Halka”, „Hrabina”, „Paria”, „Rokiczana”, „Sen wieszcz”, „Sielanka”, „Straszny dwór”, „Szwajcarska chatka” (nuty odnalezione w 2013 r. przez dr. Grzegorza Zieziulę), „Trea”, „Verbum nobile”; 11 operetek: „Beata”, „Ideal, czyli nowa precjoza”, „Jawnuta” (Cyganie), „Karmaniol, czyli Francuzi lubią żartować”, „Loteria”, „Nocleg w Apeninach”, „Nowy dziedzic”, „Nowy Don Kiszot, czyli sto szaleństw”, „Pobór rekrutów”, „Walka muzykantów”, „Żółta szlafmyca”; muzykę do czterech baletów: „Figle szatana”, „Libella albo zemsta owadu”, „Monte Christo”, „Na kwaterunku”; muzykę do 14 sztuk teatralnych, m.in. do: „Fedry” Racine’a; „Hamleta” i „Kupca Weneckiego” Shakespeare’a; „Lilli Wenedy” Słowackiego; „Zbójców” Schillera; 268 pieśni zawartych w 12 „Śpiewnikach domowych”. Jest też autorem 15 kantat i ballad, blisko 90 utworów muzyki sakralnej na chór



Wnuk Aleksander Izidor Moniuszko

i organy oraz głosy solo (cztery litanie oraz pieśni i msze). Skomponował też 119 utworów na orkiestrę, fortepian solo, głos solo, kontredanse, kwartety i kwintety smyczkowe dla zespołów kameralnych.

Kompozytor od 1864 r. był również pedagogiem w warszawskim Instytucie Muzycznym. Tam prowadził klasę chóralną, wykładał harmonię, kontrapunkt i kompozycję. 5 listopada 1871 r. w Warszawskim Towarzystwie Muzycznym Stanisław Moniuszko dał swój ostatni w życiu koncert kompozytorski.

4 czerwca 1872 r., w wieku 53 lat, zmarł na atak serca w swoim domu przy ul. Mazowieckiej 3 w Warszawie. W dniu 7 czerwca 1872 r., po mszy w kościele św. Krzyża, gdzie muzycy wykonali „Requiem” S. Moniuszki, kilkaset tysięcy warszawiaków w pieszym kondukcje żałobnym odprowadziło ojca polskiej opery narodowej w ostatnią drogę na warszawski cmentarz Powązkowski.

Potomkowie

Ubiel, gdzie urodził się Stanisław Moniuszko, dzisiaj należy do Republiki Białorusi. Ta część ówczesnej Polski była tygłem kulturowym, ale rodzina Moniuszków była rdzennie polska. W liście z 22 października 1855 r. do Józefa Sikorskiego kompozytor tak pisał o sobie: „Wierzę, kochany Józefie, nie jak Litwinowi (gdyż nim nie jestem – gniazdo nasze na Podlasiu, a z gałązki, która się stamtąd na Litwę zawieruszyła, ja jestem tylko drugim, ledwo kolankiem)...”.

Do dzisiaj żyje ponad sześćdziesięcioro potomków kompozytora. Członkowie linii po córce kompozytora Elżbiecie mieszkają w Polsce, w Kanadzie i na Węgrzech. Nie noszą nazwiska Moniuszko, bo są

„po kądzieli”. Z linii po córce Jadwidze pochodzi m.in. fundator i prezes Fundacji im. Stanisława Moniuszki, Stanisław Kazimierz Wójcik, ojciec dwóch synów (Aleksandra i Adama). Żyjących w prostej linii potomków kompozytora „po mieczu”, noszących nazwisko Moniuszko, jest sześćcioro (dwóch mężczyzn i cztery kobiety). Wywodzą się od syna kompozytora, też Stanisława – mieszkają w Polsce i we Włoszech.

Większość potomków kompozytora grała i gra na różnych instrumentach. I tak 88-letnia dziś mieszkanka Sopotu, przez 42 lata prowadziła klasę fortepianu w Gdańskiej Akademii Muzycznej. 50-letni praprapraprawnuk po jego synu Stanisławie ukończył Wydział Reżyserii Dźwięku w Warszawskiej Akademii Muzycznej. Praprapraprawnuczka, po córce Elżbiecie, 25-letnia Wiktoria Halmay, urodzona na Węgrzech, jest koncertmistrzem sekcji altówek w zawodowej węgierskiej orkiestrze Obudai



Stanisław Aleksander Moniuszko (Warszawa 1895 – Warszawa 1943), prawnuk kompozytora po jego synu Stanisławie (trzecie pokolenie po kompozytorze) – oficer AK, rozstrzelany na Pawiaku; był żonaty z Czesławą z d. Blumenthal, mieli czterech synów: Wojciecha, Tadeusza, Stanisława (zmarł jako niemowlę), Adama i córkę Danutę



Tadeusz Józef Moniuszko (Warszawa 1921 – Warszawa 1983), praprawnuk kompozytora po jego synu Stanisławie (czwarte pokolenie po kompozytorze) (był żonaty z Wandą z d. Stojek; mieli syna Marcina 1946–2013)



Adam Moniuszko (Warszawa 1929 – Warszawa 1993), praprawnuk kompozytora po jego synu Stanisławie (czwarte pokolenie po kompozytorze) (był żonaty z Janiną z d. Olejnik, I-mo voto Jagodzińska), z synem Piotrem Wojciechem Moniuszko (Warszawa 1966), prapraprawnikiem kompozytora, po jego synu Stanisławie (piąte pokolenie po kompozytorze)



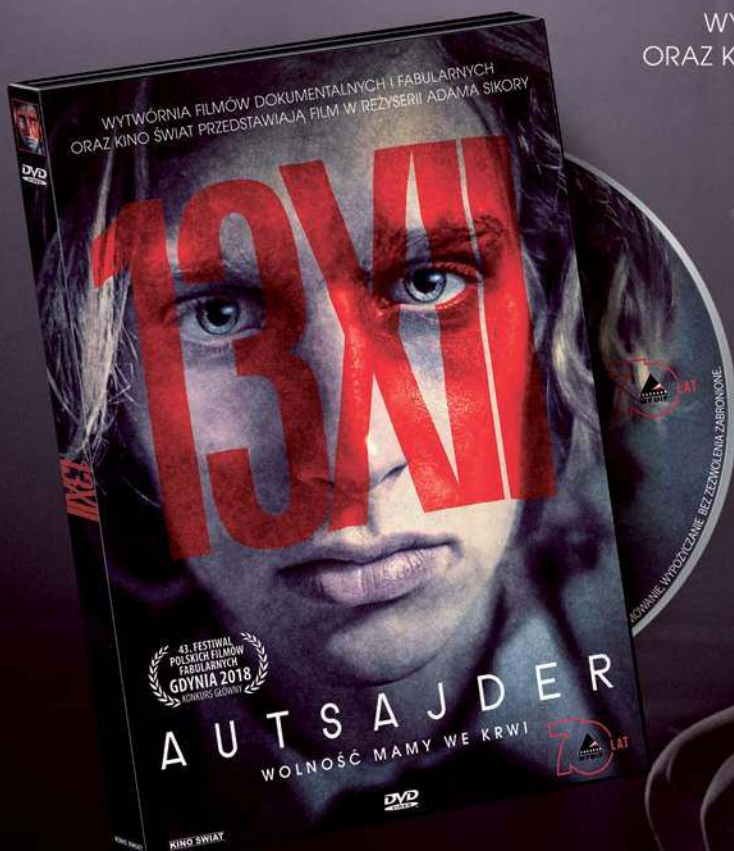
Danusia Zenekar. Wśród żyjących potomków kompozytora są przedstawiciele różnych zawodów. Trenerem I klasy piłki siatkowej, nadal jeżdżącym na nartach, jest obecnie 85-letni emeryt; jego 43-letni syn także zajmuje się sportem. Mieszkająca we Włoszech 66-letnia prapraprawnuczka kompozytora po jego synu Stanisławie, jest tłumaczem języka angielskiego (w dzieciństwie grała na fortepianie). Autorka artykułu,

Danuta Maria Moniuszko-Janowska (Warszawa 1922 – Warszawa 2005), praprawnuczka kompozytora po jego synu Stanisławie (czwarte pokolenie po kompozytorze); była zamężna z art. malarzem Januszem Pawłem Janowskim (1902 – 1982); mieli dwie córki: Dorotę Marię Janowską-Moniuszko-Spaccini (1953), zamężną z Włochem – Francesco Spaccinim (bezdzielnym), oraz córkę Elżbietę Stanisławę Alicję Janowską-Moniuszko (1954)

prapraprawnuczka kompozytora po jego synu Stanisławie, jest tłumaczem języka hiszpańskiego (w dzieciństwie grała na skrzypcach), a jej 29-letnia córka (w dzieciństwie grała na fortepianie) jest aktorką dramatyczną.

Elżbieta Stanisława Alicja Janowska-Moniuszko (1954, Warszawa) prapraprawnuczka kompozytora, po jego synu Stanisławie (piąte pokolenie po kompozytorze)

REKLAMA



WYTWÓRNI FILMÓW DOKUMENTALNYCH I FABULARNYCH
ORAZ KINO ŚWIAT PRZEDSTAWIAJĄ FILM W REŻYSERII ADAMA SIKORY

43. FESTIWAL
POLSKICH FILMÓW
FABULARNYCH
GDYNIA 2018
KONKURS GŁÓWNY

A U T S A J D E R
WOLNOŚĆ MAMY WE KRWI

JUŻ NA DVD



DEMOTYWATORY.PL



wPolityce.pl



[Aleksander Walicki]

Z RĘKOPISU ALEKSANDRA WALICKIEGO

**Górą Stachu, grajku nasz,
Co na sercach naszych grasz!**

Władysław Syrokomla,
„Do Stanisława Moniuszki”

Mieszkanie literata i krytyka muzycznego Aleksandra Walickiego w Mińsku Litewskim. Jest rok 1881 lub 1882. Zygmus, najmłodszy synek państwa Walickich, ma sześć lub siedem lat. Jego starsze rodzeństwo przebywa w szkołach. Zygmus jest za mały, by wiedzieć, że jego ojciec należał do grona najbliższych przyjaciół Moniuszki i Syrokomli. Nie wie, kim byli Moniuszko i Syrokomla. A więc nie wie też, że Syrokomla napisał wiersz „W gronie znajomych w Mińsku”, w którym jak refren powtarzają się słowa: „Szemesz, Żeleźniak, Moniuszko”. Nie wie, że Żeleźniak to jeden z literackich pseudonimów jego ojca i że ojciec opublikował pierwszą biografię Moniuszki, jeszcze zanim Zygmus się urodził.

Przez kilka wieczorów, przed pójściem spać, mama Helena objaśnia synkowi, kim są panowie widoczni na fotografiach w gabinecie ojca. Są tam Mickiewicz, Moniuszko, Syrokomla, Pol, Ujejski i inni. Ojciec o tych wieczornych rozmowach matki z synem pisze opowiadania. Opowiadania, które nie zostaną opublikowane. Również to o „tłustym panu w okularach”. Aż do dziś.

W gabinecie ojca (II)

Nazajutrz Zygmus kilka razy na dzień zaczepiał mamę, prosząc, żeby mu dal-sze portrety tłumaczyła. Ale mama była zajęta i dopiero wieczorem po herbacie znowu z nim w gabinecie ojcowskim zasiadła.

– Niech mi mama znowu o tym Mickiewicz, tak jak wczoraj opowie – odezwał się pierwszy Zygmus.

– Jak to? Czyż już zapomniałeś to wszystko, co ci wczoraj mówiłam?

– O nie! Pamiętam wszystko doskonale.

I Zygmus zaczął opowiadać po kolei wszystko, co wczoraj o Mickiewicz słyszał.

– Widzisz – rzekła matka – jak wszystko dobrze pamiętasz. A chciałeś, żebym ja ci to samo znowu opowiadała.

– To nie, że ja to pamiętam. Ja to tak lubię, kiedy mama to opowiada! Jak bym chciał, żeby mi mama co dzień to samo znowu opowiadała.

– Na cóż by się to przydało? Opowiadać będę tylko rzeczy ci nieznane. To zaś, co już znasz, to powinienes sam innym opowiadać.

– To niech mama mówi o tym tłustym panu w okularach – rzekł Zygmus, wskazując na duży portret.

– A jakże się ten pan nazywa? – spytała matka. – Toż ci wczoraj mówiłam.

Zygmus się zaciął. Oczkami rzucał to na portret, to na matkę, ale za nic sobie nazwiska przypomnieć nie mógł.

Matka, poczekawszy chwilę, zaczęła pomaleńku sylabami podpowiadać, żeby mu do przypomnienia dopomóc.

– Mo-niu...

– Moniuszko Stanisław – wykrzyknął Zygmus zaczerwieniony, rad, że mu się przypomnieć udało.

– Dobrze. Ot widzisz, jak zastanowiłeś się, to i przypomniawsz sobie. Przynieśże mi nożyczki moje z salonu, to ci wtedy o tym Moniuszce opowiem. Tylko niosąc, uważaj, nie biegnij prędko, bo możesz upaść i skaleczyć się.

Zygmus pędem strzały pobiegł do salonu i natychmiast wracał powoli, niosąc nożyczki matki.

– No, teraz ci będę o Moniuszce opowiadać. Siądź tylko przyzwoicie, nie staw nogi na nodze, bo to i nieładnie, i drzesz sobie buciki.

Zygmus poprawił się, a matka tak dalek mówiła.

– Moniuszko ten urodził się w majątku Ubielu, w powiecie ihumeńskim.

– Jak to? – przerwał Zygmus. – To około tego Ihumenia, przez który przejeżdżamy, jeżdżąc do Babuni?

– A tak, to ten sam Ihumen. Innego Ihumenia nie ma. Otóż właśnie niedaleko tego Ihumenia rodzice jego mieli majątek, który nazywał się Ubiel. Tam się urodził im synek, którego nazwali Stasiem. Było to w maju, pogoda śliczna i bardzo było ciepło. W kilka dni po urodzeniu Stasia w tym pokoju, gdzie stała jego kolebka, otworzono okno dla wpuszczenia świeżego powietrza. Zaledwo otworzono, kiedy do pokoju wleciała jaskółka i natychmiast zaczęła nad kolebką Stasia lepić sobie gniazdeczko.

– Ja widziałem, mamu, jak jaskółki gniazdko lepią. Ale one ciągle latają po błoto na gniazdko. Jakże tam jaskółka błoto nosiła, kiedy potem okno zamknięto?

– Otóż właśnie nie chcąc jaskółki odstraszać, ani przeszkadzać w jej robocie, kolebkę z maleńkim Stasiem wyniesiono do drugiego pokoju, a okna nie zamykano aż do tego czasu, kiedy pisklęta mogły wylecieć. Staś dobrze się hodował, był bardzo grzeczny i posłuszny, uczył się pilnie, mama go sama uczyła grać na fortepianie, bo do tego

miął wielką zdolność i ochotę. Kiedy już miał lat osiem...

– A cóż się stało z tą jaskółką i z jej dziećmi? – zapytał Zygmus.

– Któż to wiedzieć może, co się z nimi stało. Pisklęta z matką wyleciały i pędziły życie tak jak wszystkie ptaszki. Już potem ich wynaleźć nie można. Otóż kiedy już Staś miał lat osiem, rodzice pojechali z nim na mieszkanie do Warszawy. Ponieważ to byli ludzie bogaci, więc mogli dużo wydawać pieniędzy na wychowanie jedynego synka, bo więcej dzieci nie mieli. Przychodziło do Stasia aż >>



Helena Walicka

>> pięciu nauczycieli, którzy mu rozmaite nauki wykładali. Muzyki uczył go August Freyer, oto ten, którego fotografia wisi przy firance.

– Czy to ten chudy staruszek, co to siedzi na krześle wyprostowany?

– A ten sam. Żyje on jeszcze dotychczas, mieszka w Warszawie i bardzo pięknie grywa na organach w kościele. Otóż ucząc się od tego Freyera, Staś bardzo dużo postąpił, bo Freyer lepiej mógł uczyć niż mama Stasia. Ale oprócz muzyki Staś pilnie się uczył i innych przedmiotów. Wyuczył się dobrze pisać i czytać po polsku i po łacinie, i po francusku, i po niemiecku. Umiał dobrze rachować, katechizm, geografę, historię. Dość, że we trzy lata po przyjeździe do Warszawy, to jest mając lat jedenaście, złożył pięknie egzamin do klasy czwartej. Tymczasem zaraz nadeszły wakacje i rodzice wywieźli Stasia na lato do Ubiela, żeby tam odpoczął i pobawił się, a po wakacjach miał znowu pojechać do Warszawy i wstąpić do gimnazjum. Lecz po wakacjach nie mogli rodzice wyjechać do Warszawy, więc oddali Stasia do szkół w Mińsku. Staś w szkołach pięknie się uczył i przez wszystkich był lubiany za to, że nie płał psot, figlów, był grzeczny i posłuszny. Rodzice, stryjowie i ciotki dużo mu dawali pieniędzy, żeby sobie za nie kupował cacka i słodkości, które bardzo lubił. Ale Staś bardzo rzadko na nie pieniądze swe wydawał. Chował je skrzętnie i część ich oddawał ubogim, a za resztę kupował sobie książki, bo je bardzo czytywać lubił. Po wyjściu ze szkół Staś prosił rodziców, żeby go wysłali do Berlina na uczenie się muzyki, bo ją lubił nade wszystko i chciał koniecznie umieć ją doskonale.

– A gdzież ten Berlin i co to takiego? – zapytał Zygmus.

– To tak się nazywa bardzo duże miasto, daleko stąd się znajdujące. Tam tylko sami Niemcy mieszkają.

– A czegoż on tak daleko chciał koniecznie jechać muzyki uczyć się? Niechby pojechał do Warszawy, toż pewno bliżej. A tam by ten pan Freyer jego wyuczył.

– Widzisz, moja duszko, że w tym Berlinie jest bardzo wielu rozumnych ludzi, którzy jeszcze lepiej nawet od pana Freyera nauczyć umięją. Otóż pojechał do Berlina, tam się uczył bardzo pilnie i powrócił stamtąd już nie owym dawnym małym Stasiem, ale dorosłym

mężczyzną, bo miał już lat dwadzieścia. Już mu rosły wąsy i broda.

– A czemuż on na portrecie nie ma ani wąsów, ani brody?

– Bo je golił zawsze.

– A dlaczegoż ojciec nie goli, ale nosi brodę i wąsy?

– Bo ojcu się tak podoba. Ojciec lubi nosić brodę i wąsy, a Moniuszko nie lubił, więc i golił.

– Jak ja wyrosnę, to będę nosił duże, duże wąsy. At, takie jak u tego pana. Kto to jest, mamu? – zapytał Zygmus, wskazując na jedną z fotografii.

– To Wincenty Pol.

– A któż on taki?

– Więc już nie chcesz, żebym ci o Moniuszce opowiadała i kończyła?

– O, chcę, mamu, chcę bardzo, ale chciałem, żeby mama i o tym Polu opowiedziała.

– Jakże można razem o dwóch rzeczach rozmaitych opowiadać? Skoro ci skończę mówić o Moniuszce, to wtedy i o innych opowiem.

– Przepraszam, droga mameczko – rzekł Zygmus, całując w rękę – już nic przeszkadzać nie będę, tylko niech mama dalej opowiada. Ale jeszcze niech mama mi powie, dlaczego Moniuszko w okularach?

– Bo miał krótki wzrok i z daleka źle widział.

– Ach! To tak samo jak ciocia Zosia, kiedy zdejmie okulary, to nie dopatry, która godzina na zegarze. No to niechże mama teraz mówi, co z Moniuszką było, kiedy już powrócił z Berlina.

– Kiedy powrócił z Berlina, to wielka zaszła zmiana. Rodzice jego stracili cały majątek i już nie byli bogaci, więc nic mu dawać nie mogli. Wtedy Moniuszko ożenił się, zamieszkał w Wilnie i żył z dawania lekcji muzyki. Oprócz tego ciągle komponował śliczne piosenki, których i ty znasz wiele.

– Ja żadnych piosenek Moniuszki nie znam – odrzekł Zygmus zdziwiony.

– Jako to? A czyż nie znasz „Dziad i baba”, „Kum i kuma”, „Hola ptaszki, hola zwierzę?”.

– O, znam! Ale czy to wszystko jego piosenki?

– A jego. I to jego także piosenka, którą tak lubisz: „Mój złotowłosy synku maleńki”. I „Jaskółeczka”.

– A może to ta sama jaskółeczka, co to nad kolebką jego gniazdko lepiła?

– Nie wiem, może i ta sama.

– Ej, nie! Bo tej gniazdko było w pokoju, a tamtej w kościelnym oknie.

– Otóż Moniuszko bardzo dużo skomponował piosenek rozmaitych, a wszystkie były tak piękne, że dotychczas nikt tak pięknych skomponować nie potrafił. Potem wyjechał z Wilna do Warszawy i tam już mieszkał aż do śmierci. Jak kiedy pojedziemy do Warszawy, to cię zaprowadzę na grób jego, żebyś się pomodlił. To był człowiek bardzo rozumny, a tak dobrego serca, że gotów był zawsze z biednymi ostatnim kawałkiem chleba się podzielić. A już piosenki to takie piękne komponował, że na całym świecie nie ma piękniejszych. Tylko zawsze był bardzo biedny, brakowało mu pieniędzy i źli ludzie dużo mu dokuczali, choć on im zawsze robił dobrze.

– Czemu to, mamu, wszyscy ludzie, co są dobrzy, to i są biedni? Ot i Mickiewicz był dobry a biedny, Moniuszko dobry i biedny. Czy to i wszyscy tak samo? A przecież dużo jest i bogatych.

– To taka jest wola Pana Boga. Zresztą lepiej być dobrym a biednym niż złym a bogatym.

– Mamu, mamu, a toż co to?

– Gdzie?

– A toż w ramie pod Moniuszki portretem, jakaś jamka, a w niej nitką przywiązany pierścionelek, czy co?

– Nie, to nie pierścionelek. To pasmo włosów tak w kółko skręconych.

– Włosów? Tak, prawda, teraz i ja widzę, że to włosy. Ale na cóż one potrzebne?

– To ojciec uciął Moniuszce po jego śmierci i zachował na pamiątkę.

– Czyż ojciec Moniuszkę znał?

– Oj, znał go bardzo blisko i kochał serdecznie.

– A czemu ojciec go nigdy do siebie nie przyprowadził i mnie nie pokazał?

– Bo on już dawno umarł. Wtedy kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było. Ale już późno, czas spać.

– A może by mama jeszcze mi powiedziała o tym panu, co ręką pod brodę się trzyma?

– Nie, o nim już jutro.

– A któż to taki?

– To Syrokomla.

– Co to znaczy Syrokomla? Toż przecie nie kobieta?

– Jutro ci wszystko opowiem.

Zygmus już się więcej nie napierał, oddał dobranoc i poszedł mówić paciorem.

Opracowała Joanna Puchalska

RĘKOPIS MONIUSZKI

UWAGA – PO RAZ PIERWSZY W DRUKU

TYLKO DLA CZYTELNIKÓW „wSIECI HISTORII”

Wśród papierów składających się na spuściznę po Aleksandrze Walickim znajduje się też rękopis nut fraszki na fortepian. Według rodzinnego przekazu jest to utwór Stanisława Moniuszki podarowany przyjacielowi, Aleksandrowi Walickiemu. Ten nieznaný, niepublikowany dotąd utwór



wielkiego kompozytora właśnie w Roku Moniuszkowskim powinien zostać upubliczniony.

I Czytelnicy naszego miesięcznika są pierwszymi, do których te nuty kierujemy.

Oprócz nut miał też Aleksander Walicki unikatową filiżankę zdobioną zdjęciem swego przyjaciela, autora „Halki”. ■



Maj



MICHAŁ
KOMUDA

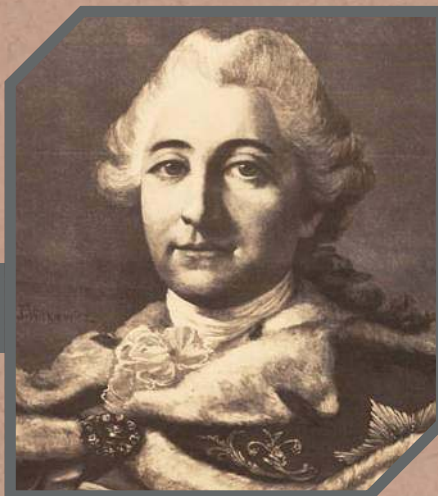
1 V 1576

W katedrze wawelskiej odbyła się uroczystość zaślubin Stefana Batorego z Anną Jagiellonką. Następnie para została koronowana przez pełniącego wówczas obowiązki interrexa biskupa kujawskiego Stanisława Karnkowskiego na władców Polski.



4 V 1939

We francuskim czasopiśmie „L'Œuvre” ukazał się artykuł zawierający antywojenne hasło: „Dlaczego musimy umierać za Gdańsk?”. Jego autorem był działacz polityczny Marcel Déat, który w trakcie wojny utworzył kolaborującą z Niemcami partię Zgromadzenie Narodowo-Ludowe.



6 V 1787

W Kaniowie, na zakotwiczonyj na Dnieprze galerze, doszło do spotkania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i carycy Katarzyny II. W jego trakcie w zamian za sojusz militarny – wsparcie Rosji w wojnie z Turcją – polski monarcha starał się bezskutecznie uzyskać zgodę na powiększenie armii Rzeczypospolitej oraz niezbędne reformy wewnętrzne.

7 V 1999

Papież Jan Paweł II rozpoczął historyczną pielgrzymkę do Rumunii. Była to pierwsza od czasów wielkiej schizmy wschodniej 1054 r. wizyta głowy Kościoła katolickiego w państwie, w którym dominującą religią było prawosławie.



11 V 1830

W Warszawie nastąpiło odsłonięcie ufundowanego przez ks. Stanisława Staszica pomnika Mikołaja Kopernika. Jego autorem był duński rzeźbiarz Bertel Thorvaldsen.

14 V 1809

Po bitwie z Austriakami pod Raszynem dowodzona przez księcia Józefa Poniatowskiego armia Księstwa Warszawskiego w ramach podjętych działań zaczepnych zajęła Lublin. Następnie w ciągu zaledwie 13 dni odbiła z austriackich rąk Sandomierz, Zamość i Lwów.



15 V 1945

W Warszawie przeprowadzono pierwszy po zakończeniu II wojny światowej spis mieszkańców, według którego miasto liczyło 378 tys. osób. Miarą tragedii, jakiej doświadczyła stolica w trakcie tego konfliktu, było to, że w styczniu 1939 r. w jej granicach mieszkało 1 mln 295 tys. warszawiaków.

➤ 3 V 1952

Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa rozpoczęła nadawanie stałych audycji, które przez lata stanowiły główne źródło prawdziwych informacji dla zniewolonego przez komunistyczny reżim społeczeństwa.

RWE zostało powołane do życia w 1949 r. w Nowym Jorku. Już rok później zaczęto nagrywać pierwsze audycje w języku polskim. Przewożono je wówczas do Niemiec i dopiero stamtąd nadawano do Polski. Kolejny krok stanowiła decyzja powierzenia kierownictwa nad tworzoną sekcją polską RWE legendarnemu kurierowi z Warszawy, Janowi Nowakowi-Jeziorańskiemu. Emisję stałego programu ostatecznie rozpoczęto w 1952 r. po przeniesieniu rozgłośni do Monachium. Z tej okazji, w ramach mowy inauguracyjnej, dyrektor Nowak-Jeziorański złożył rodakom deklarację: „Będziemy mówili wam prawdę o wypadkach rozgrywających się w świecie, którą sowiecki reżym chce przed wami ukryć, by zabić w was resztki nadziei. [...] Będziemy prowadzili na falach eteru walkę z rusyfikacją i sowietyzacją polskiej kultury, walkę z wynaradawianiem młodzieży. [...] Będziemy mówili głośno to, czego społeczeństwo polskie wypowiedzieć głośno nie może, bo ma knebel na ustach”. Rozgłośnia, pomimo jej nieustannego zwalczania przez komunistyczne władze, wypełniała te obietnice i przez lata podtrzymywała moralny opór, informowała oraz edukowała. Wspierała propagandowo społeczeństwo oraz Kościół w momentach zwrotnych walki z reżimem. Nade wszystko zdołała wymusić realne zmiany w takich kwestiach jak rozwiązanie osławionego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego czy też przeprowadzenie repatriacji Polaków ze Wschodu.



mające na celu zastraszenie II Rzeczypospolitej oraz jej zachodnich sojuszników. W tej napiętej sytuacji międzynarodowej z niepokojem oczekiwano na polską odpowiedź. Na exposé ministra Becka do gmachu sejmku przybył korpus dyplomatyczny, zagraniczni korespondenci, dziennikarze, a całe przemówienie było transmitowane na żywo przez radio. Po wejściu na mównicę szef polskiej dyplomacji został powitany długotrwałymi brawami. Najważniejsze w swoim życiu przemówienie rozpoczął od nawiązania do zawartego z Brytyjczykami porozumienia, podkreślając jego pokojowy charakter. W dalszym toku mowy przeszedł do stosunków polsko-niemieckich i jednostronnego wypowiedzenia przez Hitlera układu o nieagresji. Podkreślił, że krok ten zaprzepaścił z trudem wypracowaną poprawę relacji między obydwojema narodami. Jednocześnie jednak dodał, że „jeśli polityka i postępowanie partnera od zasady układu odbiega, to po jego osłabieniu czy zniknięciu nie mamy powodu nosić żałoby”. Polski minister zaznaczył, że Niemcy podjęły swoją decyzję bez próby porozumienia, uważając, że Polska nie miała prawa do normalnej współpracy z krajami zachodnioeuropejskimi. W celu obnażenia prawdziwych pobudek III Rzeszy odniósł się do jej żądań związanych z Wolnym Miastem Gdańskiem oraz niemiecką komunikacją przez województwo pomorskie. W pierwszej kwestii, ku entuzjastycznej reakcji zgromadzonych, zapytywał, o co kanclerzowi Niemiec naprawdę chodzi: „czy o swobodę ludności niemieckiej Gdańska, która nie jest zagrożona, czy o sprawy prestiżowe – czy też o odepchnięcie Polski od Bałtyku, od którego Polska odepchnąć się nie da”. W przypadku drugiego żądania dowodził, że nie ograniczając niemieckiej swobody przemieszczania się przez Pomorze, jako kraj również: „nie mamy [...] powodu umniejszać naszej suwerenności na naszym własnym terytorium”. Podsumowując, podkreślił, że jedynie po spełnieniu tych jednostronnych żądań władze Niemiec skłonne były rozmawiać o utrzymaniu pokoju. W odniesieniu do tego aspektu, kończąc swoje wystąpienie, minister wypowiedział historyczne słowa: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor”. Trzeba zaznaczyć, że niezależnie od oczekiwań innych państw europejskich oraz dalszego biegu wypadków exposé Becka wyrażało odczucia narodu polskiego. Jak nigdy dotąd słowa ministra spotkały się z powszechnym poparciem rządu, opozycji i społeczeństwa.



➤ 5 V 1939

Szef polskiej dyplomacji Józef Beck udzielił w sejmie RP odpowiedzi na otwarcie wysunięte przez Adolfa Hitlera żądania pod adresem Polski. W przededniu tego wystąpienia brytyjscy dyplomaci przyznawali, że „cały świat z napięciem czeka na wypowiedzenie się ministra Becka, od którego zależy będzie wojna albo pokój”.

Kanclerz Rzeszy 28 kwietnia w Reichstagu w agresywnym przemówieniu oznajmił, że w obliczu polsko-brytyjskiego sojuszu Niemcy zrywają układy łączące je z obydwojema krajami, oraz zażądał od Polski ustępstw terytorialnych. Jednocześnie III Rzesza rozpoczęła manifestacyjne posunięcia wojskowe

Maj

20 V 1919

Sto lat temu w Kielcach urodził się pisarz, publicysta i Kawaler Orderu Orła Białego oraz Virtuti Militari, Gustaw Herling-Grudziński. Podczas II wojny światowej był więźniem sowieckich łagrów oraz jako żołnierz 2. Korpusu Polskiego uczestnikiem bitwy pod Monte Cassino.



22 V 1879

W Poławie przyszedł na świat ukraiński działacz niepodległościowy i przewodniczący Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej, Symon Petlura. Jako Naczelnny Ataman Armii URL od kwietnia 1920 r. był sojusznikiem wojsk polskich w trakcie wojny polsko-bolszewickiej.



23 V 1865

Na rynku w Sokołowie Podlaskim zostali straceni naczelnny kapelan wojsk powstańczych i przywódca ostatniego oddziału walczącego w Królestwie Polskim podczas powstania styczniowego ksiądz Stanisław Brzóska oraz jego adiutant Franciszek Wilczyński.

25 V 1609

410 lat temu król Zygmunt III Waza ostatecznie na stałe opuścił wraz z rodziną królewską i dworem dotychczasową rezydencję władców Rzeczypospolitej, Wawel. Wydarzenie to stało się preludium do stołeczności Warszawy.



28 V 1794

Rozpoczęła swoją działalność powołana przez Naczelnika Tadeusza Kościuszkę Rada Najwyższa Narodowa, która do końca insurekcji pełniła funkcję centralnej władzy cywilnej.

29 V 1939

W Rzymie w wieku 74 lat zmarła założycielka Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego, matka Urszula Ledóchowska. W 2002 r. w Watykanie odczytano dekret o uznaniu cudu przypisywanego jej wstawiennictwu. Rok później, 18 maja, papież Jan Paweł II dokonał kanonizacji Matki Urszuli.



30 V 1649

Cztery miesiące po koronacji Jan II Kazimierz poślubił wdowę po swoim królewskim bracie Władysławie IV, Ludwikę Marię Gonzagę. Ambitna królowa do końca życia nie tylko była istotnym wsparciem dla małżonka, ale również wywierając na niego silny wpływ, prowadziła własną politykę.

31 V 1640

W Białym Kamieniu urodził się przyszły król Rzeczypospolitej Michał Korybut Wiśniowiecki. Jego krótkie i nieszczęśliwe panowanie zakończyła przedwczesna śmierć, która nastąpiła w wieku zaledwie 33 lat.



> 19 V 1866

W Babinie na Podolu urodził się jeden z najlepszych polskich dowódców i strategów początków XX w., gen. Tadeusz Jordan-Rozwadowski. Przeszedł do historii jako współtwórca wiktorii warszawskiej, która uratowała Polskę i Europę przed bolszewickim zalewem.

Nie tylko pochodził z rodziny o wielopokoleniowych tradycjach wojskowych, ale sam również z dużym powo-

zeniem podążył tą drogą, ucząc się kolejno w szkole kadetów w Hranicach oraz w Wojskowej Akademii Technicznej i elitarnej Szkole Wojennej w Wiedniu. Talent połączony z bardzo dobrymi wynikami w edukacji zaowocował szybką karierą wojskową. W momencie wybuchu I wojny światowej Rozwadowski mógł się pochwalić doświadczeniem attaché wojskowego w Rumunii oraz był już generałem armii austro-węgierskiej. Pomimo sukcesów na froncie wschodnim, ukoronowanych Orderem Marii Teresy, na początku 1916 r., na tle konfliktu dotyczącego sposobu traktowania przez Austriaków polskiej ludności, został przeniesiony na emeryturę. Od tego momentu cały swój wysiłek skierował na wspieranie organizacji niepodległościowych. W 1918 r. powierzono mu stanowisko szefa Sztabu Generalnego tworzonego Wojska Polskiego, a następnie Naczelnego Dowódcy Wojsk Polskich w Galicji Wschodniej. W tym czasie okrył się chwałą niezłomnego obrońcy oblężonego przez siły ukraińskie Lwowa. Pomimo niekwestionowanych zasług przesunięto go na funkcję dowódcy Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu. Swoją najbardziej doniosłą rolę odegrał po wezwaniu do kraju przez Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego w krytycznym momencie wojny polsko-bolszewickiej. Wówczas po ponownym objęciu stanowiska szefa sztabu przyczynił się do opanowania nastrojów w wojsku i społeczeństwie. Znalazł się też w ścisłym gronie dowódców, którzy wypracowali plan Bitwy Warszawskiej oraz kontruderzenia znad rzeki Wieprz. To jego ręką został złożony podpis pod rozkazem operacyjnym nr 8358/III, a następnie rozkazem operacyjnym specjalnym nr 10 000, które zaowocowały Cudem nad Wisłą. W przededniu historycznego kontrataku lojalnie meldował Marszałkowi: „co do czasu mamy korzystne warunki, tak jak je p. Komendant przewidział. [...] Uderzenie główne siły pana Komendanta trafi więc doskonale [...]. Duch w Warszawie dobry, a na froncie pełen otuchy”. Po wypracowanym zwycięstwie i zakończeniu wojny gen. Rozwadowski objął stanowisko szefa Generalnego Inspektoratu Jazdy.

Ponownie znalazł się w centrum przełomowych wydarzeń w tragicznych dniach przewrotu majowego 1926 r. Jako legalista stanął na czele wojsk wiernych rządowi. W trakcie bratobójczych walk był zwolennikiem nieskładania broni i bezpardonowego rozprawienia się z siłami Marszałka Piłsudskiego, które uznał za buntowników. Po podaniu się do dymisji przez prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i zakończeniu starć Rozwadowski został internowany, a następnie uwięziony. Roczny pobyt w wileńskim więzieniu zniszczył zdrowie generała. Jego śmierć, która nastąpiła blisko półtora roku po uwolnieniu, nadal jest przedmiotem różnych spekulacji.

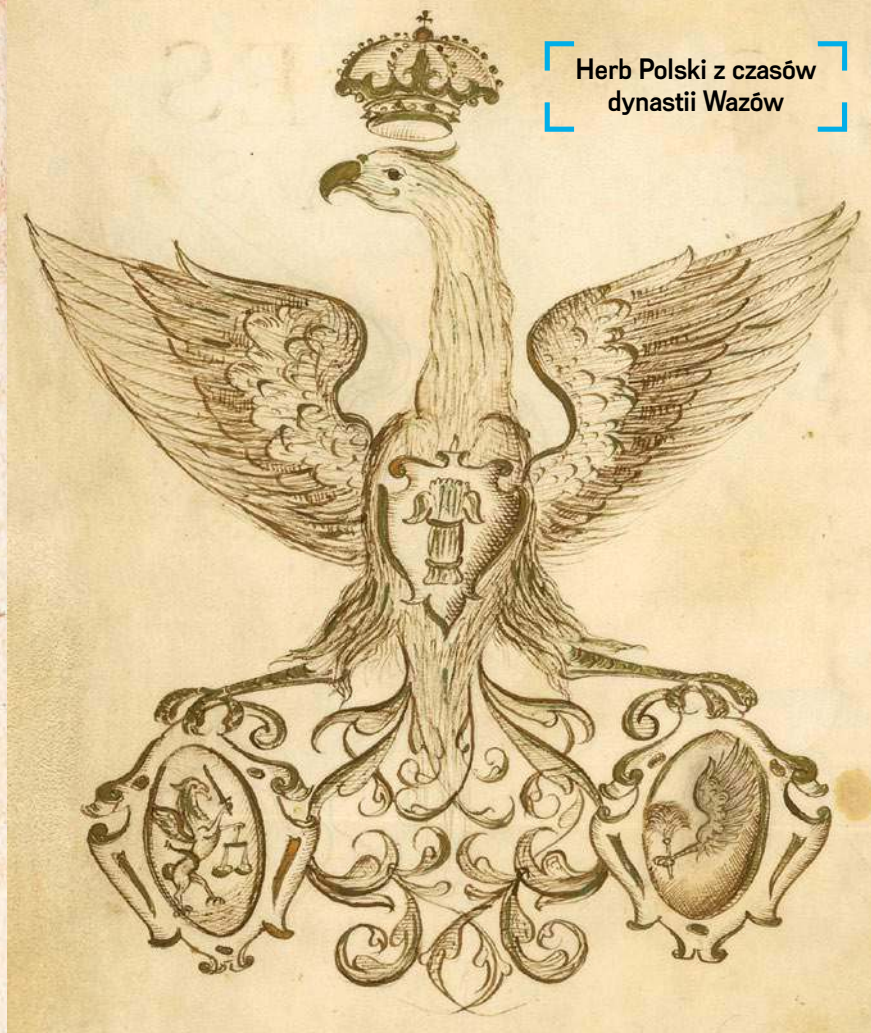
> 21 V 1674

Wbrew usilnym zabiegom zagranicznych stronnictw szlachta zebrana na sejmie elekcyjnym wybrała króla „Piasta”. Nowym władcą został jeden z najlepszych wodzów Rzeczypospolitej, nazywany „Lwem Lechistanu”, Jan Sobieski.

W chwili śmierci króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego nikt nie myślał o hetmanie wielkim koronnym Sobieskim jako o osobie, która sięgnie po koronę. Stronnictwa francuskie i austriackie forsowały swoich kandydatów, a panowie litewscy byli nieprzychylni wyborowi „Piasta”. Jednak dokładnie dzień po śmierci króla, już ciesząc się opinią zwycięskiego wodza Sobieski odniósł kolejne, wyjątkowo spektakularne zwycięstwo, gromiąc 11 listopada 1673 r. pod Chocimiem armię turecką. Wykorzystując wiktoryę męża, związana ze stronnictwem francuskim Marysienka zdołała uzyskać nad Sekwaną poparcie właśnie dla jego kandydatury. Sobieski na obradujący pod Warszawą sejm elekcyjny przybył trzeciego dnia od jego rozpoczęcia, wiodąc ze sobą triumfalny orszak składający się z wojska, służby i wziętych do niewoli janczarów oraz wozów z kosztownościami zdobytymi na Turkach. Po kilkunastu dniach obrad, 19 maja 1674 r., gdy wojewoda Stanisław Jabłonowski przekonywał, że „pod takim królem nie

staniemy się łupem cudzoziemców” – szlachta w końcu odpowiedziała: „vivat Joannes rex!”. Dwa dni później interreks bp Andrzej Trzebicki oficjalnie ogłosił wybór nowego władcy. Ze względu na trwającą wojnę z Portą Otomańską elekt zapowiedział, że koronację odkłada aż do oddalenia zagrożenia od granic ojczyzny. Danego słowa dotrzymał i korona ozdobiła jego skronie dopiero po blisko dwóch latach zmagania z Tatarami i Turkami.



Herb Polski z czasów
dynastii Wazów


królewskich, polskim godłem państwowym i w innych miejscach związanych z osobą panującego.

Początkowo Zygmunt III próbował urzeczywistnić unię personalną pomiędzy Rzeczpospolitą a Szwecją. W tej protestanckiej monarchii obawiano się jednak rządów katolickiego króla, a dodatkowy niepokój wzbudziły obawy o utratę Estonii, której przyłączenia do Rzeczypospolitej domagał się Jan Zamojski. W rezultacie Zygmunt Waza został zdeponowany w Szwecji, a rządy przekazano bocznej linii tej dynastii. Utrata tronu na rzecz stryja, Karola IX Sudermańskiego, skłoniła Zygmunta III do wystawienia 12 marca 1600 r. dokumentu przyłączającego Estonię do Rzeczypospolitej. Wola królewska nie została zrealizowana, jednak decyzja ta stała się powodem wojny.

Panowanie Wazów w Rzeczypospolitej było okresem wielu wojen trwających łącznie 47 lat. Ich przyczyną były roszczenia do tronu szwedzkiego, na które nałożyła się polityka Szwecji dążącej do zdobycia władzy nad wybrzeżem Morza Bałtyckiego. Wojny ze Szwecją były prowadzone w latach 1598, 1600–1629 i 1655–1660. Na okres panowania Wazów przypadają też wojny z Rosją (1609–1618, 1632–1634, 1654–1656, 1660–1667) i Turcją (1620–1621). Szczególne nasilenie konfliktów zbrojnych miało miejsce za panowania Jana Kazimierza. Trwało wówczas powstanie Chmielnickiego, wschodnią część Rzeczypospolitej zajęły wojska rosyjskie, w 1655 r. rozpoczął się potop szwedzki, a w 1657 r. Polskę najechał książę siedmiogrodzki Jerzy II Rakoczy. Wynikało to

WAZOWIE W POLSCE


 JACEK
KROCHMAL

Wolna elekcja wyłoniła w 1587 r. dwóch kandydatów do korony polskiej: szwedzkiego królewicza Zygmunta Wazę i arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. O wyborze króla miały zdecydować konfrontacja zbrojna oraz poparcie kanclerza i hetmana wielkiego koronnego Jana Zamojskiego. 24 stycznia 1588 r. pod Byczyną pokonał on wojska pretendenta, a Mak-

symilian po wzięciu do niewoli zrzekł się pretensji do polskiego tronu. Nowym królem został młody Waza, w którego żyłach płynęła krew Jagiellonów. Był on synem Jana III Wazy i Katarzyny Jagiellonki. Jej siostra, królowa Anna Jagiellonka, wspierała kandydaturę swego siostrzeńca w przekonaniu, że będzie on uległy wobec ciotki, a nawet zechce oddać rządy w jej ręce. Nadzieje te okazały się płonne, nie popsuły jednak przyjaznych stosunków rodzinnych. Jagiellonka została matką chrzestną dzieci Zygmunta: jego córki Anny Marii i syna Władysława, późniejszego króla. Zygmunt III (1587–1632) zapoczątkował rządy Wazów panujących w Rzeczypospolitej do 1668 r. Za czasów trzech kolejnych królów ich herb Waza (Snopek) był umieszczany na pieczęciach


 Pieczęć królewicza
Władysława Wazy

z postanowień traktatu w Radnot z 6 grudnia 1656 r., na mocy którego król szwedzki, elektor brandenburski, książę Bogusław Radziwiłł, hetman kozacki Bohdan Chmielnicki i książę siedmiogrodzki mieli dokonać rozbioru Rzeczypospolitej. Ta wprawdzie wyszła zwycięsko ze zmagających wojennych, jednak w ich wyniku poniosła dotkliwe straty terytorialne, gospodarcze i polityczne. Załamaniu uległa jej potęga, a państwo zaczęło chylić się ku upadkowi.

W pierwszej fazie rządów Wazowie polscy związali się z Habsburgami, czego wyrazem były koligacje małżeńskie. Pierwszą żoną Zygmunta III była arcyksiężniczka Anna Habsburżanka, matka królewicza Władysława. Po przedwczesnej śmierci królowej Zygmunt III poślubił w 1605 r. jej siostrę Konstancję. Wydarzeniu temu towarzyszyła atmosfera skandalu, a Piotr Skarga małżeństwo to nazwał związkiem kazirodczym. Królowa para przeżyła wspólnie 26 lat. Wśród siedmiorga ich dzieci był przyszły król Jan Kazimierz, kardynał i biskup krakowski Jan Albert oraz biskup wrocławski i płocki Karol Ferdynand, który w 1648 r. pretendował do tronu polskiego. Śmierć królowej Konstancji wywarła silne wrażenie na Zigmuncie III, który zmarł niespełna rok po niej, 30 kwietnia 1632 r.

W wyniku wolnej elekcji tron polski uzyskał królewicz Władysław, dziedziczny król Szwecji i obrany car Rosji. Od młodości był przygotowywany do objęcia rządów w Rzeczypospolitej. Brał udział w wyprawie moskiewskiej (1617–1618) i obronie Chocimia (1621), ucząc się rzemiosła wojennego od wybitnego wodza, jakim był hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz. Po śmierci ojca stanął na czele komisji, która uregulowała spory wyznaniowe z protestantami i prawosławnymi. Początek panowania Władysława IV (1632–1648) zbiegł się z wyprawą smoleńską przeciwko Rosji, zakończoną pokojem polanowskim w 1634 r. Król nie stronił od towarzystwa kobiet, jednak długo zwlekał z zawarciem małżeństwa. Na ślubnym kobiercu stanął dopiero w wieku 42 lat. Również on poślubił Habsburżankę, arcyksiężniczkę Cecylię Renatę. Z ich związku urodził się Zygmunt Kazimierz. Królewicz zmarł w dzieciństwie, grzebiąc nadzieję na przedłużenie dynastii. Po śmierci Cecylii Renaty król ponownie wstąpił w związek małżeński. Wybranką została francuska



Król Zygmunt III przyłącza Estonię do Polski



Wizerunek królowej Ludwiki Marii

księżniczka Maria Ludwika Gonzaga de Nevers (1611–1667). Jej kandydatura była brana pod uwagę już w 1634 r. Plany matrymonialne zostały zrealizowane dzięki poparciu kardynała Juliusza Mazariniego, dążącego do sojuszu Francji z Polską. Królowa miała wnieść w posagu 700 tys. skudów, król zaś wyrzec się praw do dziedziczonego przez żonę księstwa Mantui. Zaślubiny odbyły się 5 listopada 1645 r. bez udziału monarchy, którego zastępował (per procura) Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański i marszałek Trybunału Koronnego. Ceremonię ślubną powtórzono 10 marca 1646 r. w Warszawie, a uroczysta koronacja Ludwiki Marii odbyła się 15 lipca 1646 r. na Wawelu. Zmiana kolejności imion królowej była konieczna w związku z silnym w Polsce

kultem maryjnym, utożsamiającym imię Maria z Matką Bożą. Po śmierci Władysława IV królowa poślubiła jego brata przyrodniego Jana II Kazimierza (1648–1668). Para królewska poznała się jeszcze w 1640 r. w Paryżu, do którego przybył królewicz Jan Kazimierz zwolniony z francuskiego więzienia, gdzie przebywał oskarżony o szpiegostwo. W stolicy Francji zabawił tylko przez miesiąc, co wystarczyło, by jeszcze długo po jego wyjeździe Paryż huczał od plotek o romansie Jana Kazimierza z Marią Ludwiką.

Podczas potopu królowa przyczyniła się do rozwoju kultu maryjnego, wpływając na Jana Kazimierza, by składając śluby lwowskie, 1 kwietnia 1656 r. ogłosił Najświętszą Maryję Pannę Królową Polski i oddał Jej swe królestwo w opiekę. Długoletni konflikt polsko-szwedzki został zakończony 3 maja 1660 r. traktatem pokojowym w Oliwie. Polska linia Wazów zrzekła się pretensji do tronu szwedzkiego, choć sam Jan Kazimierz zachował dożywotnio tytuł króla Szwecji. Trudy panowania, klęski wojenne, a także śmierć królowej (10 maja 1667 r.) ostatecznie zniechęciły Jana Kazimierza do korony polskiej. Król abdykował w 1668 r. Zmarł we Francji 16 grudnia 1672 r. Wraz z jego śmiercią wygasła polska linia Wazów. Nieco dłużej żyła ostatnia przedstawicielka szwedzkiej linii tej dynastii, królowa Krystyna Waza (1632–1654). Również ona abdykowała i opuściła ojczyznę, mieszkając w Rzymie do śmierci w 1689 r.

Za panowania Wazów Rzeczpospolita przeszła długą drogę, od mocarstwa triumfującego pod Kircholmem, zdobywającego Moskwę i rozciągającego swe terytorium do powierzchni niemal 1 mln km kw., do państwa stojącego na krawędzi upadku podczas potopu. Symbolem tego było przekręcanie znaczenia królewskiego inicjału ICR (*Ioannes Casimirus Rex*) umieszczanego na nikłej wartości tyńfach, który złośliwie odczytywano jako „początek nieszczęść królestwa” (*Initium Calamitatis Regni*). Mimo to Wazowie są dziś dobrze wspominani. Pamięci o nich strzeże król Zygmunt III stojący na wyniosłej kolumnie ufundowanej w 1644 r. przez jego syna króla Władysława IV. Pomnik ten jest jednym z najważniejszych symboli Warszawy, do której Wazowie przenieśli stolicę Polski.

CO O POLSKIM WKŁADZIE W ROZWÓJ TECHNIKI ŚWIADOMY OBYWATEL RP WIEDZIEĆ POWINIEN (4)

NIE ULEGAŁO WĄTPLIWOŚCI, ŻE POLSKA – JEŚLI CHCE SIĘ SKUTECZNIE
WŁĄCZYĆ DO WIELKIEGO WYŚCIGU MYŚLI I PRACY – MUSI NADROBIĆ
OPÓŹNIENIA CYWILIZACYJNE. OD TEGO ZALEŻAŁ JEJ BYT I PO TAK
DŁUGICH ZMAGANIACH WYWALCZONA W KOŃCU SUWERENNOŚĆ



**BOLESŁAW
ORŁOWSKI**



Statek z ładunkiem w porcie
morskim w Gdyni, 1935 r.

Taka była główna motywacja pokolenia, któremu udało się wreszcie do odbudowy polskiego państwa doprowadzić. II Rzeczpospolita z pełną odpowiedzialnością podjęła to wyzwanie. Uczyniła to bez kompleksów. Miała wszak w swej kadrze naukowo-technicznej wynalazców i pionierów techniki z najwyższej półki, wytyczających w swych specjalnościach kierunki światowego rozwoju. Takich jak Mościcki, Narutowicz czy Jan Czochrański (1885–1953), pracujący w Niemczech metaloznawca, twórca metody otrzymywania monokryształów, która po II wojnie światowej miała się stać kluczową częścią technologii pozyskiwania materiałów półprzewodnikowych na potrzeby szybko wówczas rozwijającej się elektroniki. Był też wynalazcą bezcynowego stopu łożyskowego (1924) stosowanego powszechnie w kolejnictwie, a także współzałożycielem i od 1925 r. prezesem Niemieckiego Towarzystwa Metaloznawczego.

Nie mieli też kompleksów młodzi inżynierowie, którzy właśnie wchodzili w życie zawodowe i śmiało uczestniczyli w powstawaniu i dojrzewaniu takich nowych dziedzin jak lotnictwo, telekomunikacja, elektronika, w unowocześnianiu i opieraniu na podstawach naukowych specjalności tradycyjnych, takich jak budownictwo, kolejnictwo, stalownictwo. Rzecz jasna, wszystko to odbywało się – jak zwykle – w atmosferze osobistych ambicji i rywalizacji. Ale nie do końca. Nadrzędną motywacją było dobro Polski. Elita II Rzeczypospolitej, mimo wielu różnic i kontrowersji, w tej sprawie czuła się jedną drużyną. I wierzyła we własne siły.

Problemy młodego państwa

Kadrę tę czekało niełatwe zadanie. Scale nie kraju w jeden sprawnie funkcjonujący organizm wymagało przezwyciężenia licznych różnic, nie tylko czysto technicznych (np. tego, że koleje w części porosyjskiej były, poza linią warszawsko-wiedeńską, szerokotorowe) czy organizacyjnych (np. ruch kołowy w Galicji był lewostronny), ale też mentalnych.

Drugą ważną trudnością była gruntowna zmiana sytuacji gospodarczej obszarów składających się na odrodzoną Rzeczpospolitą w nowych warunkach politycznych. Śląskie górnictwo i hutnictwo zostały odcięte granicą państwową



Eugeniusz Kwiatkowski
(1888–1974)

od tradycyjnych rynków zbytu w Niemczech, podobnie jak rolnictwo wielkopolskie. Oznaczało to nie tylko wzrost kosztu wytworów ze względu na opłaty celne, ale i brak pewności w kwestii zbytu, stosunki bowiem między oboma państwami były niezbyt przyjazne. Jeszcze gorsze perspektywy miał przemysł dawnej Kongresówki w odniesieniu do rynków rosyjskich. W Rosji trwała wojna domowa, wszystkie dawne powiązania i kontakty zupełnie się zdezaktualizowały, na dodatek Rosja sowiecka prowadziła w latach 1919–1921 wojnę z Polską. Nie dawało to większych nadziei na wznowienie wymiany handlowej w niedalekiej przyszłości. Trzeba było zatem pilnie szukać nowych odbiorców. Były to kłopoty o podłożu politycznym, ale mocno oddziaływały na sytuację gospodarczą wyznaczającą ramy i warunki brzegowe rozwoju techniki.

Trzecią ważną trudnością, o której dziś już nie pamiętamy, były ogromne zniszczenia, jakich doznała Polska podczas działań wojennych. Jej ziemie, zwłaszcza wschodnie i południowe, były teatrem zmagania I wojny światowej, przez które parokrotnie przetaczał się front. Dzieła dokończyła wojna polsko-bolszewicka. Obrócone zostały w perzynę setki tysięcy budynków, w tym parę tysięcy wsi i osiedli doszczętnie. Zniszczeniu uległa sieć kolejowa – prawie połowa mostów i parowozowni, ponad 60 proc. dworców, przeszło 80 proc. wież ciśnieńowych. Praktycznie zamarł przemysł dawnej

Kongresówki, jego zatrudnienie w 1918 r. wynosiło 15 proc. zatrudnienia z 1913 r. W tym zakresie zniszczenia wojenne były jednak stosunkowo niewielkie. Znacznie większe straty związane były z ewakuacją przez Rosjan ważnych strategicznie zakładów wraz z personelem (a nierzadko i rodzinami pracowników) w głąb cesarstwa w 1915 r. oraz zatrzymanie produkcji przez 85 proc. fabryk włókienniczych z braku surowca. Wiele instalacji przemysłowych i surowców (zwłaszcza metalowych) zrabowali również Niemcy. Pozytywne było natomiast, że zniszczenia zupełnie ominęły Warszawę (podobnie jak większość miast Kongresówki), w której od 1915 r. działała już powstała za zgodą władz niemieckich (starających się koić Polaków) Politechnika Warszawska.

Dodatkowo II Rzeczypospolitej przyszło borykać się z galopującą inflacją powojenną w latach 20. i ze skutkami światowego kryzysu na początku lat 30.

Miasto morza

Ważnym problemem był brak własnego portu morskiego. Traktat wersalski praktycznie pozbawił Polskę możliwości swobodnego korzystania z Gdańska będącego jej tradycyjnym „oknem na świat”. W 1920 r. postanowiono zbudować całkiem nowy, nowoczesny port w Gdyni. Zlokalizował go w dolinie rzeczki Chylonki, pomiędzy Kępą Oksywską a Kamienną Górą, Tadeusz Wenda (1863–1948), który stał się głównym jego projektantem i do 1937 r. kierował jego budową. Od 1924 r. prowadziło ją francusko-polskie konsorcjum z udziałem firm duńskiej i belgijskiej.

Gdynia była jednym z najświetniejszych dokonań II Rzeczypospolitej. Oczkiem w głowie Eugeniusza Kwiatkowskiego (1888–1974), chemika technologa, którego prezydent Mościcki wykreował na głównego organizatora ówczesnej polskiej gospodarki, w latach 1926–1930 ministra przemysłu i handlu, a od 1935 r. wicepremiera do spraw gospodarczych i ministra skarbu. Dlatego powszechnie uważa się go za głównego jej twórcę (choć sam Kwiatkowski wielokrotnie publicznie temu zaprzeczał, wskazując, że był nim Wenda).

Gdynia stała się jednym z największych i najnowocześniejszych portów przedwojennej Europy. W 1937 r. zawinęło do niej 5759 statków. W 1938 r. przeładowano >>

» w niej 8,7 mln ton towarów (była to wówczas blisko połowa obrotów naszego handlu zagranicznego).

Obok portu wyrosło wielkie nowoczesne miasto. W 1921 r. mieszkało w Gdyni ok. 1,3 tys. osób w 132 domach – w 1939 r. liczba jej mieszkańców osiągnęła 120 tys. (dawało jej to szóste pod tym względem miejsce w kraju), a budynków przekroczyła 8,5 tys.

Podniebne maszyny

Ważną wizytówką II Rzeczypospolitej był przemysł lotniczy, powstały – co było wyjątkowe w skali światowej – bez zaplecza własnego przemysłu samochodowego. Szczególnie po 1926 r., kiedy przestano kupować przestarzałe samoloty francuskie i stworzono atmosferę do rozwijania rodzimych talentów z zaskakująco dobrym skutkiem. W utworzonych w Warszawie Państwowych Zakładach Lotniczych (1928) powstała oryginalna „rodzina” samolotów myśliwskich, której twórcą był wybitny młody konstruktor Zygmunt Puławski (1901–1931). Sukces zawdzięczały one przede wszystkim pomysłowemu rozwiązaniu konstrukcji skrzydeł, które zrobiło międzynarodową furorę pod nazwą „płata polskiego”. Dzięki zwężeniu przy kadłubie skrzydła te (przypominające kształtem skrzydła mewy) zapewniały pilotowi wyjątkowo dobre pole widzenia. „Płat polski” znalazł uznanie i zastosowanie praktyczne w wielu krajach, m.in.

w Czechosłowacji i Jugosławii, a nawet w państwach o tak chlubnych tradycjach lotniczych jak Francja (gdzie wszedł do seryjnej produkcji) i Niemcy.

Pierwsze myśliwce Puławskiego odniosły wiele sukcesów w zawodach międzynarodowych.

Ulepszoną ich wersją był PZL P-7, mający znakomite na owe czasy osiągi: prędkość 325 km/h i pułap 10 km. Był

Łącznie w latach 1929–1939 zbudowano ok. 750 myśliwców będących rozwinięciem PZL P-1. Część tej produkcji wykonano na zamówienia zagraniczne: P-11 weszły do służby w Rumunii, a P-24 w Grecji, Bułgarii i Turcji.

GDYNIA STAŁA SIĘ JEDNYM Z NAJWIĘKSZYCH PORTÓW PRZEDWOJENNEJ EUROPY.

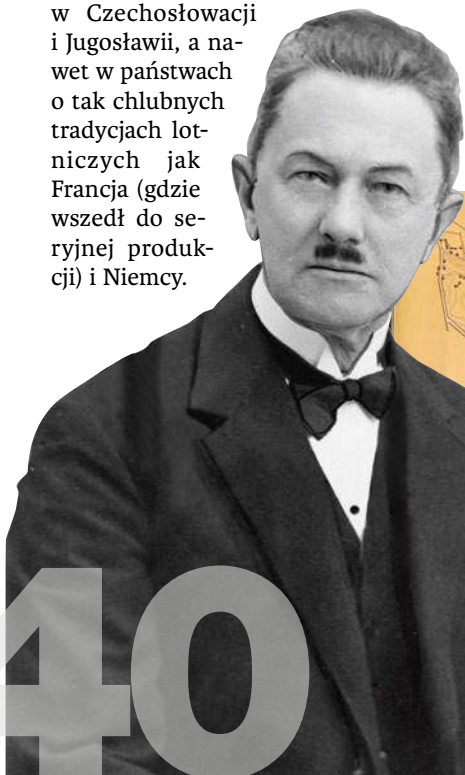
W 1937 r. ZAWINĘŁO DO NIEJ 5759 STATKÓW.

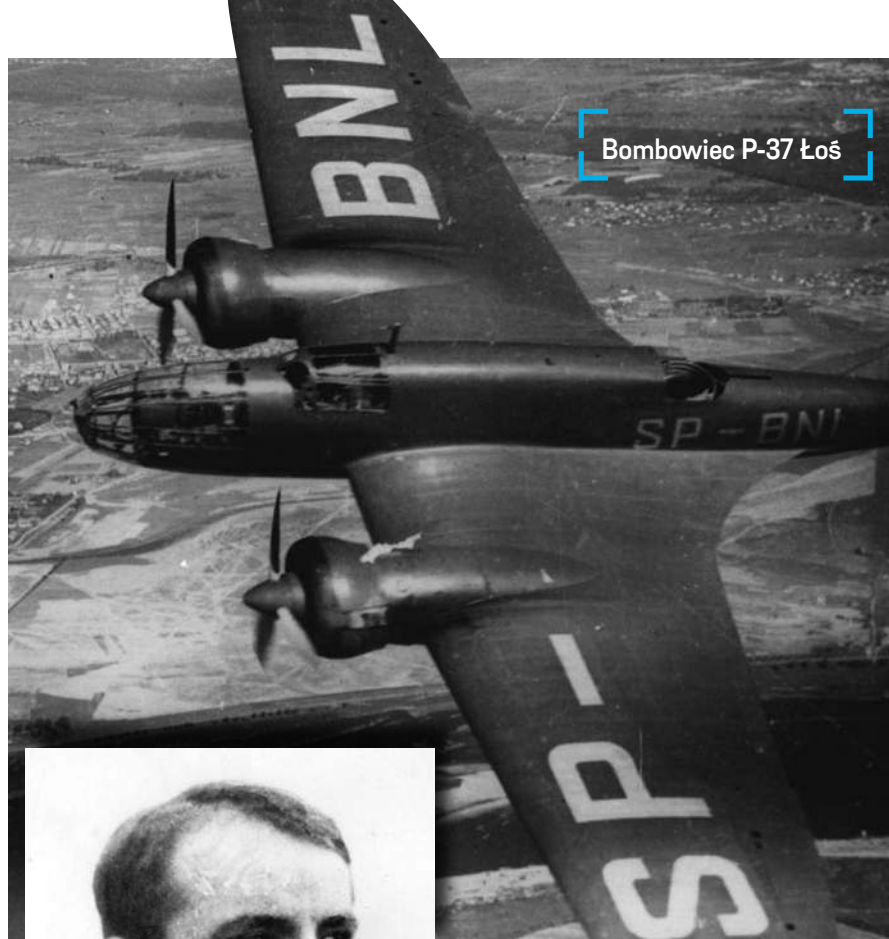
W 1938 r. PRZEŁADOWANO W NIEJ 8,7 MLN TON TOWARÓW

pierwszym, który wszedł do produkcji seryjnej (w latach 1932–1933 zbudowano 150 tych maszyn). Wyposażenie go w silnik większej mocy dało w efekcie PZL P-11, produkowany w latach 30. w kilku wersjach. Był to jeden z pierwszych w dziejach myśliwiec całkowicie metalowy, który wszedł do wyposażenia polskiego lotnictwa wojskowego w 1935 r. W 1933 r. powstał jeszcze doskonalszy myśliwiec PZL P-24, produkowany w kilku wersjach do 1939 r. Konstruktor obu tych najdoskonalszych w rodzinie „puławszczaków” maszyn był Wsiewołod Jakimiuk (1902–1991). Puławski bowiem zginął w 1931 r., oblatując amfibię własnej konstrukcji (blisko miejsca, gdzie to się stało, w Warszawie stoi upamiętniający go pomnik Lotnika).

Sukcesem na skalę ponadkrajową były również samoloty sportowe RWD, dzieło zawiązanej w 1927 r. spółki konstruktorów: Stanisława Rogalskiego (1904–1976), Stanisława Wigury (1903–1932) i Jerzego Drzewieckiego (1902–1990). Na dwumiejscowym górnopłacie zastrzałowym RWD-6 Wigura i pilot Franciszek Żwirko zwyciężyli w Międzynarodowych Zawodach Samolotów Sportowych Challenge 1932. Najbardziej znane z tej rodziny samolotów sportowych to: RWD-9 o znakomitych własnościach skróconego startu i lądowania, lepszych od wielu uzyskiwanych obecnie (Jerzy Bajan wygrał na nim Challenge 1934), oraz RWD-13 eksportowany do USA, Wenezueli, Brazylii, Hiszpanii, Austrii, Grecji, Jemenu, Peru i Palestyny, produkowany według

Tadeusz Wenda (1863–1948), główny projektant portu w Gdyni, do 1937 r. kierował jego budową; poniżej plan budowy portu w Gdyni





**Zygmunt Puławski (1901–1931),
konstruktor lotniczy**

polskiej licencji w Jugosławii. Warto też odnotować RWD-5 bis, na którym Stanisław Skarżyński przeleciał w 1933 r. nad południowym Atlantykiem z Afryki do Brazylii, ustanawiając światowy rekord odległości przelotu bez lądowania dla samolotów jednomiejscowych o masie do 450 kg (3582 km). Za ten wyczyn został nagrodzony w 1936 r. przez Międzynarodową Federację Lotnictwa medalem Blériota (jako jedyny dotychczas Polak). Sukces fetowano przez trzy miesiące, głównie w skupiskach polonijnych w Ameryce Południowej.

W połowie lat 30., w atmosferze narastającego zagrożenia wojennego, powstało w Polsce kilka projektów ultranowoczesnych samolotów wojskowych.

Najlepszym ze zrealizowanych był bombowiec P-37 Łoś, metalowy dwusilnikowy dolnopłat (pionierski płat o obrysie laminarnym) z chowanym podwoziem, o prędkości maksymalnej do 460 km/h (nieosiągalnej dla większości ówczesnych myśliwców) i ładunku bomb wynoszącym 2580 kg. Twórcą jego był Jerzy Dąbrowski (1899–1967). Wyróżniała się owa maszyna oryginalnym systemem podwozia o bliźniaczych kołach, pomysłu Piotra Kubickiego (1903–1990). Rozwiązanie to stało się wzorem dla wielu podwozi wielokółowych, stosowanych w konstrukcji ciężkich samolotów wielosilnikowych.

Do czasu wybuchu II wojny światowej wyprodukowano 124 Łośie.

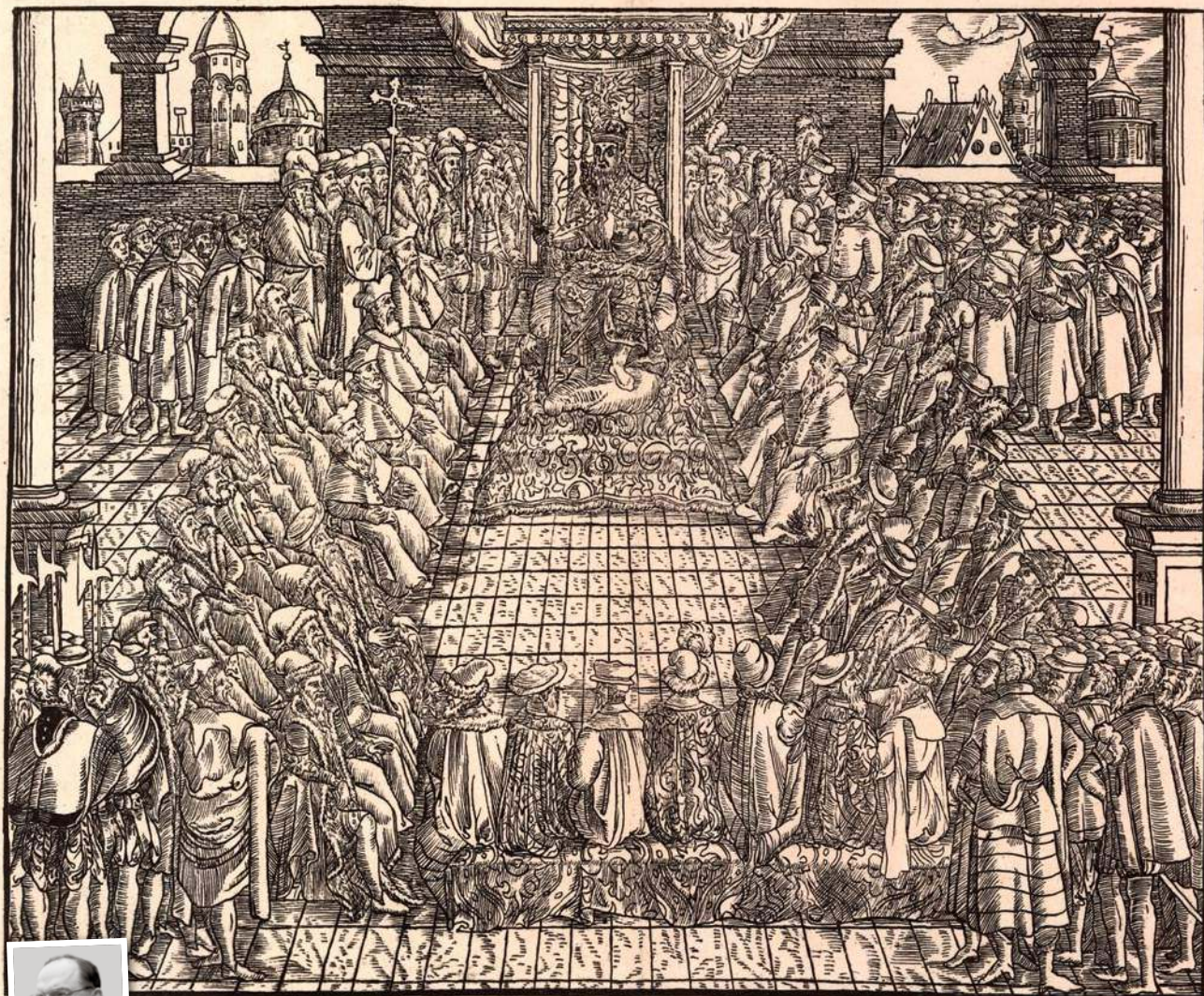
Nie doszło natomiast do skonstruowania w ostatnich latach przed wybuchem wojny supermyśliwca, który z powodzeniem mógłby zastąpić podczas kampanii wrześniowej „puławszczaki” – znakomite w połowie lat 30., ale już wtedy cokolwiek przestarzałe w warunkach nadzwyczaj szybkiego w tym czasie (zwłaszcza w Niemczech) wyścigu zbrojeń w owej dziedzinie. Najbardziej zaawansowany w realizacji był PZL-50 Jastrząb, dzieło Jakimiuka. Na początku 1939 r. oblatano jego prototyp i rozpoczęto produkcję seryjną. Innymi były P-38 Wilk i P-48 Lampart, zaprojektowane głównie przez Franciszka Misztala (1901–1981). Na przeszkodzie stanął brak odpowiedniego silnika. Miał być taki opracowywany przez Stanisława Nowkuńskiego (1903–1936) silnik Foka. Niespodziewana śmierć tego nadzwyczaj utalentowanego konstruktora podczas wspinaczki w Tatrach w lipcu 1936 r. postawiła pod znakiem zapytania jego realizację. Wynikłe z tego opóźnienia udaremniły przygotowanie polskiego supermyśliwca na kampanię wrześniową.

Polska myśl techniczna w dziedzinie lotnictwa wojskowego liczyła się wówczas w skali światowej. Wedle ocen niemieckich nasz kraj zaliczał się u progu II wojny światowej do drugiej czwórki przodujących wówczas krajów (obok Stanów Zjednoczonych, Holandii i Czechosłowacji). Pierwszą czwórkę w tym zakresie stanowiły wówczas: Niemcy, Wielka Brytania, Francja i Włochy.

Łącznie w okresie międzywojennym nasz przemysł lotniczy wyprodukował ok. 4,1 tys. samolotów (w tym ok. 1,1 tys. według licencji zagranicznych) i ok. 1,4 tys. szybowców.

Cdn.





FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

**HENRYK
LITWIN**

Miedzioryt „Obrady Sejmu za Zygmunta Augusta” znany także jako „Unia Lubelska”.
Ilustracja do dzieła „Statuta i przywileje koronne” Jana Herburta (Kraków, 1570)

WYBITNI PARLAMENTARZYŚCI POKOLENIA UNII LUBELSKIEJ – WALENTY ORZECOWSKI

W ROKU 450-LECIA UNII LUBELSKIEJ WARTO POWRÓCIĆ PAMIĘCIĄ DO
NIEZWYKŁEGO POKOLENIA SZLACHECKICH PARLAMENTARZYSTÓW,
KTÓRE W CZASIE SEJMU LUBELSKIEGO 1569 r. ORAZ DWÓCH PIERWSZYCH
BEZKRÓLEWI POWOŁAŁO DO ŻYCIA RZECZPOSPOLITĄ OBOJGA NARODÓW,
WYKREOWAŁO JEJ POLITYCZNY USTRÓJ I UMOCNIŁO JEGO STRUKTURY

Wielką rolę odegrał w tym dziele – rzecz jasna na pierwszym, uniijnym etapie – król Zygmunt August. Po ważny udział miało w nim możnowładztwo duchowne i świeckie reprezentowane w owej epoce przez wiele wybitnych jednostek zasiadających w senacie. Wielka przebudowa państwa odbyła się jednak przede wszystkim przy udziale szlachty gromadzącej się na sejmikach, sejmach i zjazdach okresów bezkrólewii, wypowiadającej się we wszystkich ważnych sprawach i oddziałującej na bieg spraw państwowych za pośrednictwem swoich lokalnych liderów, którzy na sejmach potrafili zabłysnąć wymową i erudycją, a przede wszystkim skryształizowanym poglądem na to, co stanowi dobro Rzeczypospolitej.

„Ruscy Polacy”

Jedną z takich jasnych postaci polskiego życia politycznego w Rzeczypospolitej lat 60. i 70. XVI w. był Walenty Orzechowski z Orzechowa w ziemi przemyskiej województwa ruskiego. Jego ród uosabiał skomplikowane dzieje Rusi Czerwonej, która w połowie XIV w. znalazła się w sferze oddziaływania królów polskich, w XV w. stała się częścią Królestwa Polskiego, a w XVI stuleciu była może najaktywniejszym ośrodkiem sejmikowej aktywności szlachty polskiej. Wśród obywateli województwa ruskiego przeważali już wówczas katolicy, wywodzący się z Polski i mówiący po polsku, ale nazywający siebie samych Rusinami. W ten sposób szlachta podkreślała swą więź z ziemią, która stała się rodzinna, pamięć o odrębnej tradycji historyczno-państwowej oraz szacunek dla współobywateli, którzy wywodzili się z etnicznie ruskich rodów, a znaczna ich część pozostawała wierna prawosławiu. Orzechowscy byli jedną z takich właśnie rodzin „ruskich Polaków”, silnie zrośniętą z lokalnym podglebiem, ale świadomą ogólnopolskiej roli państwowej i więzi stanowej.

W służbie sprawiedliwości

Walenty Orzechowski urodzony na początku lat 20. XVI w. przysposabiał się do służby publicznej przez naukę na uniwersytecie w Krakowie (od 1540) oraz działalność na dworze Piotra Kmity, potężnego możnowładcy, szlacheckiego lidera

i protektora Erazma z Rotterdamu. Dwory Kmity i biskupa krakowskiego Piotra Tomickiego były renesansowymi „kuźniami” kadr państwowych epoki wczesnozygmuntońskiej i otarcie się o te środowiska stanowiło doskonałą rekomendację dla młodej szlachty. Orzechowski przez pewien czas służył także Mikołajowi Sieniawskiemu, wojewodzie ruskiemu i hetmanowi koronnemu, ale w latach 50. osiadł na roli i oddał się służbie publicznej. W 1554 r. został podsejdmą, osiem lat później zaś sędzią ziemskim przemyskim (1562). Oba te urzędy osiągało się z nominacji królewskiej, ale po wyborze kandydatów przez lokalną szlachtę. Ich piastowanie było zatem oznaką posiadanego w sąsiedztwie szacunku. Orzechowski musiał pełnić swe sędziowskie obowiązki z pożytkiem dla społeczności, rychło bowiem obdarzono go większym jeszcze zaufaniem, wybierając w 1563 r. na posła na sejm walny. Zdobyte szacunku „braci szlachty” przy piastowaniu urzędu sądowego w ziemi przemyskiej było wówczas nie lada wyzwaniem. Władysław Łoziński pisząc o przemyslanach, charakteryzował ich tak: „Porywcy do gwałtowności temperament, namiętna zawziętość, najzuchovalsza swawola, lekceważenie cudzego życia i zdrowia”. Z tego powodu ziemia przemyska była „widownią szalonych wybryków, tragicznych zająć i najuporczywszych, najkrwawszych wojen prywatnych”. Jednak Orzechowski nie uległ pokusie „bujnego żywota” awanturnika. Próżno by szukać w sądowych aktach jego nazwiska jako strony gwałtownych sporów. Działal statecznie jako sędzia, parlamentarzysta, gospodarz i małżonek. Brak tylko wieści, by odgrywał również rolę ojca. Prowadził życie ustabilizowane, a jego dom w Orzechowcach był swoistym centrum spotkań okolicznej szlachty. W jakiejś mierze Walenty korzystał z popularności stryjecznego brata Stanisława, słynnego wówczas publicysty i ideologa szlacheckiej demokracji.

Przeciwnik egzekucji

Walenty Orzechowski już w czasie swej pierwszej misji parlamentarnej dał się poznać jako dobry mówca i odważny lider opozycyjnej mniejszości. Sejm 1563-1564 roku był areną rozgrywki o „egzekucję dóbr”. Hasło to, odwołujące się do prawidłowej realizacji dobrych, starych praw, mieściło w sobie szeroki program uporządkowania finansów państwowych

poprzez przywrócenie skarbowi monarszemu (a zarazem państwowemu) bezprawnie zastawionych lub rozdarowanych królewskich dóbr. „Egzekucjoniści” tworzyli rodzaj nieformalnego ruchu politycznego zasilanego energią przez średnią szlachtę. Ich aktywność skupiała się w izbie poselskiej, co w praktyce prowadziło do wzrostu znaczenia tej instytucji w ustrojowym porządku państwa. Zygmunt August, po długotrwałych sporach z ruchem egzekucyjnym, od sejmu piotrkowskiego 1562-1563 roku zdecydował się na sojusz ze szlachtą. Liczył, że realizacja postulatów egzekucyjnych wzmocni państwo i umożliwi realizację jego ambitnych planów w zakresie polityki zagranicznej – opanowania rozpadającego się państwa Kawalerów Mieczowych (Inflantów) i zdobycia „Dominii Maris Baltici”. Sejm 1563-1564 roku miał być kolejnym etapem realizacji tych projektów. W jego trakcie przyszło jednak królowi zmierzyć się z niespodziewaną opozycją „posłów ruskich”. Na Rusi Czerwonej ruch średnioszlachecki był bardzo silny i szczerze oddany koncepcji kluczowej roli izby poselskiej w państwowym systemie politycznym. Jednocześnie jednak egzekucję dóbr królewskich uważano tu za pomysł szkodliwy, bo uderzający w interes stanowy szlachty będącej opoką państwa. Walenty Orzechowski był jednym z głównych głosicieli takich poglądów i na wspomnianym sejmie przyjął na siebie rolę lidera opozycyjnego ugrupowania. Wielokrotnie przemawiał w czasie obrad, dowodząc, że zastawy i darowizny na rzecz szlachty zasłużonej dla obronności kraju nie powinny zostać cofnięte. Przeciwdziałał się przeprowadzeniu rewizji nadań królewskich, negował wręcz prawomocność procesu egzekucji dóbr, argumentując, że województwo ruskie nigdy nie wyraziło nań zgody. Spór skoncentrował się w pewnym momencie na kwestii wysłania lustratorów do województwa ruskiego, które sobie tego nie życzyło. Król i większość sejmowa dążyli jednak do przeprowadzenia egzekucyjnych konkluzji i usiłowali zignorować opór „Rusinów”. Już na etapie „ucierania” konstytucji Orzechowski proponował wprowadzenie do ich tekstu zastrzeżeń uwzględniających stanowisko jego województwa. Kiedy mu odmówiono, zagroził natychmiastowym wyjazdem delegacji ruskiej, czyli faktycznie zerwaniem sejmu. Widząc jednak determinację króla i egzekucjonistów, zrezygnował z tej skrajnej formy walki politycznej i poprzestał na >>

» ustnej protestacji na forum sejmu „my na ty rewizory nie pozwalamy, ani ich braci swej niesiemy”. Zaprezentował więc pokaz twardej walki parlamentarnej, ale w decydującym momencie znalazł sposób na oddanie pierwszeństwa interesom ogółu nad partykularnymi. Odwołał się werbalnie do najostrzejszej formy wykorzystania zasady jednomyślności, ale jej w praktyce nie użył. W sejmie epoki zygmuntońskiej, składającym się z doświadczonych i odpowiedzialnych polityków, jednomyślność była celem, do którego się zbliżano, a nie wymówką.

Orędownik unii

Kolejnym popisem aktywności sejmowej Orzechowskiego był sejm unijny 1569 r. Sędzia przemyski miał w czasie jego trwania kilkanaście obszernych wystąpień i był powoływany do wielu ważnych komisji. Wszedł do komisji powołanej dla uzgodnienia warunków unii z Litwinami. Został członkiem deputacji, która miała opracować przywileje inkorporacyjne dla Wołynia i Kijowszczyzny. Był zatem w wąskiej grupie bezpośrednich twórców dorobku prawno-ustrojowego wielkiego sejmu. Szczególną aktywność wykazał jako zwolennik inkorporacji Kijowszczyzny. W tej sprawie był rzecznikiem izby poselskiej wobec króla i senatu. W kwestii unii z Litwą prezentował początkowo stanowisko radykalne opowiadające się za unią „in toto” – zakładającą likwidację odrębnego litewskiego organizmu państwowego. W trakcie sejmu, dostrzegając konsekwentny opór „panów litewskich”, skorygował swój pogląd na sprawę i stał się zwolennikiem rozwiązań kompromisowych, prowadzących do utworzenia państwa o charakterze federacyjnym z zachowaniem odrębnych litewskich instytucji ustrojowych.

Przeciwnik Habsburgów

Po sejmie lubelskim 1569 r. Orzechowski był już uznanym i sprawdzonym liderem szlachty ruskiej. Odegrał więc niemałą rolę w wydarzeniach pierwszego bezkrólewia. Wziął udział w powołaniu konfederacji wojewódzkiej w październiku 1572 r., czyli ustanowieniu lokalnego porządku publicznego okresu interregnum. Na tym samym zjeździe uczestniczył w podjęciu uchwały o wyborze króla w drodze elekcji viritim. Był zwolennikiem wyboru Henryka Walezego, ale po jego ucieczce



FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

dążył do ogłoszenia interregnum i wyboru nowego władcy. W czasie drugiego bezkrólewia zwalczał kandydaturę habsburską i ostatecznie opowiedział się za Stefanem Batorem. W ten sposób trafił do kręgu osób współpracujących z Janem Zamoyskim i w czasie panowania Batorego pozostał w stronnictwie „wielkiego kancelerza”. Po śmierci króla zaangażował się ponownie w przeciwdziałanie wyborowi Habsburga na polski tron, co zaprowadziło go do obozu Zygmunta Wazy. Po raz trzeci w czasie interregnum opowiedział się po stronie zwycięskiego kandydata. Zmarł niedługo potem, w 1588 r.

Statysta, prawnik, stylista

Walenty Orzechowski był wyróżniającym się sejmikowo-sejmowym politykiem, jednym z najbardziej cenionych statystów swej epoki. Niestety nie kusiło go paranie się piórem. Pozostawił po sobie tylko mowy sejmowe zapisane wyrywkowo przez autorów diariuszy i mowę powitalną wygłoszoną w 1576 r. do wjeżdżającego na ziemię przemyską elekta – Stefana Batorego. Jeden z takich dzienników sejmowych zachowany do dziś może być nawet jego autorstwa. Mowa o zapiskach z sejmu 1563–1564 roku zatytułowanych „Sprawa posłów województwa ruskiego: [...] na sejmie walnym warszawskim roku pańskiego 1563”, których Orzechowski jest głównym bohaterem. Odnotowane tu fragmenty wystąpień sejmowych przedstawiają nam sędziego przemyskiego jako człowieka szcycącego się wykształceniem, który z upodobaniem

Walenty Orzechowski w 1562 r. został sędzią ziemskim przemyskim, co było dowodem prestiżu i zaufania wśród lokalnej szlachty. Rozstrzygał m.in. w imieniu administracji królewskiej szlacheckie spory o ziemię (na zdjęciu dokument z 1571 r. z jego sygnaturą, ustanawiający granice wsi)

wplata łącinę w swoje wypowiedzi. Nie są to jednak makaronizmowe wstawki, lecz dostojne cytaty w pięknym języku klasycznych autorów. Widzimy też u Orzechowskiego znakomitą znajomość prawa polskiego i talent do przekonujących interpretacji jego reguł. Przy tym wszystkim obowiązywała wówczas maniera skromności. Poseł powinien się prezentować jako przedstawiciel sejmikowej społeczności, wiernie trzymający się jej zaleceń oraz pełen szacunku dla króla poddany, który jednak wśród grzecznościowych frazesów mógł stawiać monarsze twarde warunki i domagać się korzystnych dla swych wyborców decyzji. W stylu Orzechowskiego uderza zdolność do łączenia oznak pokory z formułowaniem odważnych postulatów i stanowczą obroną własnego stanowiska w dyskusji. Lubił też piękne maksymy, na które i dzisiaj można byłoby się powołać, np. taką „W każdej Rzeczypospolitej aequalitas (równość) mnoży miłość, zgodę i przyjaźń między ludźmi, inaequalitas (nierówność) mnoży nieprzyjaźń, nienawiść, rozterki...”. ■

1941 JAK ZAWSZE WOJNA O ROPE...



**PAWEŁ
SKIBIŃSKI**

Rok 1941 był przełomowy w toku II wojny światowej. Dotychczasowi sojusznicy – nazistowskie Niemcy i komunistyczny Związek Sowiecki – zerwali współpracę, a Hitler najechał państwo Stalina, prowadząc zmagania militarne na froncie wschodnim na niespotykaną dotąd skalę... Jednak niezależnie od konfliktu totalitarnych dyktatorów w innych częściach świata także działy się rzeczy istotne.

W kwietniu 1941 r. do władzy w Iraku powrócił premier Raszid Ali al-Kilani. Był to nacjonalista panarabski. Reprezentowany przezeń kierunek zakładał wyzwolenie Iraku spod brytyjskich wpływów, które utrzymywały się na terenie tego kraju. Brytyjczycy mieli tam bowiem bazy lotnicze, a także korzystali z prawa do swobodnego transportu uzbrojenia i materiałów wojennych przez terytorium Iraku. A wszystko mimo że Bagdad od 1932 r. mógł cieszyć się formalną niepodległością pod rządami przedstawiciela dynastii Haszymitów. W 1941 r. w imieniu małoletniego króla Fajsala II władzę sprawował wuj, emir Abd al-Ilah, który zajmował jednoznaczne stanowisko probrytyjskie.

Al-Kilani odsunął w kwietniu Abd al-Ilaha i postawił na odmienną opcję polityczną – zorientowaną na państwa Osi. Był w tym popierany przez tzw. złoty kwadrat, tj. krąg czterech wpływowych dowódców armii irańskiej, mających podobnie jak premier poglądy panarabskie. Ludzie ci niemal natychmiast po przejęciu władzy w Bagdadzie zaprosili do kraju wielkiego muftiego Jerozolimy – Amila al-Husajniego, który został ministrem w rządzie Al-Kilaniego i rzucił fatwę na Brytyjczyków, wzywając muzułmanów do świętej wojny przeciwko Wielkiej Brytanii.

Bezpośrednią przyczyną wybuchu walk było brytyjskie usiłowanie wprowadzenia do Iraku dodatkowych jednostek wojskowych, na co nie chciał wyrazić zgody al-Kilani. Ewidentnie liderzy nowych irackich władz liczyli w tej sytuacji na wydatną pomoc państw Osi. 18 kwietnia siły brytyjskie pod dowództwem gen. Edwarda Quinana wkroczyły na terytorium irackie, opanowując główne porty i pola naftowe. Irakijczycy, którzy już wcześniej blokowali bazy lotnicze Brytyjczyków, rozpoczęli zaś ich ostrzał artyleryjski. W ten sposób wybuchła tzw. wojna iracko-brytyjska. Brytyjczycy atakowali w głąb lądu, starając się uwolnić swoje bazy lotnicze, a następnie opanować stolicę kraju. Wojna skończyła się po sześciu tygodniach, gdy Brytyjczycy znaleźli się na przedmieściach stolicy, a Al-Kilani i jego zwolennicy uciekli z kraju, obawiając się słusznie o swoje życie. Do władzy powrócił emir Abd al-Ilah, który był odąd uważany za anglosaską marionetkę.

Al-Kilani przegrał m.in. dlatego, że zawiedli go jego sojusznicy – obiecana mu bowiem przez Włochów i Niemców pomoc właściwie nie nadeszła. Państwa Osi nadeszły Irakowi tylko niewielkie wsparcie lotnicze, które przyszło pod koniec maja, gdy wojna była już w praktyce rozstrzygnięta.

Po porażce wojskowi ze „złotego kwadratu” zostali po kolei wyłapani przez Brytyjczyków, wydani władzom irackim i straceni. Sam premier uciekł zaś do Iranu, gdzie rządził wówczas nastawiony także proniemiecko szachinszach Reza Pahlawi. Szach podzielił wkrótce los irackiego premiera i został pozbawiony

władzy na skutek wspólnej agresji sowiecko-angielskiej dokonanej w sierpniu 1941 r. Pokonany władca został zmuszony do abdykacji na rzecz syna i zatrzymany. Zmarł w brytyjskim areszcie w Afryce Południowej w 1944 r.

Były iracki premier Al-Kilani zdążył jednak opuścić Iran i udał się do Niemiec, gdzie spotkał się nawet z Adolfem Hitlerem. Uznawany był przez Niemców za irackiego premiera na wygnaniu. W 1945 r. udało mu się jeszcze raz uciec przed aliantami i wyjechać do Arabii Saudyjskiej.

Wraz z zakończeniem wojny zaczęła się brytyjska okupacja Iraku, która potrwała aż do 1947 r. W Iranie natomiast wspólna sowiecko-angielska okupacja, trwać będzie do 1946 r.; spowoduje m.in. hiperinflację i klęskę głodu, a także masowe protesty perskiej ludności.

Z drugiej strony jednak okupacja Iraku i Iranu zapewniła aliantom kontrolę bardzo istotnych dla nich pól roponośnych położonych w tych krajach, a przede wszystkim zabezpieczyła ich przed groźbą, że zostaną one opanowane przez Niemców i ich sojuszników. Poza tym Brytyjczycy zabezpieczyli dostęp do Egiptu i Indii. Nie bez znaczenia było także to, że przez terytoria obu okupowanych krajów mogła być transportowana znacząca część pomocy dla Związku Sowieckiego, udzielanej przez zachodnich aliantów w ramach akcji Lend Lease.

Z tych właśnie względów Brytyjczycy w przypadku obu bliskowschodnich krajów nie zawahali się całkowicie zlekceważyć głoszonych przez siebie zasad polityki międzynarodowej, wyrażonych w Karcie atlantyckiej, podpisanej przez Churchilla i Roosevelta zaledwie kilkanaście dni przed sierpniową agresją na Iran. Przynajmniej bowiem, że okupacja Iraku i Iranu, choć była zapewne niezbędna z militarnego punktu widzenia, nie miała przecież nic wspólnego ani z zasadą swobodnego wyboru przez narody porządku politycznego, ani równego i wolnego dostępu do surowców, wyrażonych w tekście Karty...



Raszid Ali al-Kilani

Rzeczpospolita solidarna



**GRZEGORZ
GÓRNY**

Wielu historyków za początek katolickiej nauki społecznej uważa encyklikę „Rerum novarum” Leona XIII z 1891 r. Prawdziwsze byłoby jednak stwierdzenie, że papież raczej skonceptualizował dotychczasowe doświadczenie Kościoła, niż wymyślił coś nowego.

Solidaryzm wspólnotowy, zasada pomocniczości czy działalność dobroczynna były obecne w praktyce społecznej katolicyzmu od wieków. Dotyczy to także ziem polskich, gdzie już w średniowieczu zaczęły powstawać pierwsze pomocowe instytucje społeczne. Odpowiadały one na konkretne wyzwania, przed jakimi stawali wówczas ludzie borykający się z problemami dotyczącymi ich pracy, zarobkowania, utrzymania lub nawet przeżycia. Animatorami tego rodzaju aktywności były zwłaszcza zakony. To właśnie przy klasztorach powstawały najczęściej kasy jałmużnicze, które wspierały bezdomnych, ubogich, chorych, sieroty i wdowy.

W XII stuleciu pojawiły się dobroczynne organizacje religijne, przypominające dzisiejsze spółdzielnie. Wspomagały one swych członków, udzielając im zapomóg i pożyczek, dysponując funduszami chorobowymi i posagowymi czy prowadząc kasy pogrzebowe. Niektóre z tych średniowiecznych instytucji potrafiły przetrwać nawet do czasów najnowszych, np. Korporacja Kupców Chrześcijańskich, założona w 1429 r. i zlikwidowana dopiero przez okupacyjne władze III Rzeszy w 1939 r.

Dużą rolę w dynamizowaniu życia gospodarczego odgrywały tzw. banki pobożne, nazywane niekiedy górami pobożności (Mons Pietatis), bankami miłosierdzia lub lombardami dobroczynnymi. Były one de facto pierwszymi instytucjami kredytowymi w Polsce. Ich celem było udzielanie pożyczek potrzebu-

cym oraz ochrona ludności przed lichwą. Szczególnie zasłużony okazał się w tym dziele zakon franciszkanów. Patron Warszawy, bł. Ładysław z Gielniowa, znany jest dziś głównie jako poeta i autor pierwszych pieśni religijnych w języku polskim, ale przez swych współczesnych w drugiej połowie XV w. kojarzony był bardziej z inną aktywnością, a mianowicie zakładaniem banków pobożnych w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim. Żyjący w tym samym czasie prymas Jan Łaski miał nawet pionierski w skali europejskiej pomysł założenia ogólnokrajowego banku pobożnego, zasilanego z podatków szlachty i duchowieństwa, ale jego projekt nie doszedł do skutku.

W 2006 r. Pokojową Nagrodę Nobla za stworzenie systemu mikrokredytów w Bangladeszu otrzymał tamtejszy ekonomista Muhammad Yusuf. Jego idea nie była jednak wcale tak nowatorska, jak zwykło się dziś uważać. Podobna sieć istniała już w Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a jednym z jej animatorów był najstłynniejszy polski kaznodzieja i pierwszy rektor Uniwersytetu Wileńskiego ks. Piotr Skarga. To on stał za powstaniem w różnych miastach wielu banków pobożnych, z których pierwszy pojawił się w stolicy Litwy w 1578 r.

Sześć lat później przy kościele św. Barbary w Krakowie rzutki jezuita założył Arcybractwo Miłosierdzia – najstarszą, nieprzerwanie istniejącą do dziś (z wyjątkiem lat 1960–1989) organizację charytatywną w Polsce. W 1587 r. ufundował przy owej konfraterni bank po-



Najstłynniejszy polski kaznodzieja jezuita ks. Piotr Skarga założył w 1584 r. Arcybractwo Miłosierdzia – najstarszą, nieprzerwanie istniejącą do dziś organizację charytatywną w Polsce

dował przy owej konfraterni bank pobożny, zwany Komorą Potrzebnych. Zygmunt Gloger pisał, iż był to „jedyny bank w Europie wypożyczający pieniądze ludziom przyciśniętym potrzebą, na zastawy bez żadnego procentu”. Przez wieki instytucja funkcjonowała głównie dzięki krakowskim biskupom i kanonikom, którzy zasilali jej budżet własnymi datkami. Dlatego mogła dysponować różnymi funduszami celowymi, np. jałmużniczym, edukacyjnym czy inwestycyjnym. W 1602 r. w ramach Arcybractwa powołano do życia nową fundację, zwaną Skrzynką św. Mikołaja. Udzielała ona pomocy ubogim pannom, wyposażając je w odpowiedni posag i w ten sposób chroniąc przed moralnym upadkiem.

O tym się zwykle nie mówi. Polska historiografia ma raczej tendencję do koncentrowania się na jednostkowych wydarzeniach. W związku z tym często umyka jej tzw. długie trwanie społecznych urządzeń i instytucji, które niepostrzeżenie, lecz mocno odciskają swe piętno na życiu zbiorowości. Tak jak w przypadku organizacji kościelnych.

Bł. Ładysław z Gielniowa przez swych współczesnych w drugiej połowie XV w. kojarzony był głównie z zakładaniem banków pobożnych w Koronie i Wielkim Księstwie Litewskim





Ksiądz Marceli
Godlewski
(1865–1945)

FOT. JPN

**NAJWIĘKSZE
GETTO POWSTAŁO
W WARSZAWIE
I LICZYŁO,
W SZCZYTOWYM
MOMENCIE
ZASIEDLENIA,
PRAWIE 460 TYS.
MIESZKAŃCÓW
STŁOCZONYCH NA
SKRAWKU STOLICY**

NIEZWYKŁY KOŚCIÓŁ, NIEZWYKLI LUDZIE



**JAN
ŻARYN**

Parafia i świątynia pw. Wszystkich Świętych mieściły się przy pl. Grzybowskiem na terenie tegoż getta. Za zgodą administratora apostołskiego archidiecezji warszawskiej – abp. Stanisława Galla, a po jego śmierci abp. Antoniego Szlagowskiego – świątynia prowadziła działalność duszpasterską dla Żydów, katolików mieszkających z racji rasistowskiego prawa wprowadzonego przez niemieckiego okupanta w getcie, m.in. przygotowywała ich do sakramentu chrztu świętego. Zgodnie z zaleceniem

arcybiskupa, kiedy istniało codziennie zagrożenie życia, uproszczono procedury przygotowania do sakramentu kolejnych zgłaszających się, w tym dorosłych. Wystarczyło „złożenie wyznania wiary katolickiej i oświadczenie woli przyjęcia chrztu wobec księdza oraz co najmniej jednego świadka” – czytamy w oświadczeniu ks. Józefa Maja złożonym w ŻIH, a dotyczącym bohaterskiej postawy ks. Antoniego Czarneckiego, wikariusza parafii w getcie. Oprócz niego w parafii pracował także ks. Tadeusz Nowotko, a proboszczem kościoła od 1915 r. pozostał ks. prałat Marceli Godlewski (1865–1945), jeden z wielu przedstawicieli „pokolenia niepokornych”.

Otwarty Dom Boży

W styczniu 1941 r. w getcie mieszkało 1540 rzymskich katolików, a stosunkowo wielu

przeszło na katolicyzm już w czasie okupacji (według zachowanych świadectw 5–7 tys. osób). Udzielano różnorodnej pomocy wszystkim potrzebującym, mimo że wymagało to zarówno odwagi, jak i zdolności do konspiracji: „Kościół na Grzybowie mógł być otwierany w dni powszednie i w niedzielę tylko na czas jednej mszy św., a na nabożeństwo mogli tam wchodzić katolicy z getta pod kontrolą niemiecką i tak wychodzić” – wspomina ks. Maj swoje rozmowy z ks. Antonim. Zdarzało się, że świątynia była pełna (jak pisał prof. Ludwik Hirszfeld w swoich wspomnieniach „Historia jednego życia”), a według proboszczów kościoła potrafił on pomieścić co najmniej kilka tysięcy ludzi. Na terenie opuszczonej z nakazu Niemców przez „aryjskich” mieszkańców plebanii, gdzie w centralnym punkcie stała figura Najświętszej Marii Panny Niepokalanej, w kilku budynkach parafialnych >>



Kościół Wszystkich Świętych na pl. Grzybowskim w latach 30. był parafią robotniczą. Nie dziwi więc, że na placu przed świątynią 1 maja zbierali się socjaliści obchodzący Święto Pracy

FOT. NAC

>> i w samej świątyni mieszkali bądź byli przechowywani Żydzi katolicy i niekatolicy, w tym m.in. prof. Hirszfeld z żoną i córką, rodzina Zamenhoffów, a także Seweryn Majde, były dyrektor kabaretu Qui Pro Quo, z żoną i synami. Na terenie parafii mieszkały co najmniej 22 rodziny (ok. 100 osób), z których część jednocześnie pełniła funkcję Rady Parafialnej przy świątyni: „Wszystkie kąty, jakie plebania posiadała, wszystko było zajęte przez ludzi wówczas bardzo przygnębionych i bez jutra” – pisał Jan Doliwa Śledziński. Do dziś zresztą są widoczne w kościele, w dolnej jego części, skrytki, które zapewne były świadkami niejednej przejmującej historii. Z kolei jeden z uratowanych Rudolf Hermelin uściślał w swojej relacji na temat życia na plebanii: „Mieszkańcy dzielili się na

dwie kategorie: 1. Na plebanii i budynku bocznym przy plebanii mieszkali prawie wyłącznie chrzczeni Żydzi oraz niechrzczeni spośród inteligencji i plut [okracji]. 2. W pozostałych budynkach mieszkała biedota żydowska, drobni kupcy, robotnicy bez stałego zajęcia, szmuglerzy itp. Ilościowo stanowiło to ok. 50 osób z pierwszej kategorii i mniej więcej tyle z drugiej (tzn. 50:50)”.

Ponadto parafia chroniła i żywiła poprzez komórkę Caritasu biedotę żydowską z getta. „Pierwszym zadaniem było ratowanie od głodowej śmierci, przede wszystkim dzieci. Uruchomiono jadalnię, która wydawała jednodaniowe posiłki. Nawiązaliśmy kontakt z archidiecezjalną instytucją Caritas, która miała wtedy swą siedzibę przy

ul. Nowogrodzkiej 49” – wspominał z kolei wymieniony wyżej ks. Czarnecki. „Ówczesna kierowniczka biura Caritasu przekazywała parafii Wszystkich Świętych pomoc pieniężną i w naturze. Niestety, »wachmani« dozorujący bramę nieraz konfiskowali przewożone riksą produkty. Pomimo trudności, drożyzny oraz nieregularnych dostaw produktów jadalni wydawała do stu porcji dziennie wszystkim zgłaszającym się, bez różnicy wyznania”. Akcja ta trwała do końca 1941 r., później musiała przybrać jeszcze bardziej konspiracyjne formy. W tym samym czasie ksiądz proboszcz Marceli Godlewski osobiście nadzorował i wystawiał także fałszywe metryki, o czym pisała do Komitetu dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów synowa Telesfora Wyrzykowskiego, w czasie wojny sekretarza kancelarii parafii Wszystkich Świętych w Warszawie, powołując się na rodzinne świadectwa i dokumenty. Do zadań pana Telesfora wyznaczonych przez proboszcza należało: „1. Robienie aktów przejścia z wyznania na wyznanie; 2. Wystawianie metryk z polskimi imionami; 3. Wystawianie metryk urodzenia – uciekającym z getta; 4. Wystawianie metryk po nieboszczykach [ta forma była najbezpieczniejsza, gdyż dzięki temu nie chodziło po Warszawie np. dwóch Janów Kowalskich urodzonych w tym samym miejscu i czasie – J.Ż.]”. Fałszowanie dokumentacji kościelnej, przed wojną niewyobrażalne, stawało się normą. Jan Doliwa Śledziński wspominał: „Prowadząc rozmowy z księdzem prałatem w początkowej fazie – odnośnie wydawania ludziom wyznania mojżeszowego katolickich metryk – nie była to łatwa decyzja, ale po dłuższych rozmowach i przekonaniu księdza prałata, że ratuje się człowieka, który chce żyć – pewnego dnia otrzymuję odpowiedź, że przekonał mnie pan. Tym nieszczęśliwcom trzeba dawać metryki i puszczamy ich w świat – niech się ratują”. Ta elastyczność i umiejętność ludzi Kościoła dostosowania się do nowych wyzwań, to jeden z darów, którymi Bóg w czasie wojny obdarzył katolików – w tym kapłanów i siostry zakonne!

Proboszcz getta

Patronem całej akcji ratowania Żydów w getcie warszawskim i głównym wykonawcą akcji był ks. prałat Marceli Godlewski, wybitny duszpasterz, twórca

Stowarzyszenia Robotników Chrześcijańskich w 1906 r., wydawca pism katolickich, w których m.in. piętnował praktyki socjalistyczne, w latach II RP wspierający chrześcijański handel przed monopolem żydowskich przedsiębiorców, za co okrzyknięto go „antysemitą”. Politycznie był związany z chrześcijańską demokracją, przed I wojną światową zaś – członkiem Ligi Narodowej; był propagatorem nauki społecznej Kościoła i całym swoim życiem dawał świadectwo o jej zasadach. W czasie wojny bez reszty zaangażował się w pomoc na rzecz Żydów, także ich przechowując po aryjskiej stronie w swoim domu w Aninie: „Ks. [Marceli] Godlewski wygłaszał niezwykle natchnione, śmiałe [i] odważne kazania – wspominał jeden z uratowanych, Rudolf Hermelin, członek Rady Parafialnej przy świątyni. Zdarzało się, żeśmy się wszyscy obawiali o los tego szlachetnego człowieka”. W lipcu 1942 r., w przeddzień pierwszej akcji likwidacyjnej getta warszawskiego, Niemcy odebrali ks. Marcelemu Godlewskiemu i ks. Antoniemu Czarneckiemu prawo wstępu na teren getta. Musiał być to olbrzymi cios dla Polaków żydowskiego pochodzenia, katolików wyobcowanych z dominującego w getcie środowiska ortodoksyjnego, cierpiącego „wiele od swoich Rodaków, szczególnie od policji w getcie” – wspominał ks. Maj. Poza murami getta ks. Marceł nadal wspierał uciekinierów, m.in. nawiązując kontakt z miejskim Biurem Ewidencji Ludności, a równocześnie specjalną komórką legalizacyjną Armii Krajowej. Jego pra-

cownicy z narażeniem życia prowadzili biuro fałszywych dokumentów, wystawianych w ślad za równie prawdziwymi zaświadczeniami o przynależności do Kościoła katolickiego: „Posiadało ono fotografię właściciela, podpis księdza [Marcelego Godlewskiego] oraz pieczęć parafii” – pisała Małgorzata Ptasieńska. Kapłani parafii Wszystkich Świętych mogli liczyć również na pomoc innych kapłanów warszawskich, a także wielu rodzin katolickich, z którymi współpracowali, np. rodzina Adama i Marii Świądrów przechowująca po stronie aryjskiej wspomnianego Rudolfa Hermelina. W „siatce” konspiracyjnej księdza proboszcza znalazło się wielu Polaków, w tym siostry zakonne prowadzące jego dom w Aninie. Promieniował uczynnością i energią, nikt mu nie odmawiał.

W 2009 r., po wielu latach od zakończenia wojny, Instytut Yad Vashem w Jerozolimie przyznał ks. Marcelemu medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. Kościół Wszystkich Świętych był także wielokrotnie honorowany przez uratowanych Żydów, po raz pierwszy bodaj zaraz po wojnie, choć już po śmierci ks. Godlewskiego, która nastąpiła 26 grudnia 1945 r. w Aninie. Jak pisali biografowie ks. Godlewskiego, Karol Madaj i Małgorzata Żuławnik: „1 kwietnia 1948 r. dyrektor Jointu, Wiliam Bein, w imieniu Żydów którzy ocalili dzięki pomocy ks. Godlewskiego, chciał się przyczynić do powojennej odbudowy kościoła Wszystkich Świętych i przesłał ks. [Zygmuntowi] Kaczyńskiemu [nowemu proboszczowi] czek na 100 000 złotych. Połowa tej

sumy wystarczyła na pokrycie kosztów oszklenia całego kościoła [...], za drugą połowę proboszcz mógł jeszcze kupić około 10 000 cegieł”.

Pomnik, którego nie ma

W latach 90. XX w. z inicjatywy śp. Anny Poray Wybranowskiej, Polki z Kanady, powstał Komitet dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów, którego mam honor być współtwórcą. Komitetowi przyświecają od lat dwa cele; po pierwsze, zbieramy relacje od ocalonych i ratujących oraz ich rodzin; kolekcja składająca się z ok. 900 teczek (a niektóre zawierają setki nazwisk) znajduje się w Archiwum Akt Nowych i jest dostępna dla badaczy. Po drugie, bezskutecznie staramy się o budowę pomnika przy kościele Wszystkich Świętych ku czci Polaków Ratujących Żydów. Konkurs dawno temu został rozstrzygnięty; obecnie posiadamy już, dzięki pracy IPN, zweryfikowaną listę osób, których imiona i nazwiska mogą być umieszczone na proponowanym pomniku. Muszą się pojawić także na murze kościelnym nazwiska tych, którzy najściślej współpracowali z ks. prałatem Marcelem Godlewskim, wielkim bohaterze Polski Walczącej.

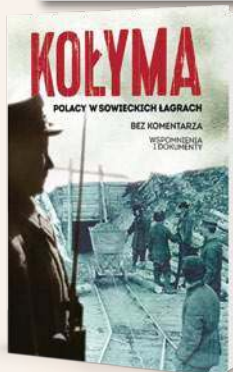
Dziś, gdy jesteśmy tak często szkalowani i pomawiani, pomnik w centrum stolicy przy tym kościele-symbolu katolickich wartości, które jakże często kazały Polakom wznieść się ponad normę zachowań, powinien stanąć na wieki! I oby tak się stało, póki Polska jest niepodległa. ■

polecamy WSKLEPIKU.PL

Zajrzyj koniecznie na naszą stronę
WSKLEPIKU.PL

Kołyma. Polacy w sowieckich łagrach

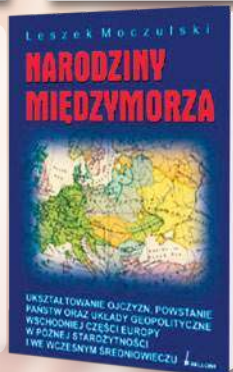
Praca zbiorowa



Książka zawiera w większości nigdy niepublikowane relacje tych, którzy przeżyli piekło sowieckich łagrów. Ze wzruszeniem spisywaliśmy tekst z maszynopisów i odręcznie pisanych świadectw. Publikujemy reprodukcje listów, pamiątek i dokumentów, które pozostały w archiwach. Ci, którzy ocalili, opowiadają o obozowym życiu na Kołymie, o dramatycznych zajściach, których byli świadkami i ofiarami.

Narodziny Międzymorza

Leszek Moczulski



Praca Leszka Moczulskiego „Powstanie Międzymorza” jest pierwszą tak obszerną analizą historyczną procesów geopolitycznych i geohistorycznych powstawania ojczyzn oraz kształtowania państw tworzących istniejący do dzisiaj system polityczny Międzymorza.

Najtajniejsza broń wywiadu

Sebastian Rybarczyk



Piętnaście opowieści ujawniających sensacyjne wątki historii, o których czytaliście na pierwszych stronach gazet; zdemaskowanie największego kreta w historii CIA – Aldricha Ames, romantyczne początki kariery Kim'a Philbiego – najsukceszniejszego szpiega sowieckiego, historia „piątki z Cambridge”. Materiał na serial wszech czasów.

Zamówienia można również składać telefonicznie pod numerem: 22 836 54 45

„JESTEM MU WINNA WDZIĘCZNOŚĆ”

12 LUTEGO 1948 r. GRUPA FUNKCJONARIUSZY
UB ARESZTOWAŁA W RADOMYŚLU
DOMINIKA GŁOWACKIEGO, NAUCZYCIELA,
KIEROWNIKA RADY WiN TARNOBRZEG,
KTÓRY W CZASIE WOJNY RATOWAŁ ŻYDÓW



**MARIUSZ
KRZYSZTOFIŃSKI**

W zabudowaniach domu Dominika Głowackiego przeprowadzono rewizję. Podczas niej znaleziono dokumenty placówki AK Radomyśl, puste niemieckie kenkarty, raporty, wykazy żołnierzy AK zabitych przez NKWD oraz raporty i dokumentację Rady WiN Tarnobrzeg. Zdobyte dokumenty przyspieszyły likwidację jej struktur. Pierwotnie przetrzymywany i przesłuchiwany był w areszcie PUBP w Tarnobrzegu. Potem został przewieziony do więzienia mieszczącego się w rzeszowskim zamku. 11 czerwca 1948 r. komunistyczny sąd skazał go na karę śmierci.

Pomoc z oddali

W międzyczasie wieść o aresztowaniu Dominika Głowackiego dotarła do Izraela, gdzie mieszkała ocalała z Holocaustu Maria Kirszenbaum-Trześniewska (ur. w 1902 r. w Radomyślu n. Sanem). W konsulacie polskim w Tel Awiwie 20 kwietnia 1948 r. złożyła ona z własnej woli zeznania, w których opisała pomoc, jakiej w okresie okupacji niemieckiej

udzielił jej Dominik Głowacki. Maria Kirszenbaum-Trześniewska po wywiezieniu jej męża przez Niemców wraz z trzema swoimi córkami: Reginą (podczas wojny miała 19 lat), Miriam (wówczas lat 17) i Rysią (wówczas lat 15) znajdowały się (od 1942 r. do 29 sierpnia 1944 r.) pod opieką Stefana Stankiewicza we wsi Żabno w powiecie tarnobrzeskim. Schronieniem rodziny żydowskiej był bunkier umiejscowiony na parceli Stankiewicza, będącego przed wojną klientem sklepu galanterijnego, należącego do rodziny Marii Kirszenbaum. Za udzieloną pomoc rodzina żydowska przekazała gospodarzowi niewielką sumę pieniędzy, które szybko zostały spożytkowane. Wtedy z pomocą 75-letniemu staruszkowi, jakim był Stankiewicz, przyszedł jego sąsiad Dominik Głowacki. Pracując jako nauczyciel, przynosił on Żydom drewno, ziemniaki, chleb, masło, mleko, słomę na poślanie i okazywał wiele grzeczności.

Jak pisze w protokole przesłuchania Maria Kirszenbaum-Trześniewska: „Jestem przekonana, że gdyby nie pomoc p. Głowackiego, ja i moje córki zginęłybyśmy z głodu i wyczerpania. Zaznaczam, że przechowywanie i pomaganie nam, jako Żydówkom, groziło śmiercią. Zaznaczam, że p. Głowacki nie miał wobec nas absolutnie żadnych zobowiązań, znajomość nasza była raczej powierzchowna i wszelka pomoc, którą nam w krytycznej chwili okazywał, była spowodowana uczuciami tylko i wyłącznie ludzkimi.



Dominik Głowacki, 1946 r.

P. Głowackiego znałam jako człowieka wybitnie uczciwego i jestem mu winna wdzięczność za pomoc, jaką okazał mnie i moim córkom w tak krytycznej sytuacji. Wobec tego, że jak się dowiedziałam, p. Głowacki został obecnie aresztowany, bardzo [fragment dokumentu zniszczony – M.K.] ciężkich czasach okupacji okazał tyle serca i szlachetności bez żadnego absolutnie ekwiwalentu, zasługuje ze wszelkich miar na poparcie. Bardzo proszę Konsulat Generalny o przesłanie niniejszego zeznania do odpowiednich władz, aby zainteresowały się sprawą p. Głowackiego”. Zeznania złożone przez Marię Kirszenbaum-Trześniewską stanowiły szlachetną reakcję i głęboki wyraz podziękowania za uratowane przez Dominika Głowackiego życie.

Życie bohatera

Dodać należy, że pomoc udzielana wspomnianej rodzinie żydowskiej była jedną z wielu zasług Dominika Głowackiego na polu patriotycznym. W okresie międzywojennym pracował jako nauczyciel w Złoczowie i Zbarażu.

Przeszedł przeszkolenie w ramach kursu podchorążych w szeregach m.in. 5. oraz 12. Dywizji Piechoty. W końcu sierpnia 1939 r. został zmobilizowany do 52. pułku piechoty Strzelców Kresowych. Ranny w wojnie 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej, z której został zwolniony w wyniku interwencji PCK. Jego rodzina (żona Zofia i syn Marian, który zmarł w 1940 r.) pozostała na Kresach, które zajęli Sowieci. W kwietniu 1940 r. bliskich Głowackiego wywieziono w głąb ZSRS. Do Polski w 1946 r. powróciła z zesłania jedynie żona Zofia.

Po powrocie do rodzinnego Żabna pracował jako kierownik szkoły powszechnej w Radomyślu. Już w 1940 r. zorganizował tajne nauczanie, kolportował m.in. podziemne pismo „Odwet”. Został kierownikiem Komisji Oświaty i Kultury w Radomyślu w ramach Delegatury Rządu na Kraj. W 1943 r. wstąpił w szeregi Armii Krajowej (placówka Radomyśl). Latem 1944 r. został zastępcą dowódcy szkoły podchorążych w tej placówce. Pod koniec tego roku awansował na zastępcę dowódcy placówki. Funkcję tę pełnił do momentu jej likwidacji. Nie skorzystał z ogłoszonej przez komunistów amnestii. Wprost przeciwnie, został członkiem

Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Latem 1944 r. Głowacki miał ostrzec Stanisława Gębałę, członka Armii Ludowej, o wydanym na niego wyroku śmierci przez sądownictwo Polski Podziemnej. Świadectwem tego jest list skierowany 12 czerwca 1948 r. przez wspomnianego Gębałę do prezydenta Bolesława Bieruta, w którym wstawiał się za aresztowanym Dominikiem Głowackim.

Od jesieni 1945 r. Głowacki objął stanowisko kierownika Koła WiN Radomyśl, tworząc siatkę wywiadowczą na jej terenie. Latem 1946 r. Dominik Głowacki stanął na czele Rady WiN Tarnobrzeg. Funkcję pełnił do momentu aresztowania.

Więzień komunizmu

Ostatecznie w sierpniu 1948 r. sąd wojskowy złagodził zasądzony wyrok do 15 lat więzienia. Dominik Głowacki trafił do więzienia we Wronkach, potem przebywał w Lesznie. W tym pierwszym wystawiono mu 23 lipca 1954 r. następującą opinię (pisownia oryginalna): „[...] w rozmowie na tematy polityczne dotychczas żadnej szczerości nie okazał, do współwięźni jest koleżeński i utrzymuje solidaryzm. Wyrok, który otrzymał, uważa

za krzywdzący. Ma również wątpliwości co do prasy, gdyż wątpi, czy prasa pisze prawdę”. Na podstawie amnestii w 1956 r. odzyskał wolność. Schorowany, pracował jako wagowy w cukrowni w Przeworsku, potem jako pracownik fizyczny w jednej z hurtowni w Tarnowie. Następnie znalazł zatrudnienie jako pracownik umysłowy w PSS „Społem”. Zmarł w Tarnowie, gdzie jest pochowany.

28 lipca 2014 r. Instytut Yad Vashem przyznał Dominikowi Głowackiemu tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. 2 sierpnia 2015 r. w Dukli Anna Azari, ambasador Izraela w Polsce, uhonorowała pośmiertnie Dominika Głowackiego, wręczając jego synowi Andrzejowi dyplom i medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

Anna Azari, ambasador Izraela w Polsce, wręczając Andrzejowi Głowackiemu medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata pośmiertnie przyznany Dominikowi Głowackiemu, Dukla, 2 sierpnia 2015 r.



FOT. IGOR WITOWICZ



Jan Fryderyk Sapieha

BARTOSZ
STARĘGOWSKI

Już od najdawniejszych lat takie przypadki były piętnowane, a dopuszczający się owych zabiegów surowo karani. W I Rzeczypospolitej majestat państwa uosabiał król. Wystąpienie przeciwko niemu bądź służba dla innego władcy i złamanie przysięgi były tożsame ze zdradą państwa. W okresie panowania Jana Kazimierza lojalność poddanych wobec osoby monarchy wielokrotnie bywała łamana. Życiorys pułkownika i pisarza polnego koronnego Jana Fryderyka Sapiehy jest dobrym przykładem takiej postawy – najpierw aktywnej służby wojskowej na rzecz własnego państwa, następnie jego zdrady, a ostatecznie powrotu na łono ojczyzny z wszystkimi tego konsekwencjami.

Specjalista i najemnik w służbie obcych państw

Jan Fryderyk Sapieha urodził się w 1618 r. jako najstarszy syn Fryderyka, podkomorzego włodzimierskiego i Ewy Skaszewskiej. Należał do jednego z najzamożniejszych i najbardziej wpływowych rodów na Litwie, pieczętujących się herbem Lis. Miał trzech braci, z czego dwaj Tomasz Kazimierz i Krzysztof Franciszek byli oficerami. Wychowywał się na Wołyniu, gdzie uczęszczał do kolegium jezuickiego w Łucku albo Ostrogu.

Model jego edukacji był typowy dla edukacji bogatych synów magnackich. Po ukończeniu kolegium rozpoczął naukę na Akademii Krakowskiej, a następnie wraz z bratem Tomaszem udał się do Włoch na peregrynację akademicką na uniwersytety w Bolonii i Padwie. To tam zdobył specjalistyczną wiedzę na temat inżynierii wojskowej i artylerii, stając się w przyszłości jednym z najlepszych ekspertów w kraju.

Zdobywał doświadczenie najpierw jako najemnik w armii francuskiej, a potem pod rozkazami Bernarda Weimarskiego i Kondeusza, a być może także przez jakiś czas w armii hiszpańskiej. Jednak rola najemnika mogła wpłynąć również negatywnie na jego osobę. Kondotier walczący dla tego, kto więcej za-

ROZTERKI PANA SAPIEHY

ZDRADA STANU NALEŻY
DO NAJNIKCIEMNIEJSZYCH
CZYNÓW, JAKIE MOŻNA POPEŁNIĆ
WOBEĆ WŁASNEJ OJCZYZNY

płaci, traci poczucie lojalności, co w przypadku służby dla własnego państwa ma niebagatelne znaczenie.

Początek kariery wojskowej i awans na pułkownika

W 1647 r. Jan Fryderyk powrócił do kraju i już w lipcu tego roku został rotmistrzem kwarcianej chorągwi pancerniej liczącej 50 koni. Od samego początku rebelii Kozaków na Ukrainie brał udział w walce z buntownikami. Znalazł się w grupie Stefana Potockiego, walczącej pod Żółtymi Wodami w 1648 r. Wykorzystano wówczas jego wiedzę na temat inżynierii wojskowej przy fortyfikowaniu obozu wojsk polskich: „A my w oblężeniu jeszcze nie barzo przykrym nie mieliśmy inżyniera. Ale... [Jan Fryderyk] Sapieha... wyszedłszy z cudzych krajów, umiając fortyfikacje, kazał się wszystkim rzucić do rydlów i... pomierzywszy sznurem, kopać się kazał. Rzuciliśmy szanów trzy...”. Po żółtowodzkiej klęsce koronnych wojsk polskich objął naczelne dowództwo nad grupą Potockiego, jednak długo nią nie dowodził, gdyż został pojmany przez Tatarów. Jako jeńiec aż dwa lata spędził w ciężkiej niewoli, najpierw w Dairze, następnie w Perekopie.

Wiosną 1650 r. wyszedł na wolność i ponownie objął dowództwo nad chorągwią pancerną. Na jej czele wziął udział w kampanii zimowo-wiosennej Marcina Kalinowskiego i bitwie pod Beresteczkiem. W 1652 r. zamierzał dostać się do obozu pod Batohem, jednak dotarł jedynie w okolice Ochmatowa, gdzie dowiedział się o klęsce polskiego wojska i tragicznej śmierci polskich jeńców zgładzonych przez kozackich buntowników pod wodzą Bohdana Chmielnickiego. Objął urząd po zamordowanym pod Batohem pisarzu polnym koronnym Zygmuncie Przyjemskim, a w 1653 r. był już pułkownikiem jazdy i piechoty. Brał udział w wyprawie żwanieckiej przeciwko Tatarom razem ze Stefanem Czarnieckim. W tym czasie pułk Sapiehy borykał się z licznymi problemami, które oprócz Tatarów stanowiła także niemożność zapłacenia żołdu żołnierzom. Z dziewięciu chorągwi wchodzących w skład pułku zdezerterowało siedem. Ponadto brat Jana Fryderyka, Tomasz, został pojmany podczas prowadzenia działań zaczepnych przeciwko Tatarom. Sapieha, dowodząc zaledwie dwiema chorągwiami, podjął karkołomną decyzję

o próbie odbicia go. Pod Tajkurami starł się z wojskiem tatarskim, poniósł klęskę i po raz drugi dostał się do niewoli. Tym razem wypuszczono go nieco szybciej; już w 1655 r. był na wolności i dalej brał udział w walkach z Kozakami, uczestnicząc w bitwie pod Gródkiem Jagiellońskim. Były to jednak ostatnie miesiące służby Sapiehy po polskiej stronie.

Przejście na stronę Szwedów

Wojsko szwedzkie Karola Gustawa wkroczyło do Rzeczypospolitej na wiosnę 1655 r. Widząc postępy Szwedów w Koronie i na Litwie, Jan Fryderyk zaczął czynić zabiegi o podporządkowanie się królowi szwedzkiemu już od października 1655 r. Przyczyn woły Sapiehy należałoby upatrywać w doświadczeniach militarnych i moralnych wyniesionych ze służby najemnej w czasie wojny trzydziestoletniej. Jako niekwestionowany autoritet pociągnął za sobą większą liczbę

szwedzkiej. Brał udział w bitwie pod Gołębkiem, a następnie ścigał pobite wojska Stefana Czarnieckiego. Próbował także przekonać Jana Sobiepana Zamoyskiego do poddania Zamościa, ale jego wysiłki okazały się bezowocne. Na domiar złego jego osoba zaczęła wzbudzać wrogość wśród polskiej szlachty. Stawał się niepopularny również wśród wojsk szwedzkich. Negatywne nastroje zaczęły się pojawiać także w jego oddziale. Od marca 1656 r. kolejne jego chorągwie zaczęły przechodzić na stronę polską. Gdy jedną z nich pochwycili Szwedzi, Karol Gustaw udzielił jej amnestii, wbrew stanowisku swoich żołnierzy, którzy domagali się jej unicestwienia wraz z samym Sapiehą. Ten zaś pod koniec marca po bitwie pod Niskiem wysłany w pościg za Czarnieckim, ostatecznie zdecydował o powrocie na stronę polską. Może zrobił to pod wpływem nacisku swoich żołnierzy, a może planował to od dłuższego czasu, w każdym razie od spraw wojskowych nie został odsunięty.

**„DO KAROLA KRÓLA SZWEDZKIEGO...
BYŁ WPRAWDZIE PRZYLEGNAŁ, ATOLI
JEDNAK DRUGIEGO ROKU ODERWAWSZY
SIĘ STAMTĄD, DO JANA KAZIMIERZA
POWRÓCIŁ, KTÓREGO POTEM STATECZNIE
I HEROICZNIE MAJESTATU BRONIŁ”**

oficerów. Wśród nich Jana Sobieskiego, dla którego był niezwykle szanowanym mentorem. Sapiehowie jako rodzina nie przeszli jednak na stronę szwedzką. Paweł Jan Sapieha, hetman wielki litewski, mimo wielokrotnych prób skaptowania go przez Szwedów stanął po stronie Jana Kazimierza i dowodził siłami Rzeczypospolitej na Litwie. Podobnie rodzony brat Jana Fryderyka, Krzysztof Franciszek wbrew pierwotnym deklaracjom pozostał na służbie u króla polskiego. Co ciekawe w przypadku rodu Sapiehów, o wytrwaniu w wierności przy Janie Kazimierzu zadecydowały najpewniej nie tyle miłość do ojczyzny, ile konflikt interesów i niechęć do Radziwiłłów.

Jan Fryderyk był naczelnym dowódcą jazdy polskiej walczącej po stronie

Więcej – natychmiast przywrócono mu status pułkownika, a Czarniecki przydzielił mu bardzo odpowiedzialne zadania; oddano pod komendę czternaście chorągwi, na czele których miał osłaniać przeprawę przez Wisłę w okolicach Baranowa.

Powrót na stronę polską i dalsza działalność

Sapieha wraz z Krzysztofem Koryckim był jednym z najdłużej służących po stronie szwedzkiej polskich oficerów, mimo to nie został ukarany. Dalsza jego działalność to walka z niedawnymi mocodawcami pod Bydgoszczą, Kłeckiem, Warszawą oraz działania operacyjne prowadzone przeciwko wojskom Jerzego Rakoczego, którego po pokonaniu eskortował >>



Miedzioryt z 1696 r. przedstawiający zdobycie zamku w Złotowie przez Szwedów (na górze), rzut zamku w Drawsku (na dole), wg rysunku Nicolasa Perelle'a

» poza granice państwa polskiego. Był także jednym z uczestników i głównodowodzących oblężeniem, a następnie odbiciem Torunia. Po zakończeniu działań zbrojnych przeciwko Szwedom aktywnie włączył się do kampanii przeciwko Rosji. Brał udział w bitwie pod Cudnowem, a także prowadził działania operacyjne wraz z Iwanem Wyhowskim i Janem Henrykiem Bockunem, mające na celu wsparcie Tatarów i walkę z Kozakami będącymi w sojuszu z Rosją. Wykorzystując swoje umiejętności inżynierskie, wzmocnił obronę obozu wojsk polskich pod Cudnowem, a 8 października 1660 r. przygotował zasadzkę, której efektem było odparcie przeciwnika i w konsekwencji zwycięstwo w bitwie.

W 1661 r. Jan Fryderyk Sapieha zawiesił służbę wojskową. Jego dalsze losy związane były z Sobieskimi i prowadzoną przez nich polityką. Popierał kandydata francuskiego i plany elekcji vivente rege. W 1663 r. po śmierci Wincentego Gosiewskiego liczył na buławę polną litewską, dysponując poparciem Pawła Sapiehy. Nominację otrzymał, jednak ze względu na pogarszający się stan zdrowia musiał się zrzec urzędu. Tuż przed śmiercią po-

wrócił jeszcze do wojska i jako pułkownik brał udział w walkach przeciwko Moskwie w latach 1663–1664, były to jednak jego ostatnie działania. Zmarł w 1664 r. pod Żórawnem, został pochowany we Lwowie.

Zwykły najemnik czy wyrachowany zdrajca – próba oceny

Trudno jednoznacznie ocenić postępowanie pułkownika Jana Fryderyka Sapiehy. Tak jak już wcześniej wspomniano, długo służył on jako kondotier, co często wiązało się ze zmianą strony, po której walczył. Szwedów znał z tych czasów, być może z niektórymi z nich się przyjaźnił. To tłumaczyłoby szybkie jego przejście na stronę Karola Gustawa. W wojsku polskim uchodził za zdolnego dowódcę, specjalistę w zakresie inżynierii i fortyfikacji. Pomimo odstępstwa, jakiego dokonał, był wysoko ceniony przez Jana Kazimierza. Kasper Niesiecki napisał o nim: „...był to Pan wielkiej wspaniałości serca, pułki całe wojsk własnym swoim kosztem na usługę ojczyzny wystawiał, żadnej nie opuścił kampanii... Jakiej zaś był eksperycy wojennej..., że cokolwiek dzieł

rycerskich mógł mieć wiadomości, to zawziął od Jana Sapiehy...”. O jego służbie u Szwedów napisał: „Do Karola Króla Szwedzkiego, pod płaszczykiem protekcji... był wprawdzie przyległą, atoli jednak drugiego roku oderwawszy się stamtąd, do Jana Kazimierza powrócił, którego potem statecznie i heroicznie majestatu bronił”. Estyma, jaką cieszył się w wojsku, zapewne wpłynęła na to, że nie został ukarany, nie utracił żadnego dobra, nie został odsunięty od wojska, nie obciążono go nawet karą pieniężną. Wręcz przeciwnie – do samej śmierci służył w armii, dowodząc pułkiem i prowadząc działania operacyjne. W zasadzie nikt, kto dopuścił się zdrady w okresie „potopu”, nie doczekał się stosownej kary. Nie ponieśli jej Mikołaj Rej, Krzysztof Korycki, Hieronim Radziejowski ani Bogusław Radziwiłł, choć ich działalność niejednokrotnie była bardziej nikczemna i szkodliwa niż czyny Jana Fryderyka.

Jako ciekawostkę można wspomnieć, że postać Jana Fryderyka pojawia się na kartach powieści Henryka Sienkiewicza „Potop”. Jest tam on dość jednoznacznie opisany: „Jan Sapieha, który naonczas zdradą jeszcze, ku wielkiemu umartwieniu wojewody witebskiego, nazwisko kalał...”. Jeszcze ciekawsza jest scena pertraktacji Jana Sapiehy z Janem Zamojskim o poddanie Zamościa: „Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty oficer służbowy z oznajmieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić. A pan starosta począł się zaraz w boki brnąć, z nogi na nogę przestępować a sapać, a wargi odymać, wreszcie odrzekł z okrutną fantazją: – Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda rodowitego przysle, nie Polaka, bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwa odprawują, gdyż po równi nimi gardzę”. Jest to co prawda jedynie opis literacki i cała scena powstała w wyobraźni autora, jednak na tym przykładzie widać, jaki stosunek do zdrady miał Henryk Sienkiewicz, piszący ku pokrzepieniu serc w najtrudniejszym dla narodu polskiego okresie.

Jak katolików straszono faszyzmem



MAREK
JUREK

Całą swą pierwszą pielgrzymkę do niepodległej Polski św. Jan Paweł II poświęcił nauczaniu o Dekalogu jako koniecznym fundamentie odrodzonej Rzeczypospolitej.

W czasach opresji Kościół nieraz musiał implicite wyznawać atakowane prawdy. Tak też w kwestii ładu państwowego zaczęło być od czasu, gdy wojujący laicyzm jako „państwo wyznaniowe” piętnował każdy element cywilizacji chrześcijańskiej. Jan Paweł II więc zasady te opisywał. Swój pontyfikat zaczął od wezwania, by „zbawczej władzy Chrystusa” otworzyć „granice państw, systemów ekonomicznych i politycznych, szerokie dziedziny kultury, cywilizacji, rozwoju”. A przyjeżdżając po raz pierwszy do wolnej Polski, mówił, jak to zrobić. Dzięki jego fenomenologii państwa chrześcijańskiego, często ciekawszej od suchych definicji, można było wyraźnie obejrzeć konkretne kształty katolickiego ideału społecznego.

„Tygodnik Powszechny” napisał potem, że w orędziu papieskim usłyszał ton ZChN. W tym bowiem czasie pierwsze próby przywracania podstawowych instytucji katolickich w życiu publicznym (ochrona życia, katechizacja szkolna, konkordat) już spotkały się z zaciekłym atakiem, w którym lewica postopozycyjna (z „Gazetą Wyborczą” na czele) ścigała się o pierwszeństwo z lewicą postkomunistyczną i z „Nie” Urbana. Bez przerwy piętnowano „klerykalizację życia publicznego”. Owa „klerykalizacja” polegać miała np. na przywracaniu przez samorządy tradycyjnych nazw ulic, jak Święty Marcin w Poznaniu. W tamtym okresie opinia katolicka dopiero budziła się z letargu po czasach, gdy dla wielu ludzi szczyt społecznych aspiracji sprowadzał się do tego, żeby „można było chodzić do kościoła”. Pamiętam spotkanie na jednej ze śląskich uczelni, gdzie



Fragment pochodu członków Stronnictwa Narodowego przez Warszawę, po nabożeństwie dziękczynnym w katedrze św. Jana, w rocznicę „cudu nad Wisłą”, 15 sierpnia 1937 r.

FOT. NAC

w sprawach cywilizacji życia musiałem przemawiać przeciw całej sali. Tak to z zewnątrz wyglądało, bo prywatnie ludzie się zgadzali, ale publicznie nie potrafili tego wyrazić i to było najczęściej źródłem ich nieśmiałości.

Tymczasem Adam Michnik i inni chorażowie walki z „klerykalizacją” zaczęli straszyć, że szeroko rozumiana prawica dąży do przekształcenia Polski w Katolickie Państwo Narodu Polskiego (KPNP). Nie pamiętam, by ktokolwiek wtedy tak formułował swój program społeczny, ale tak chcieli go nazwać oponenci chrześcijańskiego charakteru Rzeczypospolitej. Aluzja była bardzo konkretna. Katolickie Państwo Narodu Polskiego było hasłem młodych narodowców lat 30., głoszonym przez wszystkie ich odłamy, od Stronnictwa Narodowego po Falangę. Czym miało być? Nie tyle „zwyczajnym” państwem katolickim, którego znamionami są uznanie Boskiego źródła władzy (więc właściwego odniesienia moralnej odpowiedzialności rządzących), a także szczególnej pozycji Kościoła (nie w sensie przywilejów, ale autorytetu). Takim państwem, w sensie ustrojowym, była II Rzeczpospolita, co na różne sposoby potwierdzały obie konstytucje, marcowa i kwietniowa.

Gdy młodzi narodowcy mówili o Wielkiej Polsce – Katolickim Państwie

Narodu Polskiego – mieli na myśli nie tyle te proste normy, ile jakąś szczególną polską postać Nowego Ładu, którego rewolucyjna prawica szukała wtedy w wielu miejscach w Europie. Z drugiej strony postulowane przez nich Katolickie Państwo Narodu Polskiego chciało być z pewnością katolickie, w sensie nałożenia moralnego wędzidła swym nacjonalistycznym tendencjom i wierności katolickiej kulturze.

W 1990 r. miałem debatę publiczną z Adamem Michnikiem na Uniwersytecie Warszawskim. Oczywiście redaktor „Gazety Wyborczej” zarzucił mi, że dążymy do budowy owego KPNP. Wyjaśniłem mu, że cieszę się z odzyskanej niepodległości i chcę, żeby Polska była państwem opartym na etyce katolickiej, po prostu. Redaktor „Wyborczej” odparł, że nic nie ma przeciw państwu opartemu na katolickiej etyce, ale widzi, że chcemy zbudować KPNP. Sofizmat był znakomity: państwo katolickie to KPNP, KPNP to radykalny nacjonalizm, radykalny nacjonalizm to faszyzm, krótko mówiąc – katolickie postulaty ustrojowe są nie do pogodzenia z demokracją. Tak zaczynało się robienie z opinii katolickiej chłopca do bicia, bo łatwiej było polemizować z ONR niż z kardynałem Hlondem. Przynajmniej jeszcze wtedy.

Sobór prawosławny
na placu Saskim
w Warszawie

KAT W SUTANNIE

**DROGA DO USTANOWIENIA W POLSCE AUTOKEFALICZNEGO
KOŚCIOŁA PRAWOSŁAWNEGO BYŁA WYBOISTA I BARDZO
DRAMATYCZNA. DOPROWADZIŁA DO OSTRYCH PODZIAŁÓW
W ŚRODOWISKU PRAWOSŁAWNYCH DUCHOWNYCH.
DOSZŁO NAWET DO POLITYCZNEGO MORDU**



**ARTUR
GUZIKI**

Jest lutowy poranek 1923 r. W rezydencji prawosławnego metropolity Warszawy, arcybiskupa Jerzego, zjawia się archimandryta Smaragd. Ten duchowny, powszechnie uznawany za doskonałego administratora, jeszcze niedawno zarządzał kilkoma prawosławnymi klasz-

torami. Jeszcze niedawno przełożeni widzieli w nim nowego biskupa słuckiego. Jednak świetnie zapowiadająca się kariera Smaragda nagle legła w gruzach. Konflikt z prawosławnym metropolitą warszawskim doprowadził do zawieszenia go w pełnieniu wszystkich obowiązków i pozbawił kościelnych godności. Smaragd wierzył, że jego sytuację mogła zmienić tylko bezpośrednia rozmowa z najwyższym dostojnikiem Kościoła prawosławnego w Polsce. Tyle że nie chodziło mu tylko o siebie. Uważał się za ofiarę zmian w Kościele prawosławnym, którym z całych sił się sprzeciwiał. O spotkanie z arcybiskupem archiman-

dryta zabiegał od kilku miesięcy. Dobrze się do niego przygotował.

Duchowni rozmawiali w cztery czy około dwóch godzin. Po tym czasie sekretarz arcybiskupa usłyszał trzy strzały. Kiedy wbiegł do gabinetu metropolity, ten leżał na podłodze z przestrzeloną głową. Smaragd spokojnym głosem oświadczył: „Zabiłem kata prawosławia” i poprosił o wezwanie policji.

Oderwać się od Moskwy

Konflikt dwóch prawosławnych dostojników był wynikiem ostrego podziału, jaki zaraz po zakończeniu I wojny światowej

zapanował wśród duchownych prawosławnych zamieszkujących na terenie młodego państwa polskiego. Z chwilą odzyskania przez Polskę niepodległości ich sytuacja zmieniła się diametralnie. Z jednej strony zostali pozbawieni oparcia w moskiewskim patriarchacie, a z drugiej – musieli się zmierzyć z nową polską władzą, która nie zawsze patrzyła na nich łaskawym okiem. Podporządkowana Moskwie Cerkiew była postrzegana jako niebezpieczeństwo. Mogła utrudnić integrację wielonarodowego państwa. Jednak trzeba było się liczyć z działającymi na terenie kraju strukturami Cerkwi. W granicach państwa polskiego mieszkało blisko cztery miliony obywateli wyznania prawosławnego. Na wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej były powiaty, w których prawosławni stanowili zdecydowaną większość mieszkańców. Dlatego w kręgach rządowych zrodził się pomysł, żeby sprawę uregulować, ustanawiając niezależny od moskiewskiego Polski Autokefaliczny Kościół Prawosławny. Tyle że pomysł ten mocno podzielił prawosławnych. Większość z nich stanowili Rosjanie, a tym trudno było się pogodzić z zerwaniem z Moskwą.

Tymczasem administracji państwowej zależało na doprowadzeniu do sytuacji, kiedy to właśnie polska władza będzie miała wpływ na obsadzanie najwyższych stanowisk w miejscowej prawosławnej strukturze kościelnej. Pierwszym krokiem było wydanie już w 1918 r. dekretu, który pozwalał na wzięcie w zarząd majątku należącego do Cerkwi. Ten krok nie przyczynił się do ocieplenia stosunków między częścią promoskiewskiego duchowieństwa a młodym państwem. W tej sytuacji władze polskie postanowiły sięgnąć po kogoś spoza kręgu prawosławnych dostojników pod bezpośrednim wpływem moskiewskich przełożonych. Wybór padł na Ukraińca przebywającego we Włoszech.

Z ziemi włoskiej do Polski

Biskup Jerzy urodził się na Podolu w Małej Ternawce. Podobnie jak ojciec wybrał stan duchowny i wstąpił do seminarium w Kamieńcu Podolskim. Później podjął studia na Kijowskiej Akademii Duchownej. Po zakończeniu studiów został skierowany do pracy jako wykładowca w seminarium duchownym w Symferopolu na Krymie. Tam zaprzyjaźnił się z miejscowym biskupem Nikołajem.

To on właśnie namówił Jerzego do wstąpienia do monasteru, gdzie w 1900 r. złożył śluby zakonne. Od tego czasu kariera przyszłego metropolity warszawskiego potoczyła się błyskawicznie. Trzy lata później, już jako rektor seminarium w Tule, uzyskał godność archimandryty, a w 1906 r. został biskupem.

Szybko zdobywał autorytet wśród prawosławnych hierarchów. W 1910 r. został wikariuszem w prowincji petersburskiej i objął prestiżowe stanowisko rektora tamtejszego seminarium. W lipcu 1916 r. został wysłany do Mińska. Powierzono mu kierowanie ważną dla prawosławia prowincją. Kilka miesięcy po objęciu władzy biskupiej w diecezji zapanował chaos wywołany wybuchem rewolucji lutowej. Nowy hierarcha znalazł się w centrum politycznych wydarzeń i musiał zająć jednoznaczne stanowisko. Postanowił pozostać wierny carowi i odmówił udziału w zorganizowanych w Mińsku uroczystościach z okazji obalenia monarchii. Ta postawa nie zjednała mu sympatii otoczenia, które usiłowało się dostosować do nowej rzeczywistości. Nad głową Jerzego zaczęły się gromadzić czarne chmury. Do niemal otwartego buntu doszło na zwołanym spontanicznie spotkaniu wiernych i duchowieństwa, w którym biskup odmówił udziału. Jego oponenci wykorzystali nieobecność sufragana i ogłosili, że „oderwał się od Bożego ludu”, stał się biurokratą, a ktoś taki nie powinien samodzielnie rządzić diecezją.

NOWY HIERARCHA POZOSTAŁ WIERNY CAROWI I ODMÓWIŁ UDZIAŁU W UROCZYSTOŚCIACH Z OKAZJI OBALENIA MONARCHY

Padł postulat, żeby w sprawowaniu władzy pomagała mu demokratycznie wybrana rada złożona z kapłanów. Takie rozwiązanie co prawda mieściło się w prawosławnej tradycji, ale tak naprawdę było zamachem na biskupią niezależność i swoistym wotum nieufności. Jerzy uznał jednak, że dla dobra diecezji musi taką sytuację zaakceptować. Stan ten nie trwał długo. W sierpniu 1917 r.

wyjechał z Mińska i nigdy już do niego nie wrócił. Podniesiony do godności arcybiskupa wziął udział w dwóch soborach Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i Wszechukraińskiego Soboru Cerkiewnego. Przerażony zmianami, jakie niesła bolszewicka rewolucja, do tego chory, postanowił opuścić Rosję. Osiadł na wyspie Chalki, gdzie zaangażował się w pracę tamtejszej akademii teologicznej. Jednak nie było mu dane oddać się pracy naukowej. Skuszony przez „białych oficerów” wrócił do Rosji i działał na terenach kontrolowanych przez wojska Denikina. Ale i to nie trwało długo. Po ostatecznym zwycięstwie Armii Czerwonej musiał uciekać. Przez Nowosybirsk, Stambuł, Saloniki dotarł do Bari we Włoszech.

Właśnie tam zastało go zaproszenie rządu polskiego do objęcia funkcji metropolity warszawskiego. Podjął się tego wyzwania.

Stronnictwo promoskiewskie

Rząd polski wymagał od arcybiskupa Jerzego posłuszeństwa, lojalności wobec władz i natychmiastowego podjęcia działań na rzecz niezależnienia Kościoła prawosławnego w Polsce. Zadanie to okazało się niezwykle trudne. Z jednej strony złożona na piśmie deklaracja lojalności i uzgodnienia z ministrem wyznań religijnych i oświecenia publicznego Maciejem Ratajem obligowały go do realizowania planów rządu, z drugiej – wewnętrzny

opór duchowieństwa i niejasne stanowisko patriarchy Moskwy uniemożliwiały szybkie osiągnięcie celu.

Arcybiskup w sierpniu 1920 r. przyjechał do Warszawy. Polskie władze od jakiegoś już czasu zabiegały – bez powodzenia – o utworzenie niezależnego od Rosji Kościoła prawosławnego. Początkowo zadanie to miał wykonać grodzieński biskup Włodzimierz. Oficjalnie >>

» popierał starania władz. Składał obietnice, ale nic nie robił. Nie chciał wchodzić w otwarty konflikt z przeciwnikami ustanowienia w Polsce autokefalii, którzy podnosili argumenty prawne. „Tylko Ruska Cerkiew Matka może stanowić o swoje córce Cerkwi w Polsce” – pisali przeciwnicy oderwania się od Moskwy.

Tymczasem patriarcha Wszechrusi arcybiskup Tichon zgadzał się jedynie na daleko posuniętą autonomię, ale traktował polską Cerkiew jako integralną część rosyjskiej. Oficjalne zabiegi arcybiskupa Jerzego odpierał dwoma argumentami. Pierwszym były wielkie problemy, jakie przeżywała w tym czasie Cerkiew w Rosji, powodujące niemożność zwołania wielkiego synodu biskupów. Drugi argument był poważniejszy. Na przeszkodzie stała jedna z zasad zapisanych w cerkiewnym prawie kanonicznym: nowy Kościół może powstać tylko na terenach zamieszkałych przez jeden naród, który żyje w tradycji prawosławnej i chwali Boga w obrządku wschodnim. Tymczasem wyznawcy prawosławia z terenów Rzeczypospolitej należeli do jednej z kilku mniejszości wyznaniowych, mieli różne korzenie etniczne i trudno było traktować ich jak jeden naród prawosławny.

Postawa moskiewskiego patriarchy jeszcze bardziej pogłębiła podziały wśród duchownych w Polsce. Doszło nawet do tego, że kilku biskupów, przeciwników oderwania się od Cerkwi moskiewskiej, zbojkotowało zwołany przez metropolitę Jerzego synod w Ławrze Pocajowskiej.

Wobec Cerkwi bolszewickiej

Sytuacja zmieniła się w maju 1922 r., kiedy bolszewicy aresztowali patriarchę Tichona i ustanowili Komitet Cerkiewny, który przez wszystkich duchownych działających na terenach Rzeczypospolitej uznany został za niekanoniczny. Wobec tego arcybiskup Jerzy zwołał w czerwcu 1922 r. synod biskupów w Warszawie, na którym uchwalono, że „o wszystkich sprawach dotyczących Kościoła Prawosławnego w Polsce ma decydować na miejscu Sobór biskupów prawosławnych, [...] Sobór biskupów postanawia nie przyjmować żadnych rozporządzeń od powstałego w Moskwie niekanonicznego zarządu kościelnego. Sobór biskupów prawosławnych, na skutek kościelnego zamętu i rozprzężenia w Rosji, nie ma



Bp Jerzy Jaroszewski

nic przeciwko autokefalii Kościoła prawosławnego w Polsce i gotów pracować w Polsce na zasadach autokefalii”.

Dokument ten teoretycznie otwierał drogę do utworzenia Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, jednak nie było to jednolite stanowisko wszystkich działających na terenie Rzeczypospolitej biskupów. Biskupi Eleuterius i Włodzimierz nadal ostro sprzeciwiali się oderwaniu od Moskwy i na terenie swoich diecezji prowadzili aktywną działalność, która miała utrudnić powołanie autokefalii. W tej sytuacji władze polskie postanowiły niepokornych hierarchów internować. Obaj biskupi zostali zatrzymani i zmuszeni do pozostawiania w klasztorach.

Mord polityczny

Dążenia arcybiskupa Jerzego i działania władz polskich wzmogły podziały wśród prawosławnych duchownych. Przeciwnicy uniezależnienia się od patriarchatu moskiewskiego zaczęli być pozbawiani kościelnych funkcji. Metropolita Jerzy wykorzystywał każdy pretekst, który pozwalał osłabić przeciwników. Tak było z archimandrytą Smaragdem.

Naprawdę nazywał się Paweł Łatyzenkow. Pochodził z rodziny duchownego. Wyróżniał się już w czasie studiów w wileńskim seminarium. Był pilny, pobożny i bardzo ambitny. Naukę ukończył z najwyższą lokatą i szybko piął się po

szczeblach kościelnej hierarchii. Jego dokonania zostały zauważone nawet w Moskwie. Szybko stał się ulubieńcem patriarchy Tichona.

Smaragd od samego początku był przeciwnikiem powołania na ziemiach polskich Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego. Nie krył swoich poglądów i stał się jednym z głównych przeciwników arcybiskupa Jerzego. Jawnie zarzucał mu ślepe realizowanie polityki państwa polskiego, co miało jego zdaniem doprowadzić do zmarginalizowania roli prawosławia i dyskryminowania wyznawców tej konfesji.

W odwecie arcybiskup Jerzy zawiesił go w pełnieniu kościelnych funkcji i zastopował planowane powołanie Smaragda na biskupa diecezji słuckiej i powierzenie mu obowiązków sufragana grodzieńskiego. Jako pretekst posłużyło to, że Smaragd na dłużej opuścił swoją diecezję. Oficjalnym powodem nieobecności miała być choroba ojca, ale metropolita Jerzy doskonale wiedział, że czas ten jego przeciwnik wykorzystał na budowanie opozycji wobec metropolity warszawskiego i jednoczenie przeciwników autokefalii. Pozycja Smaragda została zachwiana, a on sam odcięty od dostępu do kościelnej kasy, co uniemożliwiało mu skuteczne działanie. Poczut się rozgoryczony. Po wielu miesiącach próśb uzyskał zgodę na spotkanie z metropolitą. Uznał, że musi go wyeliminować.

W czasie procesu zeznał, że zamordowanie arcybiskupa starannie zaplanował. Wcześniej kupił rewolwer i poświęcił sporo czasu, żeby nauczyć się strzelać. Utrzymywał, że zabicie hierarchy było jedynym sposobem, żeby uratować prawosławie przed rozbiciem. Jako prawowierny syn Cerkwi nie miał innego wyjścia.

Smaragd stanął przed polskim sądem oskarżony o zabójstwo dostojnika państwowego. Groziła mu kara śmierci. Jeszcze przed rozpoczęciem procesu władze kościelne wykluczyły go ze stanu duchownego. Odpowiadał jako osoba świecka. Dzięki zręcznej obronie ocalił głowę. Został skazany na 12 lat więzienia.

Niewiele ponad rok później następca metropolity Jerzego, arcybiskup Dionizy, doprowadził do powołania Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego dzięki zgodzie patriarchy Konstantynopola. Wieści o tym dotarły do Smaragda w więzieniu na Mokotowie, gdzie odsiedział cały wyrok. ■

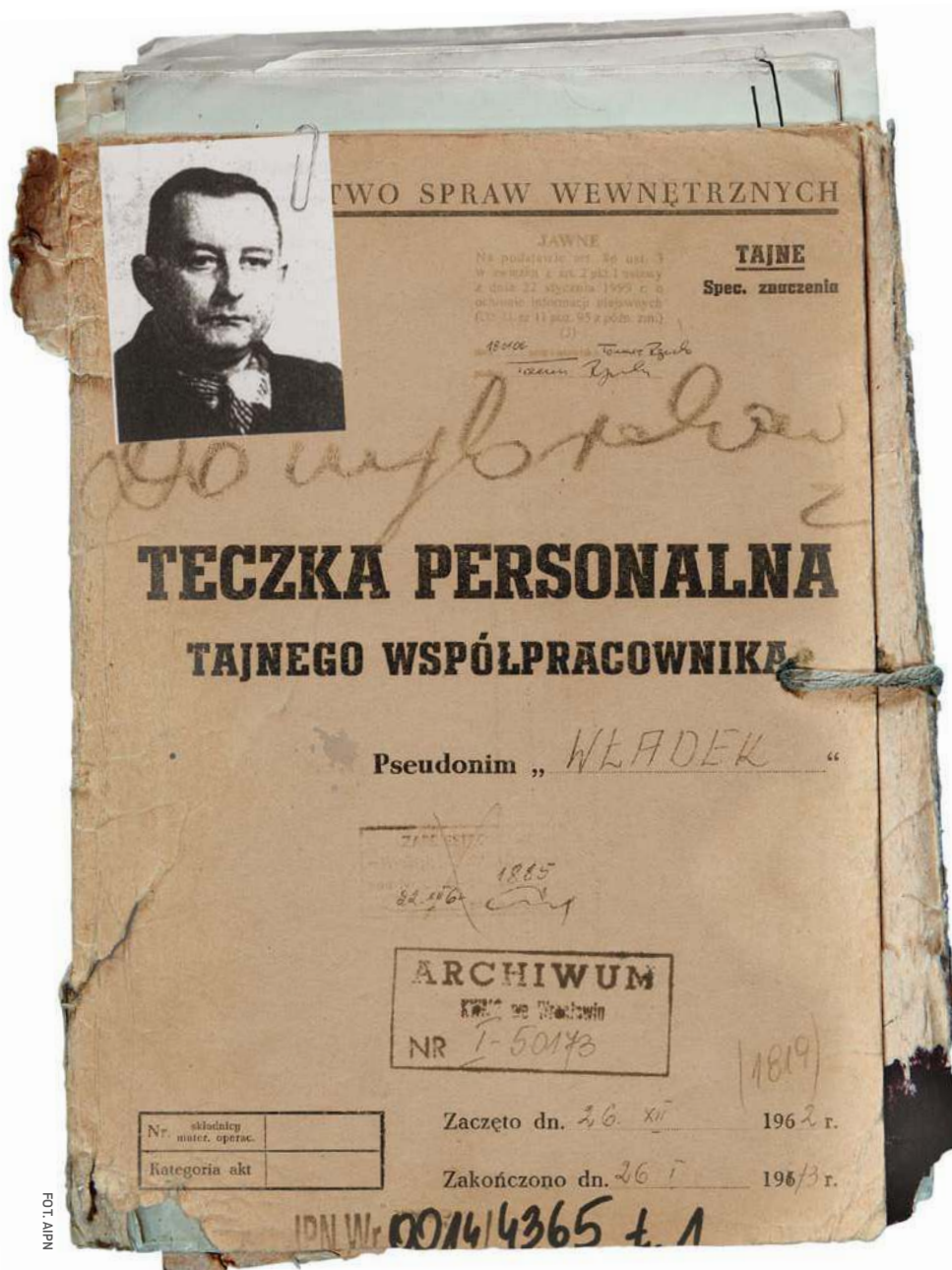
ZDRAJCA CZY OFIARA?

KSIĄDZ ROMAN GRADOLEWSKI, DUSZPASTERZ KRAJU WARTY

W 1949 r. WŁADZE KOMUNISTYCZNE
PRZYSTĄPIŁY DO KOLEJNEJ FAZY
WALKI Z KOŚCIOŁEM KATOLICKIM



SEBASTIAN
LIGARSKI



Do szkalowania Kościoła wykorzystano list papieża Piusa XII do biskupów niemieckich, cud lubelski oraz dekret Świętego Oficjum o ekskomunice członków partii komunistycznych. Prosowiecka propaganda dążyła do wytworzenia w społeczeństwie przekonania, że Kościół za wszelką cenę stara się destabilizować sytuację w kraju, a jego postawa daleka jest od patriotyzmu i posłuszeństwa wobec władz państwowych. Źródła takiego postępowania duchowieństwa według komunistów znajdowały się w jego działalności w czasie okupacji hitlerowskiej. W całym kraju mnożyły się akty terroru przeciwko księżom, w prasie trwała nieustanna nagonka na wyższych rangą hierarchów Kościoła, a przed sądami wojskowymi (!) oraz powszechnymi stawali kolejni duchowni oskarżani o zdradę i przynależność do tzw. reakcyjnego podziemia.

Bezwzględna ofensywa

W tej „ofensywie” przeciw Kościołowi (gdyby użyć sformułowania Julii Brystygier, głównego „architekta” państwowej walki z Kościołem) sięgano po różne środki deprecjonowania duchowieństwa wśród społeczeństwa, w tym oskarżania jego członków o kolaborację z okupantem niemieckim. Przypadek ks. Romana Gradolewskiego nie był odosobniony, lecz warto zauważyć, jak dokładnie został wpisany w toczącą się w tym okresie walkę o „rząd dusz” w powojennej Polsce.

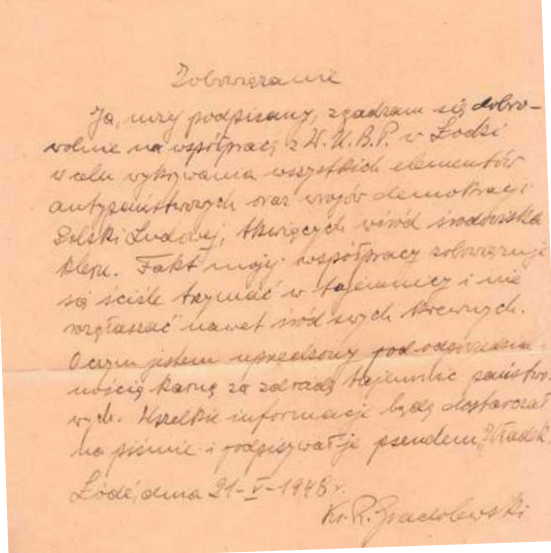
Ks. Roman Gradolewski urodził się 13 maja 1907 r. w Stargardzie Szczecińskim. >>

» Po ukończeniu miejscowego gimnazjum postanowił resztę życia poświęcić Bogu. Wstąpił do łódzkiego Seminarium Duchownego, by 30 sierpnia 1931 r. otrzymać święcenia kapłańskie. Pierwszą placówkę otrzymał od bp. Kazimierza Tymienieckiego. Polecił on młodemu duchownemu zorganizować nową parafię w Ksawerowie. Jednocześnie pełnił funkcję prefekta szkół średnich w Łodzi. Zamieszkał przy kaplicy sióstr Miłości Bożej w Pabianicach. Wybór biskupa nie był przypadkowy, gdyż ks. Gradolewski płynnie mówił po niemiecku. W związku z tym nadawał się na opiekuna niemieckich katolików, którzy gremialnie przechodzili na protestantyzm. W dowód uznania dla swoich poczynąń w Ksawerowie młody duchowny został przeniesiony do Łodzi na wikariusza parafii św. Krzyża. Z powierzonej mu funkcji wywiązał się należycie, zdobywając zaufanie miejscowych władz municypalnych, w trudnym okresie coraz większych napięć pomiędzy Polską a Niemcami.

Po wybuchu wojny został tajnym łącznikiem ks. bp. Włodzimierza Jasińskiego z władzami kościelnymi. Równocześnie nadal administrował parafią. Na życzenie ordynariusza wyjeżdżał do Berlina, gdzie spotykał się z nuncjuszem apostolskim przy Rzeszy, arcybiskupem Cesare Orsenigo, którego informował o złym położeniu katolików w Kraju Warty. Równocześnie postanowił pomagać Polakom – założył dla nich dom noclegowy i kuchnię dla najbiedniejszych, która przetrwała do listopada 1941 r. Specjalną opieką otoczył rannych żołnierzy polskich, u których bywał prawie codziennie. Zastąpił z ratowania księży aresztowanych przez gestapo oraz ruchomości kościelnych.

Pomówienia i proces

Po zakończeniu wojny pozostał w kościele św. Krzyża. Na podstawie donosu dwóch księży został aresztowany 16 lutego 1945 r. i umieszczony w areszcie śledczym. Śledztwo prowadzone przez prokuratora Specjalnego Sądu Karnego toczyło się z oskarżenia przewidzianego przepisami dekretu z 31 sierpnia 1944 r. o zdradę i kolaborację z okupantem hitlerowskim. Zwolniony z aresztu 16 sierpnia 1945 r., na czas dalszych czynności, został umieszczony w Obozie Pracy w Sikawie (pracując w Wojskowych Zakładach Motoryzacyj-



Zobowiązanie ks. Romana Gradolewskiego do współpracy z UB w Łodzi jako TW „Władek” z 21 maja 1948 r.

nych w Łodzi). Równocześnie wystąpił z prośbą o oczyszczenie go z zarzutów do Sądu Okręgowego w Łodzi. Śledztwo z dekretu sierpniowego zostało umorzone decyzją prokuratora Sądu Okręgowego w Łodzi z 21 października 1947 r.

Zwolnienie ks. Romana Gradolewskiego nastąpiło 2 czerwca 1948 r. w wyniku podpisania przez niego zobowiązania do współpracy z UB w Łodzi. Trzyletni pobyt w obozie oraz brak reakcji łódzkiej kurii na jego los przeważały i dały impuls do podjęcia tejsze 21 maja 1948 r., za cenę wolności. O takim ciągu zdarzeń świadczył krótki czas, jaki upłynął od podpisania tego dokumentu do wyjścia na wolność. Z zachowanej dokumentacji nie wynika, czy duchowny wykazał jakąś aktywność na tym polu. Dla UB podpisanie zobowiązania do współpracy („na materiałach kompromitujących”, jak zapisano, czyli ze względu na rzekome kolaborowanie z Niemcami) wystarczyło, by mieć duchownego w garści, jeśli nawet nie w tym konkretnym momencie, to w przyszłości. Do współpracy zwerbował go kpt. Wiktor Muszyński, naczelnik Wydziału V WUBP w Łodzi. Duchowny podpisał własnoręcznie zobowiązanie. Według niego miał za zadanie wykrywać wszystkie elementy antypaństwowe i wrogów Polski Ludowej „tkwiących wśród środowiska kleru”. Informacje miał przekazywać na piśmie i podpisywać je pseudonimem „Władek”. Po wyjściu z miejsca odosobnienia kapłan musiał się stawić w kurii, aby wyjaśnić swój status. Jak wyglądało to spotkanie i co czuł Gradolewski, przekraczając próg kurii, trudno dziś wyrokować. Można do-

mniemywać, że były to żal, rozgoryczenie, złość, ból, pomieszane z ulgą, że to koniec gehenny, radością z uratowania życia i możliwością dalszej posługi kapłańskiej. Niemniej ks. Gradolewski nie chciał pozostać w Łodzi. Podjął starania o wyjazd z miasta. Nie wrócił też do parafii Podwyższenia św. Krzyża, lecz pełnił posługę kapłana łódzkich szpitali.

Dekret nominacyjny, wystawiony przez administratora apostolskiego we Wrocławiu ks. Karola Milika, ustanawiający ks. R. Gradolewskiego wikariuszem substytutem parafii św. Katarzyny w Bierutowie, pochodził z 31 sierpnia 1948 r. Nowy administrator parafii włączył się z zapałem w życie nowej placówki oraz aktywnie uczestniczył w życiu pobliskiej szkoły podstawowej, prowadząc w niej lekcje religii. Niedługo przyszło mu się cieszyć wolnością. Od początku znalazł się pod „troskliwą opieką” lokalnych służb specjalnych. Świadczą o tym raporty tajnych współpracowników Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Oleśnicy, jak ten z 28 grudnia 1948 r. napisany przez TW ps. Swój, dotyczący inwigilacji księdza i jego najbliższego otoczenia.

Powtórne aresztowanie ks. R. Gradolewskiego nastąpiło 5 lutego 1949 r. Wcześniej przez 2–3 dni znajdował się pod ciągłą obserwacją funkcjonariuszy UB. Znamy dokładny przebieg zatrzymania duchownego z relacji pracowników wrocławskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Aresztowania dokonał p.o. kierownik Sekcji V Wydziału V WUBP we Wrocławiu por. Jerzy Felczer wraz z funkcjonariuszami Władysławem Miskowcem oraz Edwardem Marciniakiem. Jako świadek uczestniczył w nim komendant posterunku MO Mieczysław Derewisz (Derewicz?) oraz dwóch funkcjonariuszy UB z Oleśnicy. Po przeprowadzeniu rewizji u ks. R. Gradolewskiego wywieziono go do Wrocławia i umieszczono w więzieniu nr 2. Następnie funkcjonariusze wrocławskiego UB dokonali kradzieży pieniędzy należących do księdza i nakazali mu podpisać nowy protokół rzeczy zdanych do depozytu. Dokonując kradzieży, nie mieli skrupułów, gdyż, jak mówili: „Ks. Gradolewski i tak otrzyma wyrok śmierci”.

Śledztwo prowadził Wydział Śledczy WUBP we Wrocławiu do czasu przekazania akt sprawy do prokuratury Sądu Okręgowego w Warszawie.

Akt oskarżenia sporządzony przez Mirosława Kuleszę zarzucał ks. R. Gradolewskiemu (oraz współoskarżonemu o. Jackowi Alojzemu Hoszyckiemu z Łagiewnik) przestępstwo określone w art. 1 p. 2 dekretu sierpniowego z 31 sierpnia 1944 r. oraz z art. 1 § 1 dekretu z 28 czerwca 1946 r. o odstępie od narodowości polskiej w czasie wojny 1939–1945. Oskarżyciel (W. Kulesza) dowodził, że ks. R. Gradolewski był sympatykiem faszystowskich Niemiec, współpracownikiem gestapo, duchownym wykorzystującym stanowisko do działań na szkodę społeczeństwa polskiego. W akcie znalazło się także oskarżenie pod adresem najwyższych władz kościelnych o to, że „były poinformowane o przyjęciu przez nich niemieckiej listy narodowej, a także o ich bliskich kontaktach z gestapo, ks. Gradolewski został ostrzeżony przez władze kościelne o grożącym mu aresztowaniu, a następnie w okresie późniejszym obaj wymienieni księża zostali skierowani do pracy duszpasterskiej na Ziemię Odzyskane i pełnili obowiązki swego stanu...”.

Proces rozpoczął się 6 września 1949 r. Akt oskarżenia trafił do Sądu Apelacyjnego w Łodzi (pełnił funkcję I instancji w tego typu sprawach) 30 sierpnia 1949 r. składowi sędziowskiemu przewodniczył sędzia Włodzimierz Błochowicz. Ławnikami byli Jan Sobczyński i Stanisław Włodawski. Sąd wyznaczył obu oskarżonym obrońców z urzędu, R. Gradolewskiemu – Wacława Walkiewicza.

Bezkarność propagandy

Proces toczył się przy dużym zainteresowaniu opinii publicznej. Relacje z jego przebiegu zamieszczały największe dzienniki tego okresu („Trybuna Ludu”, „Rzeczpospolita”, „Życie Warszawy”, „Dziennik Łódzki”, „Słowo Polskie”, „Gazeta Robotnicza”), w tym prasa emigracyjna („Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza”). Tytuły prasy krajowej kipiły od epitetów pod adresem obu oskarżonych, z góry przesądzając ich winę. Wykładnię, kogo oskarżano w tym procesie, dał „Dziennik Łódzki” w komentarzu z 10 września 1949 r. piórem dziennikarza ukrywającego się pod inicjałami K.G.: „Proces dzisiejszy stanowić powinien memento właśnie dla reakcyjnej części polskiego duchowieństwa. Oto w związku z ostatnimi posunięciami politycznymi Watykanu w stosunku do Polski staje przed nim zagadnienie: patriotyzm czy kosmopolityzm, z narodem czy przeciw narodowi. Do jakiego stopnia upadku

prowadzi droga zaprzaństwa, dowodzi postępowanie okupacyjne księży Gradolewskiego i Hoszyckiego. A kto wszedł na tę drogę, temu zawrócić trudno”.

Ks. Gradolewski podczas procesu udzielał wyjaśnień logicznie, trzymając się swojej wersji wydarzeń. Osią jego obrony byłymisja wykonywana na zlecenie bp. W. Jasińskiego i poczucie chrześcijańskiego obowiązku polegającego na posłudze katolikom obu narodowości. Nie zaprzeczał faktom, starając się jednak wyjaśnić sytuację, ukazując taktykę działania Kościoła wobec okupanta. W ten sposób starał się dowieść swojej niewinności. Jego działania z góry były jednak skazane na porażkę. Zgłaszane przez obrońcę wnioski o powołanie kolejnych świadków były systematycznie odrzucane. Zachowywał się listy, jakie do Sądu Apelacyjnego kierowały osoby chcące zeznawać na korzyść oskarżonych (podkreślając ich zasługi dla ratowania Polaków przed okupantem). Świadkowie podczas rozprawy głównej wielokrotnie wspominali o zasługach obu oskarżonych dla podtrzymania katolicyzmu w Kraju Warty. W przypadku ks. Gradolewskiego wskazywali na jego działania chroniące Polaków przed wywozem na roboty w głąb Rzeszy oraz ukrywanie osób narodowości żydowskiej i polskiej. Dla sędziego W. Błochowicza opisywane dokumenty i zeznania nie miały znaczenia. Stanowiły za to dowód „dwulicowości i perfidii” działania obu oskarżonych, za co należał się najwyższy wymiar kary.

Obaj oskarżeni zostali uznani winnymi zarzucanych im czynów z art. 1 p. 2 dekretu sierpniowego oraz art. 1 § 1 dekretu czerwcowego i zostali skazani łącznie na karę śmierci oraz przepadek mienia na zawsze. W uzasadnieniu wyroku sędzia W. Błochowicz dowodził, że „obaj oskarżeni ze względów oportunistycznych poszli na usługi okupanta, że jako księża powinni świecić przykładem dla innych, gdy tymczasem wykorzystując sutannę i zaufanie ludności polskiej [sic!] działali na szkodę Polaków, że w tym czasie, kiedy patriotyczna część kleru ginęła lub męczyła się w obozach koncentracyjnych z godnością i poświęceniem, obaj oskarżeni przeszli na stronę wroga, pomagając mu w tępieniu współbraci. Sąd wziął pod uwagę ponadto [...], że obaj oskarżeni to ludzie inteligentni i [o] dużym wyrobieniu obywatelskim, że są to przestępcy niebezpieczni...”. Na wykonanie kary śmierci ks. R. Gradolewski oczekiwał w łódzkim więzieniu przy ul. Sztetlinga.

Śmierć czy łaska kata?

Zaraz po uzyskaniu odpisu wyroku obrońca rozpoczął starania o rewizję wyroku w Sądzie Najwyższym. Rozprawa rewizyjna przed nim odbyła się 27 stycznia 1950 r. W większości postulatów rewizyjnych obu oskarżonych zostały odrzucone. Sąd Najwyższy dowodził, że „Stanowisko wyższych władz kościelnych w stosunku do hitleryzmu mogło mieć wpływ na oskarżonych, którzy są księżmi katolickimi chowanymi w posłuszeństwie dla władz kościelnych. Nie mieli oni zachęty od tych władz do walki z hitleryzmem, mieli wprost odwrotnie przykłady prohitlerowskiego postępowania swych wyższych i najwyższych władz oraz zacieklego zwalczania Z.S.R.R. co samo przez się szło i idzie na korzyść faszyzmu-hitleryzmu, anglosaskiego imperializmu i podżegaczy wojennych i odwetowców niemieckich”. A zatem: „W tym stanowisku wyższego kleru katolickiego Sąd Najwyższy widzi również szczególne okoliczności łagodzące dla obu oskarżonych w sprawie niniejszej i zamiast kary śmierci, wymierzonej każdemu z oskarżonych za czyny przewidziane w art. 1 p. 2 dekretu z dn. 31.VIII 1944 Sąd Najwyższy wymierzył karę 12 lat pozbawienia wolności dla ks. Romana Gradolewskiego...”.

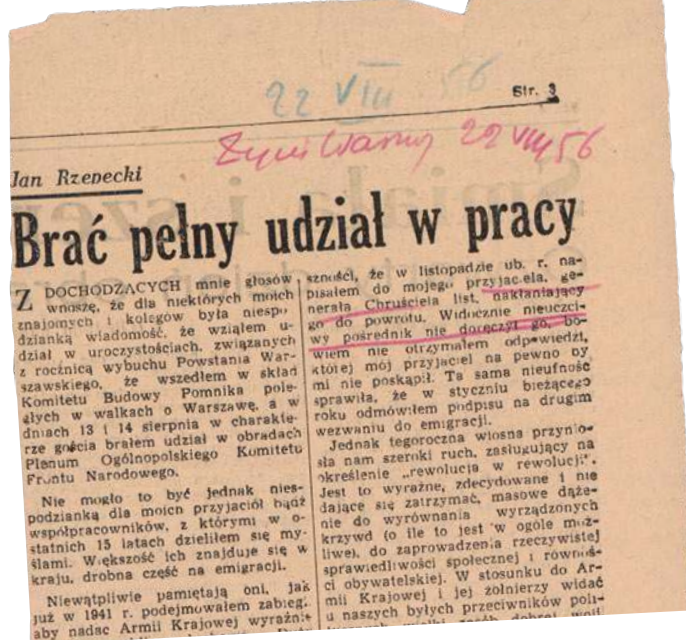
Ks. Roman Gradolewski trafił do więzień w Sieradzu i Sztumie. Kolejne podania o ułaskawienie, zaliczenie okresu śledztwa i wliczenie go w poczet odbywania kary, prośby o uniewinnienie zostały przez sąd i prezydenta Bieruta odrzucone.

Wyjście z więzienia w 1955 r. było warunkowane przemianami zmierzającymi do łagodzenia stalinizmu w kraju. Ks. Gradolewski opuścił więzienie w Sztumie w październiku 1955 r. 19 października 1955 r. otrzymał 14-dniowy urlop z Kurii Arcybiskupiej we Wrocławiu i wyjechał do Polanicy-Zdroju. 22 października poprosił o przywrócenie do pracy duszpasterskiej, którą od 3 grudnia 1955 r. kontynuował w parafii Tymowa (pow. wołowski). Do Bierutowa już nie wrócił. Dalsze jego lata to postuga w Tymowej oraz uwikłanie we współpracę z SB. Ale to już inna historia...

Kapłan zmarł w 4 lutego 1995 r., 46 lat po aresztowaniu w Bierutowie, historia jego życia do dziś budzi zaciekawienie...

Autor jest pracownikiem OBBH IPN w Szczecinie; autorem książki „Między dwoma totalitaryzmami. Ksiądz Roman Gradolewski i ojciec Jacek Hoszycki: zyciorysy niedopowiedziane”, Warszawa 2016

POWRÓT „MONTERA” DO KRAJU



NIEWIELE ZABRAKŁO, ABY PO PAŹDZIERNIKOWEJ ODWILŻY
LEGENDARNY „MONTER” – ANTONI CHRUŚCIEL, KOMENDANT
OKRĘGU WARSZAWSKIEGO ZWZ-AK I DOWÓDCA POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO, POWRÓCIŁ DO KOMUNISTYCZNEJ POLSKI



**MARIUSZ
OLCZAK**

Zainspirował ten powrót i miał w nim pomóc inny wysoki rangą oficer Armii Krajowej, szef Oddziału VI KG AK płk Jan Rzepecki, który w okresie konspiracji blisko współpracował z Chruścieniem pełniącym komendę nad najważniejszym warszawskim okręgiem AK. Wspólna podziemna walka, codzienne niebezpieczeństwa, wymiany meldunków, wreszcie okres powstania warszawskiego zbliżyły ich na tyle, że darzyli się zaufaniem. Chruściel z Rzepeckim po raz ostatni spotkali się i rozmawiali 4 października 1944 r., czyli dzień przed pójściem do niewoli, i od tego momentu nie mieli już z sobą kontaktu. Cokolwiek tylko znali swoje losy z prasy i informacji dochodzących od kolegów z AK. Rzepecki pozostał w Polsce, Chruściel zaś po wyjściu z niewoli – w Londynie.

Emigracyjna tułaczka

Początkowo po odbyciu latem 1945 r. stażów trafił na stanowisko zastępcy szefa

Sztabu Naczelnego Wodza, a potem Sztabu Głównego. We wrześniu 1945 r. skierowano go na stanowisko zastępcy Inspektora Generalnego Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia, na którym pozostał do jesieni 1947 r. Odwiedził na tym stanowisku Włochy, Ziemię Świętą i Egipt. Dwukrotnie był później po dwa miesiące w Nowym Jorku. Nauczył się języka angielskiego w mowie i piśmie, co nieczęsto się zdarzało u polskich oficerów przebywających za granicą. W tym czasie „Monter” znalazł się wśród 75 oficerów PSZ pozbawionych polskiego obywatelstwa uchwałą Rady Ministrów z 26 września 1946 r. Ale także ze strony byłych przełożonych i współpracowników z AK spotkały go nieprzyjemności. Chruściel został w Londynie zmarginalizowany przez „Bora” i jego środowisko, przez co nie mógł odnaleźć dla siebie należnego mu miejsca. Jednocześnie jeszcze od 1945 r. plotkami oskarżano go o antysemityzm. Sam Chruściel okres pobytu w Wielkiej Brytanii ocenił: „Niedola, to tylko jeden rys charakterystyczny tego smutnego okresu”. Rzepecki był poinformowany o londyńskich „kłopotach” Chruściela i niemożności przystosowania się do zachodniego stylu życia.

Córki Chruściela Wanda i Jadwiga ukończyły PUNO – Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie. Polskie ma-

tury nie były uznawane na brytyjskich uniwersytetach. Jednocześnie pracowały w innych zawodach. Później w Stanach Zjednoczonych pracowały – młodsza w jubilerstwie, a starsza w wytwornym krawiectwie, co jak na ówczesną emigracyjną rzeczywistość było sukcesem.

Nie mogąc znaleźć sobie miejsca w Wielkiej Brytanii, Chruściel postanowił wyjechać do Stanów Zjednoczonych, w których zamieszkał od 28 czerwca 1956 r. formalnie na pobycie stałym jako imigrant. Wydał na podróż i pierwsze tygodnie pobytu bez pracy większość swoich oszczędności. Oceniał jednak Stany Zjednoczone i samych Amerykanów o wiele bardziej pozytywnie niż Anglików. Niesiony początkowym optymizmem chwalił dobrobyt i osobistą wolność, a 95 proc. ludzi uważał za szczerych i „niezatrutych jadem nienawiści do drugich jak w przypadku Brytyjczyków”. Z czasem jednak zaczął dostrzegać inne aspekty amerykańskiej rzeczywistości, obserwując m.in. losy swoich podkomendnych, np. dowódcy Obwodu Żoliborz AK Mieczysława Niedzielskiego ps. Żywieli, który wraz z żoną pracował w jednej z fabryk w Chicago. Niedzielską niespodziewanie po kilku latach pracy zwolniono bez żadnych tłumaczeń. Podobnie w Londynie bliski współpracownik Chruściela z konspiracji, szef Sztabu

Okręgu Warszawskiego AK, Stanisław Weber ps. Chirurg naprawiał zegarki w zakładzie zegarmistrzowskim, a mieszkał skromnie wraz z byłym szefem Biura Personalnego KG AK Stanisławem Juszczakiewiczem ps. Kornik. Takich przypadków było znacznie, znacznie więcej.

Przyjaciele ograniczeni kurtyną

Sam Jan Rzepecki po opuszczeniu więzienia w Wigilię 1954 r. dopiero po roku znalazł pracę w Instytucie Historii PAN i już 13 listopada 1955 r. napisał do Chruszcziła pierwszy list, w którym nakłaniał go do powrotu do Polski. Ten jednak w niejasnych do końca okolicznościach nie dotarł od razu do adresata. Nie otrzymał odpowiedzi, wspominał rok później o tym liście w „Życiu Warszawy” z 22 sierpnia 1956 r. w artykule „Brac pełny udział w pracy”: „Napisałem do mojego przyjaciela generała Chruszcziła list, nakłaniający go do powrotu. Widocznie nieuczciwy pośrednik nie doręczył go, bowiem nie otrzymałem odpowiedzi, której mój przyjaciel na pewno by mi nie poskapił”. Jak się jednak okazało, list ten poprzez mylnie podany adres dotarł na początku września do mieszkającego w Huddersfield byłego adiutanta „Montera” i szefa Kwatery Głównej Komendy Okręgu Warszawskiego Zbigniewa Rubach-Połubińskiego ps. Admirał, który zobligował się natychmiast przekazać go „Monterowi”, co nastąpiło dopiero rok po jego wysłaniu, bo 28 września 1956 r., kiedy już Chruszcził mieszkał za oceanem.

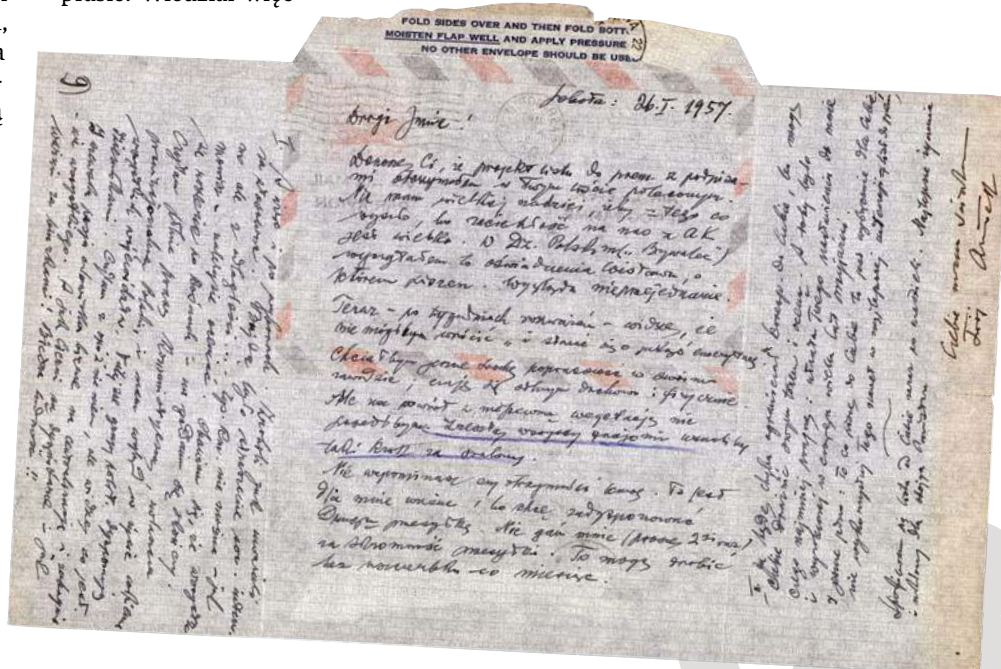
Rzepecki bezpośrednio namawiał Chruszcziła takimi słowami: „Oceniam, że najeżony przykrościami okres życia mamy już bezpowrotnie za sobą, warunki naszego życia w kraju zmieniają się zdecydowanie na korzyść i można doskonale zmieścić się w nich. Czas wracać, Stary Druhu, i resztę życia przeżyć wśród swoich przyjaciół, a nie tylko wśród najbliższej rodziny. Nie trzeba swoich kości rozrzucać po obczyźnie”. Rzepecki zapewniał, że nie ma się obawiać o „polityczne potknięcia” na obczyźnie, a jednocześnie gwarantował Chruszcziłowi pracę i nawet odzyskanie domu w Rembertowie. Deklarował również pośrednictwo w zadaniu odpowiednich pytań. Były więc to sugestie i deklaracje niezwykle daleko idące. Sam perorował: „Nie posądzaj mnie o tani optymizm i zawierz mojemu rozsądkowi”. Co ciekawe, Chru-

ściel był wcześniej w takiej sytuacji, że gdyby list Rzepeckiego dotarł do niego w marcu 1956 r., to wówczas twierdził, że byłby już w Polsce.

Tak rozpoczął się trzyletni kontakt pomiędzy zaangażowanym w zmianę ustroju, publikującym intensywnie w peerelowskiej prasie i rozbudzonego politycznie Rzepeckim a osamotnionym, pełnym oficerskiej dumy, poranionym mentalnie w Londynie i odsuniętym od głównego nurtu wydarzeń emigracyjnych Chruszcziłem. Z jednej strony posiadający kontakty z częścią elity władzy PRL i przygotowany plan działania Rzepecki, a z drugiej – pozostawiony samemu sobie i rozpaczliwie chwytający się każdej związanej z krajem nadziei Chruszcziel. Swoją frustrację względem emigracji „Monter” wyrażał w dość bezpośrednich słowach, które z pewnością w ówczesnym czasie mogły wpisywać się w oficjalną propagandę: „Gdyby się kiedy wwałił do kraju ten zespół wykształconych szumowin, jaki tu mamy wśród emigracji, byłaby też katastrofa. Niczego się nie nauczyli i nie stosują nawet »samokrytyki«, choć ta jest tylko namiastką krytyki”. Także po przeniesieniu się do Waszyngtonu nadal krytycznie spoglądał na emigrację, którą nazwał „zupełną groteską”. Słowa te pokazały, jak głęboko zostały urażone ambicje Chruszcziła i jak w związku z tym mógł się stać bardzo łatwym celem.

Informacje o wydarzeniach w Polsce jesienią 1956 r. docierały do Chruszcziła przede wszystkim dzięki amerykańskiej prasie. Wiedział więc

o podstawowych wydarzeniach, w tym o uwolnieniu 28 października 1956 r. z więzienia prymasa Stefana Wyszyńskiego. Politycznie Chruszcziel określał się w pobliżu ZSL, akceptował spośród polityków jedynie Zygmunta Zarembę. Generalnie jednak jako oficer nie miał zwyczaju angażować się w rozgrywki polityczne; stąd zresztą brało się jego osamotnienie w rozpolitykowanym Londynie. Wzmacniało to jego charakter, który, jak sam określał, „nie znosi fałszu, kręctwa, niesprawiedliwości, długich gadań”. Śledził również bieżące publikacje, które otrzymywał pocztą od swoich współpracowników. Co ciekawe, nie znał autora opublikowanej wówczas monografii powstania płk. Adama Borkiewicza: „Co w Powstaniu robił Borkiewicz? I kto to w ogóle jest. Pisze prace niby opartą na relacjach, a sam stosuje podjazd o wyraźnej tendencji”. Zarzucał również „Borowi”, że „pracę naszą przedstawia jako swoją i jest pasowanym rycerzem Warszawy – 1944 – znanym na całym świecie, przepawszys najcięższe okresy z głową okrytą 2ma kocami”. Dziwi natomiast, jak mało Chruszcziel musiał wiedzieć o tym, co tak naprawdę działo się w kraju i jak wiele zmieniło się od czasów, które pamiętał. Nadal liczył na działalność opozycji, pragnął likwidacji PGR i ich rozparcelowania, konferencji pokojowej z Niemcami i likwidacji sowieckich garnizonów na terenie Niemiec Wschodnich. Stwierdzenie, że „mnie więcej chyba zmęczyło życie w Londynie na wolności, niż Ciebie więzienie”, pokazuje całkowitą >>



» nieznajomość realiów. Innym razem w dziwny sposób pytał Rzepeckiego: „Dlaczego nie jesteś w WP? Dlaczego nie jesteś przynajmniej gen. dyw.? Jeżeli Spychalski nim jest... toż to cywil!”. Widzimy, że Chruściel nie był w stanie ocenić prawdziwej pozycji Rzepeckiego i jego umocowania w ówczesnym systemie władzy, z którą musiał ustalać szczegóły dotyczące losów Chruściela.

Podchody konsula

Już po nawiązaniu kontaktu z Rzepeckim jeszcze w listopadzie 1956 r. w Waszyngtonie odwiedził Chruściela pracownik miejscowego konsulatu PRL, który zaproponował mu amnestię, nie zaś przywrócenie obywatelstwa. Wzburzyło to rzecz jasna Chruściela, który chciał, aby mu przywrócono obywatelstwo, nie chciał zaś amnestii. Uważał się za najbardziej pokrzywdzonego z listy kilkudziesięciu oficerów, którym odebrano obywatelstwo, gdyż miał za sobą przeszłość okupacyjną. Stwierdził, że jednym z tych, którzy głosowali za odebraniem mu obywatelstwa, był Gomułka, którego praca za okupacji nie może być porównywalna ani zasięgiem, ani ilością włożonej pracy. Wiedział też o słowach Roli-Żymierskiego, który groził, że czeka go sąd za rolę, jaką miał odegrać w czasie powstania warszawskiego. Rzepecki w pewnym momencie, jeszcze w maju 1957 r., dla przyspieszenia sprawy powrotu radził Chruścielowi, aby on sam poszedł do Ambasady PRL, co spotkało się jednak ze zdecydowaną odmową, „byłoby to wbrew mojemu stanowisku, jakie zająłem od początku. Zrobiono mi największą krzywdę – muszę /powinni/ ją naprawić”. Namawiała również Chruściela do powrotu i spotkania się z „ludźmi” z konsulatu PRL znana mu z konspiracji druga żona Rzepeckiego, Irena Pronaszko-Rzepecka, która jasno deklarowała i uznawała w grudniu 1956 r. „za najbardziej istotną tezę marksistowską – »byt określa świadomość«. Chruściel mógł się z drugiej strony zorientować o bieżących poglądach wyrażanych w domu Rzepeckich, przyjmowała ona bowiem to, co dawali wówczas komuniści, nawet amnestię i inne rzeczy, które wcześniej nie mieściły się w głowie. Liczył jednak Chruściel li tylko na podstawowe kwestie: pracę, emeryturę, zwrot domu i możliwość prowadzenia jakiejś działalności. Z kontaktów ze Stanisławem Jan-kowskim ps. Agaton i Aleksandrem Ka-

mińskim ps. Hubert wiedział, że zarówno sprawa pracy, jak i mieszkania nie będą dla niego najprostszą rzeczą do załatwienia, o ile nikt na miejscu mu w tym nie pomoże. Nie wyobrażał sobie sytuacji, że po powrocie musiałby być wraz z rodziną bezrobotny, czego już przecież doświadczył podczas pobytu w Wielkiej Brytanii. Chruściel brał też pod uwagę osiedlenie się w Lublinie, we Wrocławiu lub w Łodzi. W Waszyngtonie z jego ówczesnych zarobków aż 46 proc. wydawał na mieszkanie, 45 proc. zaś na utrzymanie, co de facto było wegetacją. Dlatego badał Rzepeckiego, czy może podjąć pracę w tym samym miejscu co on. W każdym razie Chruściel nie liczył na jakąś wyjątkową, dobrze płatną pracę. Z jednej strony był przyzwyczajony na emigracji do skromnego życia, a z drugiej – „nigdy nie miał skłonności do »lepszego« życia”. Zresztą zakładał również staranie się po prostu o emeryturę, choć wołał z uwagi na dobre samopoczucie psychiczne i zdrowie fizyczne pracować dalej.

Jeszcze przed styczniowymi wyborami sprawę Chruściela poruszyli w liście z 31 grudnia 1956 r. skierowanym do premiera PRL Józefa Cyrankiewicza oficerowie i żołnierze Armii Krajowej, którzy pisali: „Generał Monter chce wrócić do kraju. Chce się dołączyć do głównej kolumny marszowej, idącej ku lepszej przyszłości. Nie poczuwa się do żadnych przewinień wobec Polski Ludowej. [...] Jesteśmy przekonani, że najwyższy już czas, aby gen. Monter – który nie jest posągiem na emeryturze, ale człowiekiem o wielkich walorach żołnierskich, obywatelskich i demokratycznych – wrócił wreszcie do kraju i krajowi oddał swe usługi, swe imię, swe doświadczenie i swą tradycję długoletniej walki z Niemcami hitlerowskimi”. List ten podpisali m.in. Władysław Bartoszewski, Ludwik Bittner, Wojciech Borzobohaty, Anna Borkiewicz-Celińska, Adam Borkiewicz, Aleksander Gieysztor, Jan Gorazdowski, R. Jamontt-Krzywicki, Stanisław Jankowski, Aleksander Kamiński, Zygmunt Kapitaniak, Stanisław Karolkiewicz, Zygmunt Marszewski, Kazimierz Moczarski, Stanisław Płoski, Anna Rószkiewicz-Litwinowicz, Jerzy Rutkowski, Józef Rybicki, Jan Rzepecki, Antoni Sanojca, Tadeusz Sztumberg-Rychter, Michał Wojewódzki, Jan Zientarski, Zygmunt Ziółek. Zabrakło jednak podpisów Jana Mazurkiewicza i Kazimierza Pluty-Czachowskiego, co też zresztą zauważył później Chruściel. Ten na pewno mocny

apel, który mógł wlać w Chruściela nieco optymizmu, ochłodziło wygłoszone kilka dni później przemówienie Władysława Gomułki, w którym krytykował on i kierował zarzuty w stronę przebywających na emigracji oficerów. Sam Rzepecki, nie czekając na reakcję Chruściela, już dzień po wystąpieniu Gomułki napisał osobisty list do Cyrankiewicza, prosząc o zmianę nastawienia władz do „Montera”: „Usilnie proszę Pana o spowodowanie zmiany stosunku władz do osoby Chruściela, któremu dzieje się wielka krzywda”.

Już jednak w lutym 1957 r. stało się jasne, że żadnej odpowiedzi ze strony władz PRL nie będzie. Nie dotarł również z wizytą kolejny zapowiadany pracownik ambasady PRL. Mimo jednak braku jakiegokolwiek odpowiedzi Chruściel pod koniec marca 1957 r. nadal był zdecydowany na powrót, a jego postanowienie wzmacniały przykrości i utrudnienia, jakich doznał w tym okresie zapewne od władz amerykańskich po listopadowej wizycie pracownika ambasady PRL. Chruściel spoglądał na Amerykę z czasem coraz bardziej krytycznie, i to zarówno w odniesieniu do polskiej emigracji, jak i samych warunków życia. Już wówczas dostrzegał, jak oceniał, negatywną rolę społeczności murzyńskiej, której zarzucał redukcowanie amerykańskiej kultury i zdobyczy cywilizacyjnych. Przepowiadał, że będzie ona w przyszłości przyczyną problemów socjalnych Ameryki. Podobnie krytycznie Chruściel wypowiadał się o reprezentującym „Bora” w Ameryce Andrzeju Pomianie i środowisku NiDu.

List do Gomułki

Wiosną i latem 1957 r. Rzepecki nadal namawiał Chruściela do skierowania próśb do władz, na co jednak ten nie był zdecydowany. Sam Rzepecki latem 1957 r. nie był pewien Chruściela co do jego poglądów i czy po powrocie nie chciałby jednak odgrywać jakiejś roli. To skłaniało do czekania na rozwój wydarzeń w kraju. Wobec braku konkretnych informacji Chruściel w czerwcu 1957 r. wręcz proponował przerwanie korespondencji i jej wznowienie w momencie pojawienia się konkretnych informacji. Sytuację miały jednak zmienić osobiste listy.

Jeszcze 12 lutego 1957 r. Chruściel zdecydował się na napisanie listu do Władysława Gomułki, który jednak dostarczył Rzepeckiemu dopiero we wrześniu 1957 r. Pisał w nim:

FOT. AAN

Oficer z wygnania
14.18.1917

„Ami, który przyszedł”

Otrzymałem list z 3 września. Przesłałem list do „ile”, damo pień nieprawy, ale nie sąpłany. Wole to „instytucje” niż resorty ministerstwa, który w 1946 r. – imię nie znamy. Na Francuzów – uciekał mi kusi.

Antoni

Na korespondencję. O. Władysław Gomułka
Warszawa

p.g.

Warszawa.
Antoni Chruściel
2041. Park Road, NW
Washington - D.C. - USA

12. luty 1957

(16)

Obywatel Władysław Gomułka
Warszawa

Zwracam się do Was nie dlatego, że jesteście dziś na czele Kraju, lecz dlatego, iż mamy jednakowe poglądy na sprawy zagraniczne Polski, a w odniesieniu do wewnętrznych stosunków Kraju – choć odmienne, to przecież mamy wspólne podejście do godności i praw człowieka, zwłaszcza człowieka uczciwego i pracującego dla dobra społeczności.

Czuję się za granicą obco i mogę to stwierdzić po 11-letnim pobycie na wygnaniu w Anglii, a teraz od 9 mies. w USA. Nie pasuję do emigracji. Cóż jednak poradzę, gdy wrócić nie mogę, bo w 1946 r. odebrano mi niesłusznie obywatelstwo, a wśród głoszących za tym było i Wasze nazwisko, Obywatelu Wiesławie, nazwisko dobrego patrioty, który zagospodarował Ziemię Odzyskane. Naprawcie mą krzywdę, którą od 10 lat głęboko odczuwam; nawet największemu zbrodniarzowi wyrok sądowy często nie odbiera praw obywatelskich, a ja zaliczam się /i inni są tego zdania/ do rzędu najlepszych synów Rzeczypospolitej.

„Obywatel Władysław Gomułka Warszawa

Po twardej drodze życia los prowadził mnie od dziecka i to – przy pewnych zadatkach wrodzonych – ukształtowało mój charakter. Jesteśmy do siebie podobni pod tym względem.

Z szacunkiem
Antoni Chruściel (Monter)”

Chcąc niejako przyspieszyć sprawę, Chruściel napisał również 17 września 1957 r. list do Mariana Spychalskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, który przekazał Rzepeckiemu do swobodnego użycia. Dziwił się jednak, że ani poprzednie listy do Józefa Cyrankiewicza, ani interwencja u Czesława Wycecha nie przyniosły żadnego skutku. Efektem tego był list z 25 września 1957 r. Rzepeckiego do Mariana Spychalskiego, ówczesnego ministra obrony narodowej, w którym wzmacniał prośbę Chruściela, dowodząc, „że bardzo zależy mu na powrocie” i wręcz

proponując, aby „Monter” podjął pracę w szkołach wojskowych jako nauczyciel języków angielskiego i niemieckiego.

Także na te listy brak było odpowiedzi, a dalsze kontakty Rzepeckiego z Chruścielem były coraz rzadsze, a i tematyka dyskusji dotyczyła przede wszystkim spraw historycznych oraz prywatnych. W grudniu 1957 r. spotkał Chruściela kolejny cios, gdyż przez Andrzeja Pomiana dostał informację o wystawieniu jego domu w Rembertowie na sprzedaż, co w perspektywie rozmów, pism i planów związanych z powrotem stawiało

11-letnim pobycie na wygnaniu w Anglii, a teraz od 9 mies. w USA. Nie pasuję do emigracji. Cóż jednak poradzę, gdy wrócić nie mogę, bo w 1946 r. odebrano mi niesłusznie obywatelstwo, a wśród głoszących za tym było i Wasze nazwisko, Obywatelu Wiesławie, nazwisko dobrego patrioty, który zagospodarował Ziemię Odzyskane. Naprawcie mą krzywdę, którą od 10 lat głęboko odczuwam; nawet największemu zbrodniarzowi wyrok sądowy często nie odbiera praw obywatelskich, a ja zaliczam się /i inni są tego zdania/ do rzędu najlepszych synów Rzeczypospolitej.

Po twardej drodze życia los prowadził mnie od dziecka i to – przy pewnych zadatkach wrodzonych – ukształtowało mój charakter. Jesteśmy do siebie podobni pod tym względem.

Z szacunkiem
Antoni Chruściel (Monter)

Chruściela w niezręcznej sytuacji. Coraz bardziej zdawał sobie sprawę ze swojego położenia, co miało wpływ na jego zdrowie. W marcu 1958 r. rzucił nawet pomysł krótkiej wyprawy do Polski w celu osobistego załatwienia swoich spraw, w tym kwestii domu. Nie wiedział jednak, czy zostanie w ogóle wpuszczony do Polski. Już w czerwcu 1958 r. wiedział, że nie ma domu w Rembertowie i nic w tej sprawie nie jest w stanie mu pomóc. Gorzko też oceniał szanse powrotu, pisząc: „Ludzie trzymający władzę w rękę są bezwzględni. A ja byłem optymistą...”. Praktycznie zawiesił w tej sprawie rozmowy z Rzepeckim, pisząc jednoznacznie: „Nic już więcej nie róbcie, bo to mnie raczej poniża w opinii ludzi uczciwych. Poniża i ośmiesza. To, co z Twej porady zrobiłem, wystarczyło do załatwienia, gdyby chciano załatwić”.

Sama korespondencja między Rzepeckim a Chruścielem urwała się we wrześniu 1959 r. Do powrotu podupadającego na zdrowiu Chruściela nie doszło. Zmarł na atak serca w Waszyngtonie, jadąc autobusem rok później 30 listopada 1960 r. Pochowano go na waszyngtońskim cmentarzu Mount Olivet 2 grudnia 1960 r. Dopiero w 2004 r. urnę z prochami „Montera” i jego żony przeniesiono do Polski i uroczystie pochowano na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach.

Autor jest zastępcą dyrektora
Archiwum Akt Nowych



MONTE CASSINO 75 LAT TEMU

OD STAROŻYTNOŚCI JUŻ KAŻDA ARMIA MASZERUJĄCA NA RZYM OD POŁUDNIA MUSIAŁA MINĄĆ PASMO GÓRSKIE ZE SZCZYTEM MONTE CASSINO. SZCZYT TEN BYŁ ZATEM KLUCZEM DO SERCA ITALII



**MICHAŁ
KARPOWICZ**

Nie inaczej było w trakcie II wojny światowej. Niemcy bardzo starannie przygotowywali tam dwie linie obrony najeżone betonowymi bunkrami i polami minowymi. Nazwano je linią Gustawa i linią Hitlera. Z niemieckich pozycji można było niezwykle skutecznie udaremnić ogniem każdą próbę przedarcia się na północ.

Wojska alianckie po wylądowaniu w końcu 1943 r. w Kalabrii i na Sycylii ruszyły na Rzym. Pierwszy atak na niemieckie umocnienia przypuszczono

w styczniu 1944 r. i od tego czasu walki o przełamanie pozycji wroga toczyły się nieprzerwanie do końca maja.

Jeszcze w styczniu Amerykanie lądowali pod Anzio z zamiarem obejścia niemieckich umocnień od wschodu. Bez powodzenia. Przez kilka kolejnych miesięcy miast atakować, zostali tam zmuszeni do obrony zajętego przyczółku. Od zachodu atakowali zaś Niemców kolejno żołnierze brytyjscy, Amerykanie, Francuzi, Marokańczycy, Algierczycy, Tunezyjczycy, Ghurkowie, Nowozelandczycy, oddziały kanadyjskie i wreszcie żołnierze polscy. Od stycznia do kwietnia dowództwo alianckie przeprowadziło trzy szeroko zakrojone operacje ofensywne. Na pozycje niemieckie spadło tysiące ton bomb i pocisków artyleryjskich, kolejne fale atakującej piechoty fatalnie dowodzone wykrwawiały się

pod ogniem doborowych jednostek niemieckich, np. 1. Dywizji Strzelców Spadochronowych. Dywanowe naloty lotnicze i ostrzał artyleryjski zrównały z ziemią zabytkowy klasztor z VI w. „w akcie czystej głupoty”, ale pozycji niemieckich nie zdobyto. Źle przygotowane i marnie koordynowane natarcia kosztowały życie ponad 48 tys. alianckich żołnierzy.

Z końcem marca zdecydowano o kolejnej ofensywie. Rolę głównej siły atakującej zaproponowano II Korpusowi Polskiemu gen. Władysława Andersa, a dowódca podjął się zadania. Po miesiącu przygotowań natarcie ruszyło 11 maja. Zupełnie zawiodło brytyjskie rozpoznanie i pierwsza fala polskiego ataku załamała się. Dopiero przeprowadzenie rekonesansu przez samych Polaków pozwoliło wznowić działania

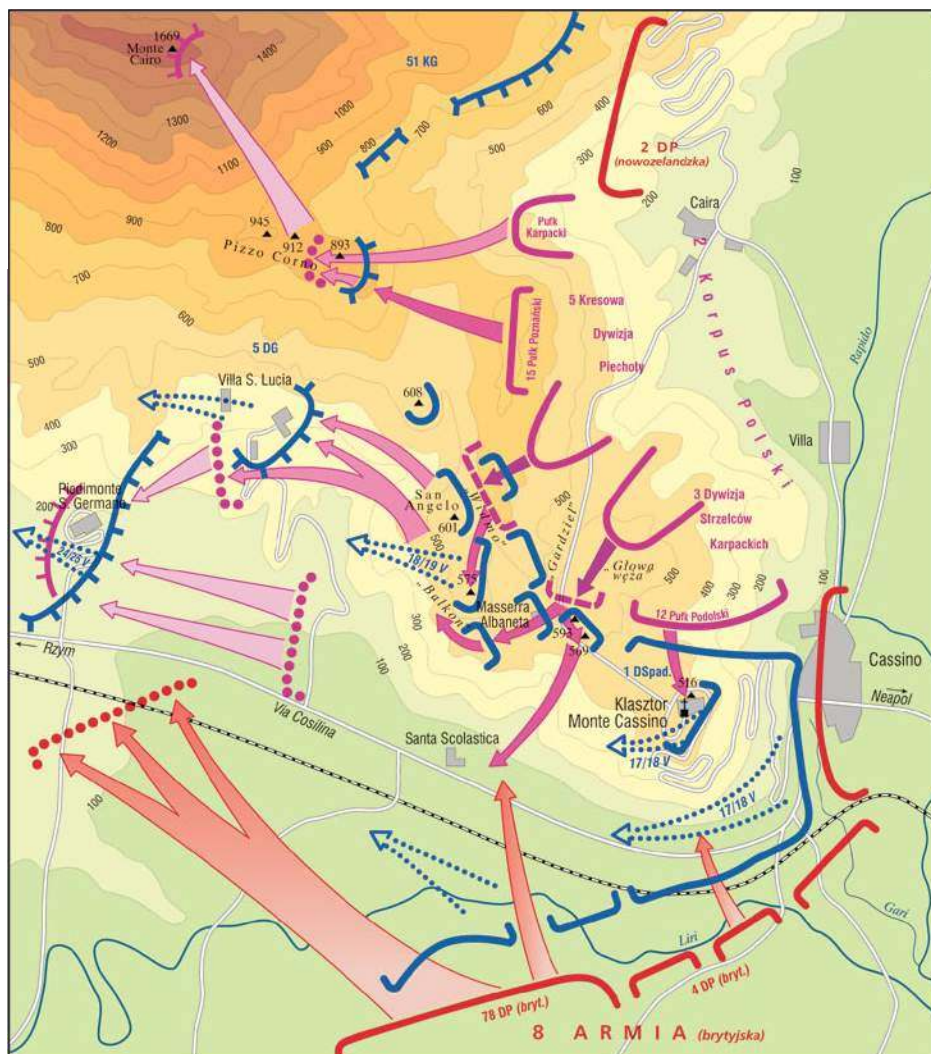
A black and white photograph of a Polish soldier in a helmet and uniform, carrying a large cylindrical container on his back, walking through a muddy, war-torn landscape. The soldier is seen from the side, moving towards the left. The ground is muddy and uneven, with some debris. In the background, there are bare trees and a hazy sky. The image is framed by a thick black border.

zaczępnę 17 maja. Przez kolejne dwa dni zdecydowanie lepiej przygotowane polskie natarcie zmusiło siły niemieckie do odwrotu. W nocy z 18 na 19 maja, równo 75 lat temu, niemieccy żołnierze opuścili stanowiska na wzgórzcu Monte Cassino – na ruinach klasztoru załapała pol-

ska flaga. Zginęło blisko tysiąc Polaków, a 3 tys. zostało rannych.

Związanie przez II Korpus rezerw niemieckich umożliwiło Brytyjczykom posuwanie się od drugiej strony i ostateczne zajęcie zarówno linii Gustawa, jak i linii Hitlera. Jednak zamiast wyzyskać suk-

ces i ostatecznie zgnieść siły niemieckie, Amerykanie parli na północ i 4 czerwca zajęli Rzym, co było sukcesem propagandowym, ale siły niemieckie wycofane na linię Gotów spowodowały, że aliansci do granicy Włoch z Austrią dotarli dopiero w maju 1945 r.



BITWA POD MONTE CASSINO

Pozycje wojsk 16 V 1944 r.:

-  polskich (2 Korpus gen. Andersa)
-  brytyjskich
-  niemieckich
-  „Linia Gustawa” – niemiecka linia obronna

Działania wojsk polskich (2 Korpus gen. Andersa):

-  17 V
-  18 V
-  19 V
-  od 20 V
-  Pozycje wojsk polskich 18 V rano
-  Odwrót wojsk niemieckich
-  Działania wojsk brytyjskich
-  Pozycje wojsk polskich i brytyjskich
20 V po południu
-  Położenie polskich grup pościgowych 25 V

„Balkon”	Nazwy nadane przez polskich
„Gardziel”	żołnierzy fragmentom
„Widmo”	terenów, na których walczyli
„Głowa węża”	

Skróty:

DP – Dywizja Piechoty

DSpad. – Dywizja Spadochronowa

DG – Dywizja Górską

KG – Korpus Górski

0,5 0 0,5 1 km



O PORTRET „UPADŁEJ MADONNY...”

JAK WYGLĄDAŁA GRABIEŻ POLSKIEGO MAJĄTKU W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ? WIĘKSZOŚCI Z NAS WYDAJE SIĘ, ŻE PRZEPROWADZAŁA JĄ SPRAWNA I KARNA NIEMIECKA MACHINA, METODYCZNIE WYWOŻĄCA ZABYTKI I WARTOŚCIOWE PRZEDMIOTY W GŁĄB III RZESZY. NIC BARDZIEJ MYLNIEGO



**AGNIESZKA
ŁUCZAK**

Kiedy przyjrzymy się bliżej, obraz ten ulegnie całkowitej zmianie. Rywalizacja, nadużycia, korupcja, raporty, skargi, donosy, samowolne rekwizycje i w ostateczności prośby o interwencję u samego Adolfa Hitlera – to prawdziwy obraz niemieckiej grabieży. Zwłaszcza jeśli chodzi o grabież w polskich rezydencjach ziemiańskich. Przypomina to raczej prototyp scenariusza znanego powszechnie angielskiego serialu komediowego „Allo, allo”, w którym jednym z motorów akcji była rywalizacja między niemieckimi oficerami w okupowanej Francji o przejęcie bezcennego portretu „Upadłej Madonny...”.

Polscy ziemianie na terenach wcielonych do III Rzeszy zostali w pierwszych miesiącach okupacji usunięci z majątków, wywłaszczeni i wysiedleni do Generalnego Gubernatorstwa. Majątki przejęte przez Niemców przekazano w ręce administratorów, tzw. treuhänderów. Na samym początku okupacji najpowszechniejsza była „prywatna” grabież dóbr kultury z majątków ziemianstwa popełniana przez indywidualnych Niemców. Występowała ona przez całą wojnę, jednak wiemy o niej niewiele. Nadużyć dopuszczali się zwłaszcza treuhänderzy. Na przykład taki zarządca majątku Kopańszewo sprzedawał meble z pałacu w jednym z poznańskich antykwariatów. Z dworu Brodowskich w Psarach treuhänder o nazwisku Verweck wywiózł część dóbr kultury, podobna sytuacja miała miejsce pod koniec wojny, w 1945 r., w pałacu Micielskich we Wrześni-Opieszynie. Inny niemiecki zarządca majątku Zbarzewo

przywiózł ze sobą z majątku, w którym poprzednio był administratorem, kilkanaście skrzyń zawierających prawdopodobnie rodową zastawę stołową należącą do polskiego właściciela. W podobnych sytuacjach jedynym źródłem informującym o dokonanej grabieży są zachowane relacje ziemianstwa.

Grabież instytucjonalna

Dwory i pałace były przeszukiwane przez przedstawicieli rozmaitych niemieckich urzędów i instytucji w celu zagrabienia znajdujących się w nich cennych przedmiotów. I od razu trzeba wyjaśnić, że w tym przypadku Niemcy generalnie nie dysponowali uprzednio przygotowanymi spisami dzieł sztuki. Jeżdżące po terenie specjalne komando wykazywały się sporą dozą spontaniczności i improwizacji. W pierwszym etapie okupacji inicjatywę w dziele grabienia łupów przejęli funkcjonariusze z Urzędu Generalnego Powiernika z centralą w Berlinie. Dążyli oni do wywiezienia w głąb Rzeszy jak największej liczby zarekwirowanych obiektów. Przejęte dobra umieszczano w składnicach w Berlinie, w depozycie w Banku Rzeszy i w muzeach. Srebrne przedmioty przetwarzano na sztabki, a inne przedmioty wartościowe i dywany sprzedawano.

Oszacowanie rozmiarów tej grabieży sprawia do dziś ogromne trudności. Fragment korespondencji z 17 marca 1941 r. oddaje nieco rozmach i skalę tego przedsięwzięcia: „O ile zdarzają się wypadki, że dostaje Pan także sztuki z innych metali niż srebro, np. z alpaki, aluminium itp., to i te należy dostarczać do Generalnego Powiernika, gdyż będą potrzebne jako sztuki wymienne. Stwierdzono mianowicie, że w majątkach ziemskich itd. są często w użyciu sztuki srebrne wielkiej wartości i są używane przez osoby, dla których odpowiedniejsze byłyby sztuki z innych metali. Właściciele majątków

często zgadzają się w zasadzie na oddanie sztuców srebrnych, lecz nie mogą tego uczynić, gdyż nie mają żadnej możliwości nabycia sztuców innych. W przyszłości Generalny Powiernik będzie w takich wypadkach oddawał do dyspozycji za oddane sztuki srebrne sztuki z innych metali”.

Grabież przeprowadzana przez funkcjonariuszy Generalnego Powiernika nie podobała się Arthurowi Greiserowi, który starał się ukrócić proceder wywożenia dzieł sztuki z Kraju Warty. Zabronił podległej sobie administracji transportowania dóbr kultury poza granice powiatu. Greiser ponadto przejął i dysponował wyłącznie na własne potrzeby pałacami w Lubostroniu i Czerniejewie. Olbrzymie zbiory dzieł sztuki i cennych przedmiotów z tych pałaców zostały częściowo przekazane do niemieckiego muzeum w Poznaniu, a inna część zapewne posłużyła do wyposażenia pokoi mieszkalnych Greisera i jego rodziny. Ponadto namiestnik Kraju Warty na czas polowań zajmował pałace w Objezierzu i Długiem Starem.

Rywalizacja o łupy

Działania Greisera zostały szybko dostrzeżone przez Generalnego Powiernika, którego terenowi urzędnicy ślali raporty do Berlina: „Ustalono, że namiestnik w Kraju Warty zmontował swą własną organizację dla zabezpieczenia i zinventaryzowania dóbr kultury oraz, że urzędy partyjne wypełniają zadania, które rozporządzeniem Reichsführera SS zlecone zostały generalnemu powiernikowi. Jak się dowiedziałem, [...] w zamku w Pawłowicach, w skarbcu »Ostbank« w Poznaniu, w pewnym banku w Krotoszynie i w zamku w Bylewie znajdują się, jak się zdaje, znaczne zapasy przedmiotów z metali szlachetnych, których nie można było przejąć, gdyż odmówiono ich wydania”.

Mimo tej rywalizacji Generalny Powiernik przeprowadzał nadal konfi-



Pałac Lubostron

skaty w dworach i pałacach. Do lipca 1941 r. ukończył akcję „zabezpieczania” dóbr kultury w 22 powiatach Kraju Warty. Rozmiar grabieżczej działalności Urzędu Generalnego Powiernika obrazują jego sprawozdania. W dokumencie z 28 marca 1941 r. napisano: „Skonfiskowano dobra w 500 skontrolowanych dworach, pałacach i mieszkaniach prywatnych. Skonfiskowano 102 biblioteki, 3 galerie obrazów, 8 zbiorów broni, 10 zbiorów monet, 1 zbiór egipski, 1 zbiór waz antycznych, 1 zbiór etnograficzny, 21 różnych zbiorów prywatnych (folklor, porcelana, rogi), 1100 obrazów olejnych i akwarel, wiele set sztychów, 25 posągów i dzieł sztuki plastycznej, 500 sztuk mebli, 33 skrzynie z dziełami sztuki kościelnej, wiele set dywanów, większą ilość metali szlachetnych oraz inne dobra kultury, jak porcelana, szkło, broń itp. Dokładna ich ilość będzie możliwa do ustalenia po dokonaniu selekcji”.

Żydowski i polski kicz kulturalny

Innym aspektem działalności Urzędu Generalnego Powiernika było kształtowanie wizerunku polskiej kultury zgodnie z wytycznymi propagandy III Rzeszy. Gromadzono zatem obrazy najnowszej wartości oraz kicze w celu przygotowania wystawy o kulturze polskiej. Obiekty określane jako „żydowski i polski kicz kulturalny” miały zostać zniszczone. Te, które uznano za najbardziej „zwyrodniałe”, miały być pokazane na wystawie o sztuce zwyrodniałej. Zebrane w tym celu egzemplarze umieszczono w łódzkim muzeum. Doszło nawet z tego tytułu do schizofrenicznej sytuacji, gdyż Generalny Powiernik w sprawozdaniu końcowym stwierdził, że przejął dużą liczbę obrazów polskich malarzy, w szczególności Leona Wyczółkowskiego oraz Wojciecha i Jerzego Kossaków. Podjęcie decyzji w kwestii zgromadzonych zbiorów i ewentualnego uznania ich za mało wartościowe ze względów ideologicznych

wywołało jednak pewną konsternację niemieckich urzędników, gdy wyszło na jaw, że sam Hitler nabył do swojej kolekcji obraz Wyczółkowskiego, którego artystyczną wartość ocenił wysoko.

Namiestnik Greiser przejmie kontrolę

Urząd Generalnego Powiernika zakończył działalność pod koniec 1941 r., a w sprawozdaniu końcowym zyski z jego działalności oceniono na 3 mln Reichsmarek i była to kwota znacznie zaniżona w stosunku do faktycznej wartości zrabowanych przedmiotów. W następnym okresie wyraźną przewagę oraz kontrolę nad grabieżą zyskał namiestnik Greiser. Ze wszystkich gauleiterów to właśnie on miał największy zakres władzy, co wiązało się z planami utworzenia z Kraju Warty „okręgu wzorcowego” (Muster-gau). Ponadto konsekwentnie dążył do rozszerzenia zakresu swojej władzy i eliminowania z tego terenu urzędów administracji centralnej. Jak wszyscy nazistowscy dygnitarze, również Greiser wyposażał zajmowane przez siebie i rodzinę wnętrza w zrabowane Polakom stylowe meble, cenne dzieła sztuki i inne wartościowe przedmioty. Pierwszym jego mieszkaniem była 15-pokojowa willa przy ul. Berwińskiego 5 w Poznaniu, gdzie tam mieszkał do maja 1942 r.

W 1941 r. przystąpił do budowy pałacu, usytuowanego malowniczo nad Jeziorem Góreckim niedaleko Poznania. Przedsięwzięcie zostało zaakceptowane przez samego Hitlera i zakwalifikowane jako inwestycja wymagająca natychmiastowego wykonania. Ogólny nadzór nad budową „greiserówki” sprawował pierwszy architekt III Rzeszy, Albert Speer. W nowym pałacu Greiser zamieszkał w maju 1942 r. Pokoje tam były wyposażane w luksusowe meble, cenne dzieła sztuki i dywany oraz trofea myśliwskie. Namiestnik dwukrotnie dokonał przeglądu zbiorów kórnickich i przywłaszczył sobie kilka muzealnych obiektów, które następnie

ozdobiły jego rezydencję. Między innymi w październiku 1942 r. dostarczono mu wiele zabytkowych mebli z Kórnika (np. szafy: chińską, japońską, dwie rzeźbione – cztero- i dwudrzwiową), 12 sztuk zabytkowej broni.

Zebrane dzieła sztuki były (podobnie jak w GG) w pierwszej kolejności przeznaczone do dyspozycji Hitlera, w drugiej – dla namiestnika Greisera i jego placówek kulturalnych, a wartościowe sprzęty (meble, obrazy, rzemiosło) pozbawione według Niemców wartości zabytkowej – do urządzania reprezentacyjnych budynków urzędów i mieszkań lub na sprzedaż.

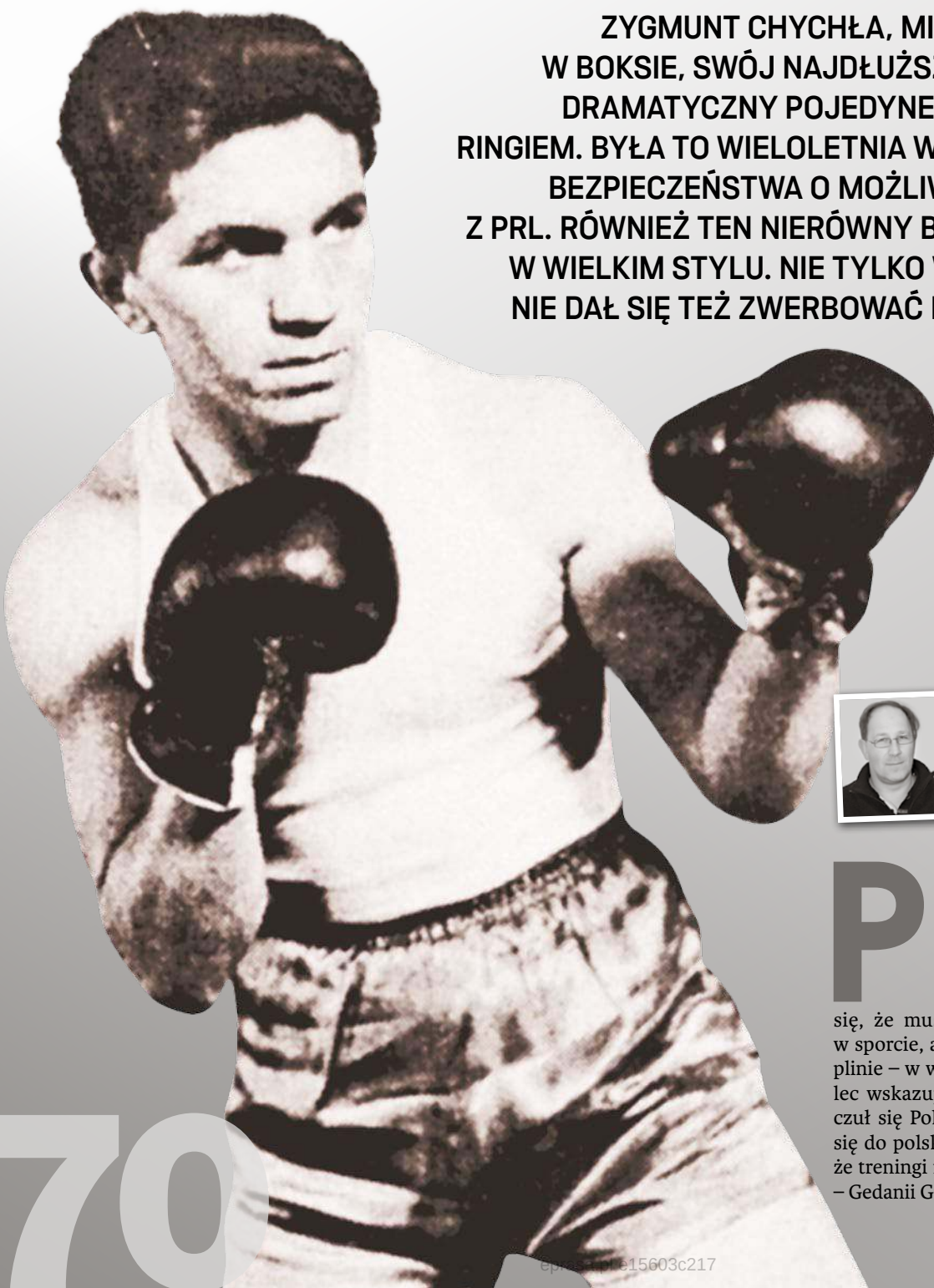
Niemieccy naukowcy

Innym problemem jest rola niemieckich historyków sztuki w procederze grabieży. Naukowcy ci zostali zatrudnieni w Instytucie Historii Sztuki Uniwersytetu Rzeszy w Poznaniu, jednak powierzano im także wiele zajęć pozauniwersyteckich, szczególnie konsultacje naukowe podczas przeprowadzanej grabieży i ocenę wartości zabytkowej oraz artystycznej rabowanych obiektów. Prace te zlecali im przede wszystkim Heinrich Himmler (Reichsführer SS i szef policji) oraz Greiser, jednak za formalnym pośrednictwem ich bezpośredniego przełożonego, czyli ministra nauki, wychowania i oświaty Rzeszy. Jak na nauczycieli akademickich przystało, uczeni poświęcali na ekspertyzy wiele czasu i energii. Niemal połowę aktywności zawodowej przeznaczali na zadania związane z „zabezpieczaniem” dóbr kultury. Z zachowanej korespondencji wynika, że tak intensywne zaangażowanie w grabież musiało przytłaczać akademików. Zapewne byli oni nadmiernie eksploatowani, gdyż z ich listów przebija zmęczenie tymi pracami i chęć zajęcia się sprawami czysto uniwersyteckimi.

Istotą przeprowadzanego rabunku dóbr kultury była przede wszystkim chęć przywłaszczenia sobie możliwie największej liczby cennych obiektów, wśród których dzieła sztuki i przedmioty artystyczne odgrywały ważną rolę, gdyż miały dużą wartość rynkową. Spieniężenie ich oraz praktyczne wykorzystanie było zatem najczęstszym powodem rabowania dóbr kultury z majątków ziemskich. Na terenach wcielonych do III Rzeszy, gdzie usunięto właścicieli dworów i pałaców, grabież dóbr kultury w tamtejszych majątkach ziemskich często była niemal całkowita.

NAJDŁUŻSZY BÓJ ZYGMUNTA CHYCHŁY

ZYGMUNT CHYCHŁA, MISTRZ OLIMPIJSKI W BOKSIE, SWÓJ NAJDŁUŻSZY, NAJBARDZIEJ DRAMATYCZNY POJEDYNEK STOCZYŁ POZA RINGIEM. BYŁA TO WIELOLETNIA WALKA ZE SŁUŻBĄ BEZPIECZEŃSTWA O MOŻLIWOŚĆ EMIGRACJI Z PRL. RÓWNIEŻ TEN NIERÓWNY BÓJ WYGRAŁ. I TO W WIELKIM STYLU. NIE TYLKO WYJECHAŁ, LECZ NIE DAŁ SIĘ TEŻ ZWERBOWAĆ DO WSPÓŁPRACY



**GRZEGORZ
MAJCHRZAK**

Przyszły olimpijczyk urodził się 5 listopada 1926 r. w Gdańsku. Należał do najwybitniejszych polskich pięściarzy. I to mimo ułomności, która wydawałoby się, że musi przekreślić jego szansę w sporcie, a przynajmniej w tej dyscyplinie – w wieku siedmiu lat stracił palec wskazujący lewej dłoni. Nie tylko czuł się Polakiem, ale też przyznawał się do polskości. Nic zatem dziwnego, że treningi rozpoczął w polskim klubie – Gedanii Gdańsk. Jego karierę pięściar-

ską przerwała na pewien czas II wojna światowa, a zakończyła – przedwcześnie, bo w wieku 27 lat – poważna choroba. Na ringu stoczył 263 walki. Jak na prawdziwego mistrza przystało, ponad 90 proc. z nich (241) wygrał, kolejnych 10 zremisował, a jedynie 12 przegrał.

Sportowy życiorys

Wcześniej jednak – podobnie jak wielu innych gdańszczan – został (pod koniec wojny) przymusowo wcielony do Wehrmachtu. Jednak z armią niemiecką rozstał się przy pierwszej nadarzającej się okazji – po prostu dał się wziąć do niewoli. Potem walczył w szeregach francuskiego ruchu oporu. A kiedy tylko nadarzyła się ku temu okazja, wstąpił do wojska polskiego. Walczył w II Korpusie pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Do kraju powrócił w 1946 r. Wznowił treningi w Gedanii (od 1950 r. reprezentował Kolejjarza). Już w 1947 r. zadebiutował w reprezentacji Polski. W biało-czerwonych barwach walczył podczas igrzysk olimpijskich w Londynie w 1948 r., gdzie udało mu się dotrzeć do ćwierćfinału. Czas jego największych sportowych triumfów nadszedł kilka lat później. W 1951 r. w Mediolanie po raz pierwszy został mistrzem Europy. Rok później zdobył złoty medal olimpijski w Helsinkach – pierwszy medal z tego najcenniejszego kruszcu wywalczony podczas igrzysk olimpijskich po II wojnie światowej przez polskiego sportowca. Wreszcie w Warszawie w 1953 r. – podczas pamiętnych, triumfalnych dla Polaków mistrzostw („pobiliśmy Ruskich”, jak powszechnie mówiono) – ponownie został najlepszym pięściarzem starego kontynentu.

Jego osiągnięcia doceniali polscy kibice. Dwukrotnie (w 1951 i 1952 r.) wygrywał m.in. plebiscyt „Przeglądu Sportowego” na najlepszego sportowca. Nie należał jednak do ulubieńców, pieśczołchów sportowych władz Polski Ludowej. O ich stosunku do niego świadczą wydarzenia, do których doszło po finale mistrzostw Europy w Warszawie, kiedy pokonał sowieckiego mistrza Jurija Szerbakowa. Pięć minut po zakończeniu tej bardzo wyrównanej walki kierownictwo polskiej ekipy złożyło protest przeciwko werdyktowi przyznającemu zwycięstwo Chychle... Argumentowano – co zresztą znamienne – że jego sukces był możliwy

tylko dzięki temu, że Międzynarodowa Federacja Pięściarska usunęła wcześniej sędziów z tzw. krajów demokracji ludowej. Ci sami działacze pogrzebali szansę Zygmunta Chychły w głosowaniu na najlepszego pięściarza turnieju. Dzięki głosom ich oraz działaczy zza Buga miano to przypaść oczywiście reprezentantowi Związku Sowieckiego.

Choroba i koniec kariery

Trudno wyrokować, czy wydarzenia, które rozegrały się podczas mistrzostw Starego Kontynentu w stolicy Polski, miały wpływ na stosunek władz do Chychły po przedwczesnym zakończeniu przez niego kariery. Już po nich okazało się, że w chwili gdy walczył o obronę mistrzowskiego tytułu, był poważnie

KIEDY SIĘ OKAZAŁO, ŻE BOKSER NIE BĘDZIE MÓGŁ ZDOBYWAĆ KOLEJNYCH MEDALI, PRAKTYCZNIE NATYCHMIAST O NIM ZAPOMNIANO

chory. Co ciekawe, dowiedział się o tym nie od lekarzy sportowych, ale od specjalisty niezwiązanego ze sportem, który wykrył u niego zaawansowaną gruźlicę płuc. Najprawdopodobniej zatem przez co najmniej rok – źle się czuł już w trakcie igrzysk olimpijskich w Helsinkach – lekarze i działacze sportowi zatajali przed nim to, że jest poważnie chory...

W każdym razie – jak wielu innych wybitnych polskich sportowców w okresie PRL – dopóki zwyciężał, był potrzebny, a kiedy się okazało, iż nie będzie mógł zdobywać kolejnych medali dla Polski, szybko, praktycznie natychmiast, o nim zapomniano. Po rocznym leczeniu podjął pracę na kolei jako pracownik Służby Ochrony Kolei, a następnie kancelarii ogólnej Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Gdańsku. Próbował też

– niestety bez powodzenia – pracować dodatkowo jako trener. Miał na utrzymaniu niepracującą żonę oraz najpierw dwóch, a następnie trzech małych synów – mimo swych niewątpliwych zasług (został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi) – na pomoc materialną włodarzy polskiego sportu czy też ludowego państwa liczyć nie mógł. Nawet w okresie leczenia, kiedy jego rodzina pozostała praktycznie bez środków do życia. Zmuszony był dorabiać – mimo problemów ze zdrowiem – nosząc po pracy na kolei worki w porcie.

Bezskuteczna walka o paszport

W 1958 r. rozpoczął starania o wyjazd do Niemieckiej Republiki Federalnej, na zaproszenie brata żony Annemarie – Edwina Duczynskiego, zamieszkałego w Hamburgu. Dwukrotnie – 26 lipca i 17 października tego roku zgody jednak nie otrzymał. Przy czym w tym drugim przypadku poinformowano go, że decyzja ta „jest ostateczna i ewentualne dalsze podania w tym sprawie pozostaną bez odpowiedzi”. On jednak nie zamierzał zrezygnować. 2 lutego 1960 r. pisał: „Proszę swą uzasadniać tym, że choruję na gruźlicę płuc od 1952 r., z powodu tego nie jestem w stanie zapewnić mojej rodzinie utrzymania”. Zdesperowany złożył nawet (mimo że pochodził z polskiej patriotycznej rodziny) podanie do Rady Państwa o zmianę obywatelstwa z polskiego na niemieckie dla niego i jego najbliższych. Jednak jego starania o wyjazd, zresztą w ramach trwającej wówczas tzw. akcji łączenia rodzin, na którą zresztą się powoływał (w NRF mieszkało kilkunastu członków rodziny jego lub jego małżonki), nie przynosiły efektów – po ponad pięciu miesiącach oczekiwania (6 lipca) po raz kolejny otrzymał odpowiedź odmowną. Oczywiście odwołał się od niej, ale bezskutecznie. W tej sytuacji uznał, że nie ma – przynajmniej na razie – szans na emigrację.

Jednak absolutnie z niej nie zrezygnował. Odczekał ponad dekadę – do 3 maja 1971 r. Użył nowych argumentów. W „Dodatkowej informacji” załączonej do standardowego kwestionariusza paszportowego pisał m.in. „Ojciec mój służył w pierwszej wojnie światowej w Armii Niemieckiej, gdzie został ranny oraz odznaczony Żelaznym Krzyżem Zasługi. [...] Po wybuchu drugiej wojny światowej i włączeniu Gdańska do Niemiec >>

» rodzice moi przyjęli obywatelstwo niemieckie (Volksdeutsch). [...] W tym czasie na froncie w Armii Niemieckiej zginął mój brat”. I dodawał: „Należałem do młodzieżowej organizacji niemieckiej oraz brałem czynny udział w życiu sportowym. W 1943 r. zaciągnięty zostałem do »Reichs – Arbeits – Dienst«. A na zakończenie stwierdzał: „Przed wkroczeniem Armii Radzieckiej i Ludowego Wojska Polskiego do Gdańska cała moja rodzina udała się drogą morską do Niemiec”.

Można się domyślać, że władze PRL nie chciały dopuścić, aby wybitny polski sportowiec, mistrz olimpijski, został Niemcem. I to w dodatku tym „złym” – zachodnim. Nie pomagało mu też to, że w Komendzie Dzielnicowej MO w Gdańsku-Wrzeszczu uznano, iż w związku z pracą w DOKP w Gdańsku „może posiadać wiadomości stanowiące tajemnicę państwową”. Tak na marginesie w tym

gracji zwrócił się 10 lipca 1972 r. Pisał wówczas: „Myślę, że teraz po ratyfikacji układu pomiędzy PRL i RFN już nic nie stoi na przeszkodzie, aby zadośćuczynić moim prośbom o wyjazd stały [...], bo tego wymaga chyba punkt 1. i 2. karty ONZ o prawie człowieka, w duchu którym ten układ został zawarty”.

Podchody SB

W tym czasie, w 1971 r., po kolejnym złożonym przez niego podaniu, sytuację postanowiła wykorzystać dla swych potrzeb Służba Bezpieczeństwa. Rozważano wykorzystanie byłego pięściarza w ramach prowadzonej od kwietnia 1971 r. sprawy obiektowej pod kryptonimem „Ren”, wymierzonej przeciwko Niemieckiej Republice Federalnej. Formalnie jej celami było: „rozpoznanie form i metod stosowanych przez k[ontr]

szy inspektor Wydziału II (czyli kontrwywiadu) Edward Jadach. W jej trakcie funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa stwierdził jednak, że był pięściarz „nie nadaje się do wykorzystania operacyjnego”. Zdecydowała o tym postawa samego Chychły. Nie tylko wykazywał on bowiem „wielką powściągliwość, jeśli chodzi o przekazanie jakiejkolwiek informacji o poruszanych sprawach czy osobach”, ale też starał się przekonać rozmawiającego z nim esbeka, że „czuje się Niemcem i co do tego władze [...] nie powinny mieć żadnych wątpliwości”. O jego desperacji świadczyło stwierdzenie, iż „zdecydowany jest [w NRF – G.M.] nawet zamiatać ulice, byle tylko wyjechać”. W celu przekonania swego rozmówcy o swych niemieckich korzeniach, jak raportował Jadach, Chychła podkreślał swą przynależność do Hitlerjugend, służbę w Wehrmachcie czy też rzekomy brak znajomości języka polskiego do chwili zakończenia II wojny światowej. Twierdził też, że „jego nazwisko brzmi Chychła, a nie Chychła” oraz „że zmieniono mu je bez jego zgody”. Nic zatem dziwnego, iż w tej sytuacji esbek stwierdzał: „nie nadaje się do wykorzystania operacyjnego”.

Znakomity bokser wygrał więc również tę walkę. Nie postąpił jak wiele innych osób gotowych do „ustępstw”, kompromisu w celu otrzymania upragnionego paszportu, możliwości wyjazdu czy emigracji z Polski Ludowej. Jego zwycięstwo było tym większe, że w końcu (4 października 1972 r.) otrzymał on, jego żona i dorastający synowie zgodę na wyjazd. Cena okazała się jednak bardzo wysoka. Dwa dni później wystąpił do Rady Państwa o zezwolenie na zmianę obywatelstwa. A jako „zdrajca” został nie tylko wymazany z encyklopedii i leksykonów sportowych – oczywiście tych wydawanych w PRL – ale też praktycznie zerwał kontakty z ojczystym krajem, co zresztą wymogła na nim Służba Bezpieczeństwa. Miał przyjeżdżać jedynie, aby „w tajemnicy” odwiedzać groby rodziców. Po wielu latach, 10 lipca 2003 r., przyznano mu tytuł Honorowego Obywatela Miasta Gdańska, ale niestety schorowany Zygmunt Chychła już go nie odebrał – uczynił to w jego zastępstwie syn. Znakomity bokser zmarł sześć lat później 26 września 2009 r. w Hamburgu, w wieku 83 lat.

*Autor jest pracownikiem
Biura Badań Historycznych IPN*

WŁADZE PRL NIE CHCIAŁY DOPUŚCIĆ, ABY WYBITNY POLSKI SPORTOWIEC, MISTRZ OLIMPIJSKI ZOSTAŁ NIEMCEM. I TO W DODATKU TYM „ZŁYM” – ZACHODNIM

samym czasie jego zakład pracy stwierdzał, że „nie stawia przeszkód w wydaniu pozwolenia na wyjazd”, gdyż pracował na stanowisku, na którym „nie są wymagane specjalne kwalifikacje”, a także „istnieje możliwość zastąpienia [go] innym pracownikiem”. Odrzucono również ten jego wniosek o zgodę na emigrację.

Zygmunt Chychła jednak nie zrezygnował i ponawiał swe starania. 27 sierpnia 1971 r. po kolejnej odmowie pisał: „Nie wiem, czym kierowała się Komenda Wojewódzka MO w Gdańsku, załatwiając moje podanie odmownie. Uważam, że motywy podane w moim podaniu są wystarczająco jasne”. I przypominał: „Obecnie rząd polski w związku z porozumieniem pomiędzy PRL i NRF w sprawie normalizacji stosunków państwowych ułatwia wyjazd na teren NRF tym osobom, które poczuwają się Niemcami i chcą tam zamieszkiwać”. Jego kolejne podanie z 31 grudnia 1971 r. również zostało – po nieco ponad miesiącu (3 lutego 1972 r.) – odrzucone. Chychła był jednak uparty – po raz kolejny o możliwość emi-

w[wiad] i wywiad NRF, organizacje rewizjonistyczne w odniesieniu do osób narodowości niemieckiej wyjeżdżających na stałe z terenu woj. gdańskiego, które przebywają w obozie Massen k. Dortmundu” oraz „dokumentowanie przygotowań do wrogiej dywersji i szpiegowskiej działalności” ze strony tychże organizacji i instytucji poprzez emigrantów z PRL. Chciano skorzystać z tego, że wniosek Chychły o zgodę na emigrację został po raz kolejny zaopiniowany negatywnie. Byłego mistrza olimpijskiego (mimo opinii z zakładu pracy, że ten „nie angażuje się do żadnej działalności politycznej, nie bierze udziału w uroczystościach państwowych”, „przejawia poglądy proniemieckie”, a nawet, iż „żądał wystawienia legitymacji żony z wpisaniem imienia w brzmieniu niemieckim”) postanowiono zwerbować do współpracy z SB.

Niedoszły emigrant został wezwany na „rozmowę” do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku. Przeprowadził ją (22 września 1971 r.) star-


 Jędrzej Giertych

W CIĄGU 16 MIESIĘCY „POLSKIEGO KARNAWAŁU” W WYPOWIEDZIACH EMIGRACYJNYCH DZIAŁACZY I PUBLICYSTÓW DOMINOWAŁ UMIARKOWANY TON. PO WPROWADZENIU STANU WOJENNEGO RZĄD NA UCHODŹSTWIE I WIĘKSZOŚĆ TAMTEJSZYCH ŚRODOWISK OSTRO KRYTYKOWAŁY POLITYKĘ GEN. JARUZELSKIEGO. ZNALEŻLI SIĘ JEDNAK I TACY, KTÓRZY CHWALILI DYKTATORA

O POCHWALE STANU WOJENNEGO



**KRZYSZTOF
TARKA**

Stan wojenny ze zrozumieniem, wręcz z uznaniem, witał Jędrzej Giertych, jeden z czołowych działaczy ruchu narodowego na emigracji (w 1961 r. usunięty jednak

z szeregów Stronnictwa Narodowego). W broszurze opublikowanej w Londynie w maju 1982 r. pod tytułem „Co robić?” z aprobatą wypowiadał się na temat autorów grudniowego zamachu, przestrzegał też rodaków w kraju przed „trockistami” z Komitetu Obrony Robotników, odrodzeniem „piśsudczyzny” oraz wpływami żydowskimi i niemieckimi.

Niemal cały nakład broszury (tysiąc egzemplarzy) pisanej w formie listu otwartego do społeczeństwa w kraju

Giertych wysłał zwykłą pocztą do Polski. Adresatami przesyłki byli m.in. gen. Jaruzelski i członkowie jego rządu, internowany przywódca „Solidarności”, biskupi oraz wielu innych księży i osoby prywatne. List wysłał również na adresy seminariów duchownych, uczelni państwowych, komitetów PZPR oraz redakcji czasopism. Niewielką liczbę egzemplarzy broszury udało mu się przemycić za pośrednictwem osób wyjeżdżających do Polski.

Paszkwilant czy wizjoner?

Demaskując działaczy KOR, Giertych twierdził, że wcisnęli się oni do „Solidarności”, opanowali jej kierownictwo i sprowadzili cały ruch na manowce: „Mafia kierowana przez KOR nie troszczyła się o trwałą poprawę położenia Polski i polskiego narodu ani o poprawę bytu polskich robotników, ale pracowała nad wywołaniem w Polsce rewolucji”. Przecistawianie działaczy KOR „zrowemu”, robotniczemu nurtowi „Solidarności” jako żywo przypominało zabiegi komunistycznej propagandy.

Gdyby korowska „odnowa” zwyciężyła – ostrzegał Giertych – Polacy szybko ujrzeli by prawdziwe oblicze trockistów: „Zniknęły wtedy za jednym zamachem ukłony w kierunku Kościoła katolickiego, frazesy o demokracji i gadanina wolnościowa. Polska znalazłaby się za jednym zamachem pod terrorem takim, jak za rządów Bermiana albo gorszym. Zaskrzybiałyby znowu szubienice i zahuczały wystrzały w kark. A Kościół znalazłby się w katakumbach. Robotnicy zaś (a także i chłopci) wepchnięci by zostali w bezlitosną niewolę”. Te insynuacje, demagogia, oskarżycielski ton wywołać miały wrażenie, że działacze KOR są wrogami Polski. Antykorowski stereotyp Giertycha był skrajnie jednowymiarowy.

W ostatnich miesiącach 1981 r. – pisał Giertych – „narastała w Polsce rewolucja”, która wiodła ją w „fałszywym kierunku”. Najważniejszą rzeczą, której wówczas potrzebował kraj, była „wytrwała praca, praca i praca; i gospodarczy wysiłek”. Tymczasem „rewolucja, której organizatorzy i propagatorzy wywoływali w całej Polsce strajki i wzywali cały naród do nieróbstwa i wypoczynku, prowadziła Polskę do dalszego jeszcze pogłębienia ogólnego rozstroju i ruiny”. Naciągająca rewolucja miała szkodliwe (antychrześcijańskie, antynarodowe) oblicze ideowe. Niosła ze sobą jeszcze jedno olbrzymie niebezpieczeństwo: „perspektywę interwencji zbrojnej sowieckiej”. Na szczęście ten „czarny” scenariusz się nie ziścił: „Radować się z tego musimy – z ulgą pisał Giertych – i Panu Bogu za to dziękować, że to niebezpieczeństwo zostało od nas odwrócone”.

Kto uratował kraj przed katastrofą? Komu Polacy powinni być wdzięczni? Emigracyjny publicysta stawiał sprawę jasno: „Zapewne nie spodoba się to niektórym moim czytelnikom, lecz oświadczam otwarcie, że uważam, że dobrze się

stało, iż omawiany tu przewrót w dniu 13 grudnia nastąpił”. Przy okazji dodał, że skala brutalności czy liczba ofiar stanu wojennego była nieporównanie mniejsza niż podczas zamachu przeprowadzonego w maju 1926 r. przez znienawidzonego przez niego Józefa Piłsudskiego.

Giertych podkreślił, że autor stanu wojennego, gen. Wojciech Jaruzelski, był synem rodziców „głęboko wierzących”, sam ukończył katolicką szkołę. W młodości miał „reputację chłopca religijnego i patriotycznego”. Na tej podstawie twierdził, że „to jest zapewne polski patriota”. Wychowanek katolickiej szkoły, spekulował Giertych, mógł być utajonym, a może nawet jawnym katolikiem. Uważał, że „reprezentuje on politykę prawidłową i że wszyscy Polacy kochający ojczyznę i życzący jej dobra, powinni mu w jego dzisiejszej roli sternika polskiej nawy państwowej udzielić poparcia. Tym, którym powyższe słowa nie trafiają do przekonania, stawiam pytanie: w takim razie komu chcecie udzielić poparcia? Chcecie, by faktyczną – a może i formalną – władzę w Polsce objęli Kuroń, Michnik, Gieremek [tak w oryginale – K.T.], Bujak i im podobni? Wolne żarty!”.

Prokomunistyczny antykomunista?

Pochwały pod adresem Jaruzelskiego w ustach narodowo-katolickiego radykała i antykomunisty są doprawdy trudno zrozumiałe. Generała rozprawiającego się z byłymi działaczami KOR i „Solidarnością” Giertych traktował jako taktycznego sojusznika w walce z „trockistami” i wpływami żydowskimi. Kreował go wręcz na bohatera, wzór patrioty, opatrnościowego męża stanu.

Aż dziw, że po tak wiernopoddanej deklaracji generał nie zaprosił Giertycha do Warszawy. Może zabołały go jednak słowa o „zamachu” czy „przewrocie” z 13 grudnia bądź „wojskowej dyktaturze”? „Mamy dziś w Polsce, w istocie, dyktaturę wojskową – nie ukrywał Giertych. Jest to dyktatura generałów-komunistów. Ale są to nie tylko komuniści. Są to też i generałowie” – wyjaśniał swoją myśl nieco zawile. Za chwilę był już bardziej precyzyjny: „Więcej zaufania budzą we mnie rządy komunistów-generałów niż wszystkich Gierków, Gomułków i Bierutów, już nie mówiąc o Bermanach, a także o Michnikach i Kuroniach”. Ta swoista apologia rządów komunistycznych gene-

rałów odwoływała się do narodowej mitologii, w której żywy był kult munduru. Równie chętnie posługiwał się Giertych narodowo-patriotyczną frazeologią.

Kreśląc scenariusz na przyszłość, twierdził, że „rzeczywisti przywódcy” „Solidarności” (Lecha Wałęsę zaliczył Giertych do ludzi dobrej woli) po odseparowaniu się od KOR powinni dążyć do porozumienia z rządem. Porozumieniu patronować miał Kościół katolicki. Giertych, apelując o sojusz „szabli i kropidła”, pisał: „Życzę generałowi Jaruzelskiemu, by umiał zawrzeć porozumienie z Kościołem. Życzę sternikom polskiego Kościoła, by wyzwolili się spod podszeptów prorolucyjnych i promasońskich katolickiej lewicy modernistycznej oraz »niepokornej«, i umieli wejść w rozumne porozumienie z tymi, co dziś w Polsce sprawują polityczną władzę”.

W przekonaniu Giertycha „obóz Michników i Kuroniów”, opowiadając się za wyjściem Polski z Układu Warszawskiego, dążyć miał do zachowania ustroju komunistycznego lub zbliżonego do komunistycznego. Polska, jako członek obozu antyrosyjskiego, zbliżyłaby się wówczas politycznie do Ameryki, Niemiec i Izraela. Według narodowo-katolickiego radykała dobro ojczyzny dyktowało politykę dokładnie odwrotną. Jego zdaniem Polska powinna być państwem całkowicie wyzwolonym spod panowania komunistycznej doktryny, chrześcijańskim i ożywionym swoimi tysiącletnimi tradycjami historycznymi, ale w polityce zagranicznej należącym do obozu sprzymierzonego z Rosją (Związkiem Sowieckim) i zaprzyjaźnionego z rosyjskim narodem (Giertych podobnie jak wielu emigrantów postrzegał Związek Sowiecki jako nowe wcielenie Rosji, współczesną im formę państwowości rosyjskiej).

Doktrynerstwo czy alternatywa?

Publicysta tłumaczył, że Rosja powinna zrozumieć, iż w jej interesie leży, by Polska była krajem silnym i naprawdę niepodległym, a „jako państwo niepodległe ma prawo mieć taką ideologię, jaką chce”. Uparcie przekonywał, że tylko Polska narodowa, Polska „ze swego losu zadowolona”, a nie Polska rządzona przez komunistów i w duchu komunistycznym może być dla Rosji „bezpieczną sojuszniczką”. Błędna jego zdaniem polityka Kremla podniecała tylko antyrosyjskie

nastroje w Polsce: „To, że Rosja ustanowiła w 1945 roku rządy komunistyczne w Polsce i że je nadal swoim poparciem utrzymuje u władzy, sprawia, że przytłaczająca większość polskiego narodu spychana jest do obozu wrogów Rosji”. Komuniści, nie mając realnego oparcia w społeczeństwie, nie gwarantowali również stabilności sojuszu z Rosją. Swoją politykę wobec Polski Rosja powinna więc opierać nie na garstce polskich komunistów, ale na reprezentującym większość Polaków obozie narodowym: „Sojusz polskiego narodu z Rosją jest faktem naturalnym i odpowiadającym geograficznemu i politycznemu koniecznościom” – niezmiennie przekonywał Giertych, powołując się na szkołę politycznego myślenia Romana Dmowskiego, na tradycję i poglądy obozu narodowego.

brzmiało niemal jak oferta współpracy. Jednak druga strona z tej oferty nie zamierzała skorzystać.

Emigracyjny publicysta zaniepokojony był również zanikiem w Polsce świadomości zagrożenia ze strony Niemiec. Obawa przed niemieckim rewizjonizmem popychać miała Polskę do szukania oparcia na wschodzie: „Polacy, którzy twierdzą, że niebezpieczeństwo niemieckie już dla Polski nie istnieje, są w wielkim błędzie. To ich złudzenie sprawia, że nie doceniają potrzeby polsko-rosyjskiego sojuszu. A tymczasem sojusz ten jest w dzisiejszych czasach nieodzowną podwaliną polskiej polityki zagranicznej”. Antyżydowska fobia, krytyka powstań, polityczny infantylizm i antyniemiecka obsesja doprowadziły tego antykomunistycznego radykała

dowym. Gazeta zamieściła również dystansujący się od autora komentarz: „Nie podzielamy poglądów ideologicznych ani rozważań historycznych Jędrzeja Giertycha, które prezentuje w swojej broszurze. Wydaje się nam jednak, że na uwagę zasługują jego opinie w sprawie powstania »Solidarności« i opanowania jej kierownictwa przez ludzi, którym udało się ten ruch związkowy skierować na drogi sprzeczne z interesami klasy robotniczej”. W przedrukowanych fragmentach niektóre słowa, zwroty czy zdania zostały usunięte, co czasem zaznaczono trzema kropkami, a czasem nie zaznaczono w ogóle. Giertych z pewną satysfakcją odnotował, że jego myśli, choć zostały częściowo zniekształcone, to ukazały się w urzędowym wydawnictwie w kraju.

O przedruku odpowiednio dobranych fragmentów broszury zadecydowała zapewne zbieżność wielu poglądów Giertycha z oficjalnymi tezami. Jego niechęć do KOR, „Solidarności”, Żydów czy Niemiec żarliwością dorównywała propagandzie stanu wojennego. Tego rodzaju opinie, i to wypowiedane przez emigracyjnego działacza, w Warszawie uznano za politycznie użyteczne. Broszura zagorzałego antykomunisty i ultrakatolika paradoksalnie bardziej przypominała styl przemówień ówczesnych partyjnych sekretarzy czy artykuły z „Trybuny Ludu”, nie zaś głos przedstawiciela emigracji politycznej.

Na emigracji przeciwko poglądom Giertycha wystąpiła „Kultura” paryska. Wymowny był już sam tytuł artykułu współpracownika KOR Jacka Bierezina: „Przypadek nieuleczalny”. Według działacza krajowej opozycji „List otwarty” narodowego publicysty i polityka był „namaszczone, obłądnym kazaniem ponurego endecka i sowietofila”. W polemicznym zapale Bierezin nazwał Giertycha „zidiociałym endeckim ramołem rodem z drugiej Rzeczypospolitej”, który „ma porządnego świra”. Kilkakrotnie w swoim artykule sugerował też, że może on być sowieckim agentem. Przynajmniej w tym ostatnim wypadku podejrzenia Bierezina nie okazały się prawdziwe. Atakując zajądło krajową opozycję czy wypisując peany na cześć stanu wojennego, emigracyjny publicysta nie działał na zlecenie władz PRL. Giertych od lat prowadził „prywatną” wojnę z „trockistami” i Żydami, których uważał za wrogów Polski. W tym sensie kolaborantem nie był, choć jego paszkwil miał kolaborancki charakter.

„POLACY, KTÓRZY TWIERDZĄ, ŻE NIEBEZPIECZEŃSTWO NIEMIECKIE JUŻ DLA POLSKI NIE ISTNIEJE, SĄ W WIELKIM BŁĘDZIE”

Giertych był ideowym przeciwnikiem komunizmu, nie przeszkadzało mu to jednak w propagowaniu od lat politycznej współpracy, wręcz trwałego sojuszu z komunistyczną przeciw Rosją, czyli ze Związkiem Sowieckim. Nadzieja, że Moskwa gotowa byłaby przekazać władzę w Polsce w ręce obozu narodowego, świadczyła o braku politycznego realizmu, wręcz o politycznej naiwności. Na Kremlu inaczej rozumiano przecież własne interesy. Dla władz sowieckich tylko Polska komunistyczna mogła być Polską „przyjazną”, a rządy komunistów były gwarancją zachowania satelickiego charakteru państwa oraz trwałości wpływów i interesów Moskwy nad Wisłą.

Żyjąc wyobrażeniami sprzed ponad pół wieku, Giertych znacznie przeceniał również potencjalną skalę poparcia i wpływów narodowców we współczesnej Polsce. Atakowanie działającej w kraju opozycji oraz uporczywe propagowanie sojuszu z Rosją, zwłaszcza w warunkach stanu wojennego, świadczyło nie tylko o braku wyczucia społecznych nastrojów,

i ultrakatolika do pochwał pod adresem komunistycznych generałów i propagowania sojuszu z Kremlu.

Pozorna odpowiedź

Swoistą odpowiedzią na akcję Giertycha był przedruk wybranych fragmentów jego broszury w „Żołnierzu Wolności”. Na łamach tego jednego z głównych organów prasowych stanu wojennego dziełko Giertycha ukazało się w ośmiu odcinkach we wrześniu i w październiku 1982 r. Cykl miał wspólny tytuł: „Przedstawiciel emigracji polskiej w Londynie o ekstremistach »Solidarności«”. Artykuły zaopatrzone zostały w krótką notkę biograficzną informującą, że autor w 1939 r. był żołnierzem marynarki wojennej, wojnę spędził w niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu obozu jenieckiego przez wojska amerykańskie wyjechał do Wielkiej Brytanii i mieszka w Londynie. Redakcja „Żołnierza Wolności” nie poinformowała czytelników, że Giertych był czołowym politykiem i publicystą naro-

Powrót Kuriera



**PAWEŁ
KOWAL**

Jan Nowak-Jeziorański wraca do Warszawy w filmie Władysława Pasikowskiego „Kurier”. Akcja toczy się wartko, droga bohatera do Warszawy daleka, prowadzi z Londynu, przez Włochy i okolice Tarnowa, tak by mógł zdążyć na powstanie.

Do kraju przywozi niby-historyczne już przecież dylematy „polskiego Londynu”, a jednak oglądamy film z nieustającą nadzieją, że polska polityka potrafi być czasami poważniejsza. Mikołajczyk, z którym spotyka nas w filmie Pasikowski, jest prawdziwy do bólu z tą swoją polityczną naiwnością i przekonaniem, że jeśli War-

szawa się ruszy, jakoś ze Stalinem się dogada. Każdy, kto zna przebieg rozmów premiera Polski z generalissimusem, tych z początku sierpnia 1944 r. i potem tych z początku października, wie dobrze, że powstanie w stolicy aż takiego wrażenia na sowieckim przywódcy nie zrobiło. W nieporadności przywódców w Londynie, bufonadzie np. gen. Władysława Tatara odnajdujemy jedno ze źródeł polskich nieszczęść XX w. przekonani, że w polityce pewne kody się powtarzają. Zostanie też zapewne w głowie rozmowa Nowaka z przyszłymi przywódcami powstania w Warszawie: „Borem” Komorowskim i „Monterem”. Nawiasem mówiąc, wielka to odpowiedzialność twórców filmu: przypominają przywódcę AK w Warszawie i jednocześnie tak kreują gen. Chruściela, że – jak to się mówi – już się go nie da „odzobaczyć”.

Filmu wyprodukowanego z inicjatywy Muzeum Powstania Warszawskiego nie

można zrecenzować krótko. Nie można odpowiedzieć na wszystkie związane z nim dylematy. Trudno rozstrzygnąć, czy ostatnia scena zostawia nas w niepewności, nadziei, czy wręcz jest krytyką powstania. Stale będą wracały dyskusje, czy w przypadku historycznego filmu, mimo że nie przedstawia się on jako dokumentalny, jest przestrzeń na „wplatanie” w życie bohatera fikcyjnych postaci, np. pięknych agentek, które wodzą go na pokuszenie. Pojawia się też trochę wątpliwości: czy jednak ze względu na to, że wielu widzów zna Warszawę, warto zmieniać miejsca akcji?

Dyskusja o szczegółach nie powinna przesłaniać wniosku: film się nie starzeje. Sensowna polityka historyczna bez kina się nie obejdzie. A ponieważ nie każdy historyczny film jest wart dwóch godzin, tym bardziej pozostaje zaprosić na „Kuriera”. 26 stycznia 2005 r. Warszawa żegnała swego kuriera. Pogrzeb Jana Nowaka był jednym z największych pożegnań współczesnej Warszawy. Teraz Nowak, człowiek legenda, spotyka warszawiaków jeszcze raz. Tym razem w kinie. ■

POLSKIM OKIEM

Niemcy, Francja, popcorn...



**RYSZARD
CZARNECKI**

Na kryzysie państwa brytyjskiego (brexit i jego warunki!) zyskali państwo Merkel oraz Macron. I tak już mocno względna równowaga sił w Europie jest zastępowana coraz bardziej spektakularnym duopolem Berlin-Paryż. Ale ten tandem jest, wbrew pozorom, bardzo niejednorodny.

Jeżeli uznamy, że Unii przewodzi małżeństwo niemiecko-francuskie, to trzeba zauważyć, że w tym stadle do zgrzytów dochodzi bardzo często. Można kupić popcorn, usiąść wygodnie w fotelu i patrzeć, jak się kłóć. Ostatnio poszło o marcową epistolę Macrona „Na rzecz Odrodzenia Europejskiego”. Do tego manifestu Paryż

przywiązywał wielką wagę – opublikował go w gazetach 28 (!) państw UE, a na oficjalnej stronie Pałacu Elizejskiego można go przeczytać w 21 językach. Odpowiedzią nie był list ani prezydenta RFN, ani pani kanclerz, ale artykuł w „Die Welt” nowej przewodniczącej CDU Annegret Kramp-Karrenbauer (czyli AKK). Francuzi byli zawiedzeni: „Le Point” sugerował, że taka odpowiedź to afront i polityczno-dyplomatyczne faux pas, a „Le Monde” wtórował: „Nie takiej odpowiedzi spodziewał się prezydent Francji, zarówno jeśli chodzi o sedno, jak i formę”.

Skądinąd już wcześniej „Le Point” dość zaskakująco – dla niektórych – pisał, że „wybory europejskie zmieniają się w starcie między Francją a Niemcami”. Rzeczywiście, rywalizacja przed wyborami do Parlamentu Europejskiego, które odbędą się w większości krajów, w tym w Polsce, 26 maja oznacza też starcie

między rządzącym w Paryżu La République En Marche Macrona, wokół której to formacji ma powstać w PE nowa frakcja liberalna, a CDU-CSU, czyli najsilniejszym ogniwem Europejskiej Partii Ludowej. Ale to coś głębszego niż międzypartyjny spór. To także rywalizacja, kto ma być w tym duopolu primus inter pares.

Na to nakładają się wyraźne różnice interesów, a także wizji przyszłości Europy. Co do interesów, to Berlinowi nie podoba się, że po brexicie jedynym krajem członkowskim UE mającym stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ będzie Francja. Niemcy od lat zabiegały o poszerzenie RB ONZ o nich – bez efektu. Paryż, chyba nieszczerze, popierał ten postulat. Tymczasem w artykule w „Die Welt” Frau AKK zaproponowała utworzenie stałego miejsca w RB ONZ dla... Unii Europejskiej. W sposób oczywisty to uderzenie w Paryż. Na dodatek zapewne przyszła kanclerz RFN domaga się likwidacji siedziby europarlamentu w Strasburgu. A to policzek dla Francji i jej prestiżu.

Oglądam ten spór, zajadając się popcornem. Jest świetny. ■

ŻONY KAZIMIERZA WIELKIEGO

KAZIMIERZ WIELKI BYŁ JEDNYM Z NAJWYBITNIEJSZYCH POLSKICH WŁADCÓW, JEGO DZIAŁANIA SPOWODOWAŁY WZROST SIŁY I ZNACZENIA KRÓLESTWA POLSKIEGO. NIESTETY JEGO RELACJE Z KOBIETAMI NIE UŁATWIAŁY MU PROWADZENIA POLITYKI



MAREK
BARAŃSKI

W owych czasach małżeństwa władców zawierane były w celach politycznych. Takimi też miały być pierwsze próby znalezienia żony dla następcy tronu. W 1315 r. pięcioletni Kazimierz został zaręczony z Jutą, córką króla Czech Jana. Planowane małżeństwo miało polepszyć stosunki polsko-czeskie. Gdy Janowi urodził się męski następca tronu, zaręczyny zostały zerwane. Następną kandydatką na żonę dla Kazimierza była Anna Habsburżanka, jednak i tym razem nie doszło do małżeństwa i sojuszu z Habsburgami. Dopiero trzecia księżniczka została poślubiona polskiemu następcy tronu. Była nią córka Gedymina, która przyjęła na chrzcie imię Anna.

Ślub odbył się w 1325 r., a jego celem było wzmocnienie sojuszu Władysława Łokietka z władcą Litwy. W 1333 r. Anna została koronowana na królową Polski. Jan Długosz opisuje ją jako osobę pogodną, wesołą, lubiącą zabawę i muzykę. Pierwsza żona urodziła Kazimierzowi dwie córki: Elżbietę wydaną za Bogusława V, księcia wołogosko-słupskiego, i Kunegundę, późniejszą żonę Ludwika rzymskiego, margrabiego brandenburskiego. Anna zmarła w 1339 r.

W 1341 r. owdowiały Kazimierz, za namową króla czeskiego, ożenił się z Adelajdą, córką landgrafa Hesji Henryka I Żelaznego. Było to bardzo złe małżeństwo. Kazimierz nie polubił swej żony i bardzo szybko po ślubie oddalił ją, osadzając w Żarnowcu, gdzie spędziła wiele lat. W końcu wróciła do Hesji, tam zmarła w 1371 r. Do śmierci Kazimierza nie zgadzała się na rozwód, uważając ciągle, że jest jedyną legalną królową Polski. Tymczasem jej mąż znalazł sobie inną żonę.

Była nią piękna mieszcza Krystyna, wdowa po praskim kupcu i ławniku Mikołaju z Rokiczan. Kazimierz poznał ją w Pradze w czasie wizyty na dworze Karola IV i początkowo chciał, aby została jego kochanką. Na to jednak Krystyna nie zamierzała się zgodzić, pragnęła zostać żoną monarchy, a zakochany król na to przystał. Ślub ten był oczywistym skandalem, Kazimierz miał przeciwie legalną żonę, nowe małżeństwo więc było bigamią. Dlatego ślubu udzielił przyjaciel monarchy, opat tyniecki Jan. Miał on prawo, tak jak biskup, nosić infułę, pastorał i pierścień. Krystyna zamieszkała na Wawelu, jednak niedługo cieszyła się swoją nową pozycją. Prędko została oddalona, choć jeszcze przez kilka lat przebywała w Polsce.

W 1365 r. Kazimierz ożenił się po raz ostatni, z Jadwigą, córką księcia żagańskiego Henryka Żelaznego i Anny płockiej. Zawarty przede wszystkim z powodów dynastycznych ślub odbył się we Wschowie. Kazimierz miał nadzieję, że Jadwiga urodzi mu syna. Jednak od początku kwestionowana była ważność tego



Anna księżna litewska

związku, żyły przeciwie dwie poprzednie żony Kazimierza, z żadną z nich nie został przeprowadzony rozwód. Małżeństwo to nie zostało uznane przez papieża.

Jadwiga urodziła Kazimierzowi dwie córki. Starsza z nich, Anna, wyszła za mąż za Wilhelma hrabiego Cylii i została matką królowej Polski Anny Cylejskiej, małżonki Jagiełły. Młodsza Elżbieta poślubiła jednego z książąt południowosłowiańskich.

Po śmierci Kazimierza Jadwiga wyszła za mąż za Ruprechta księcia legnickiego, z którym miała dwie córki. Zmarła w 1390 r.

Poza żonami miał Kazimierz także kochanki. Pierwszą, o której słyszymy, była Klara Zach, córka węgierskiego możnowładcy. Uwiesić miał ją jeszcze wtedy król w 1329 r., gdy został wysłany z misją na Węgry. Po jego wyjeździe doszło do skandalu. Ojciec dziewczyny sądząc, że romans ten umożliwili król Karol Robert i królowa Elżbieta, zaatakował parę królewską. Królowej uciął palce. Oczywiście został natychmiast zabity, a jego rodzina represjonowana.

Drugą znaną kochanką króla miała być Żydówka Estera. Jednak Estery nie znają współczesne Kazimierzowi źródła, pisze o niej dopiero Jan Długosz. Również źródła węgierskie nie wspominają o romansie Kazimierza i Klary. Podają one inną przyczynę ataku Zacha na parę królewską. Nie znaczy to oczywiście, że Kazimierz nie uwiódł Klary i nie miał romansu z Esterą. Wiemy przecież, że miał kochanki, a także nieślubnych synów. Zdaniem Długosza byli oni synami Estery.

ADOLF NOWACZYŃSKI

– ZAPOMNIANY PRAWICOWY PISARZ I PUBLICYSTA



ARKADIUSZ
MELLER

W TYM ROKU PRZYPADA 75. ROCZNICA
ŚMIERCI ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO,
CZŁOWIEKA NIEJEDNOZNACZNEGO
W SWOICH WYBORACH ŻYCIOWYCH,
CZĘSTO DOKONUJĄCEGO WOLT IDEOWYCH

Jednak, jak pisał w latach 20. XX w. – w ciągu swego 50-letniego życia zawsze był wierny Narodowej Demokracji, a jak stwierdził w przeprowadzonym z samym sobą wywiadzie z okazji 25-lecia pracy twórczej, z obozem narodowym łączyło go: „Wszystko. Wiara, nadzieja i miłość. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Wszystkie idee, nie wszystkie metody. Wspólność zasad, mniej jednostek, w obecnej generacji zasady te reprezentujących. Dogmaty nasze piękne, ludzie bywają ułomni, niepełni, przemęczeni. Do nacjonalizmu należy jutro” („Wiadomości Literackie” 1926, nr 47). Warto na łamach „wSieci Historii” przypomnieć tę zapomnianą oraz nieco przemilczaną obecnie, a wielce zasłużoną dla polskiej kultury i historii, postać.

Barwy krakowskiego życia

Urodził się 9 stycznia 1876 r. w Podgórzu w pobliżu Krakowa. Jako syn katolika Antoniego Nowaczyńskiego – radcy sądu apelacyjnego i protestantki (denominacji ewangelicko-augsburskiej) Ludwika Kornberger de Cronberg przyjął chrzest w obrządku rzymskokatolickim w parafii św. Józefa w Podgórzu. Uczęszczał



Adolf Nowaczyński

do szkoły powszechnej w Wadowicach, a następnie kontynuował naukę w krakowskich gimnazjach: św. Anny, a później św. Jacka, które ukończył w 1894 r. Następnie w latach 1894–1898 studiował prawo na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednak jego zainteresowania koncentrowały się wokół literatury. Był współzałożycielem kółka literackiego organizującego regularne spotkania towarzysko-literackie w krakowskim lokalu Lesisza. Wówczas zaangażował się w tworzący się ruch literacki Młodej Polski, którego później stał się stanowczym krytykiem – za jego dekadentyzm, modernizm, przypisywanie artyście roli kapłana, proroka. Doprowadził do sprowadzenia z Berlina do Krakowa Stanisława Przybyszewskiego. Na czas jego młodzieńczego pobytu w Krakowie przypada okres indyferentyzmu religijnego, który wraz z nieobyczajnym sposobem życia skutkowało usunięciem go z szeregów sodalicii mariańskiej.

Wyrazem jego buntowniczej natury stało się wydarzenie z 1898 r., kiedy w jednej z krakowskich restauracji w obecności policjantów na wiadomość o śmierci cesarzowej Elżbiety zabitej przez anarchistę Luccheniego wzniósł toast: „Vive l'anarchie!”. Uciekając przed gro-

żącym wyrokiem, wyjechał na półtora roku do Monachium (skąd wysyłał do krakowskich gazet relacje z fikcyjnych wystaw, wernisaży). Ojciec Adolfa Nowaczyńskiego, aby móc kontynuować swoją pracę, wyrzekł się swojego syna, na co ten odpowiedział mu jednoaktowym dramatem „Prawo mimicy”, w którym dokonał rozrachunku z własną rodziną. Manifestując swoją odmienną i odcinając się od ojca, przybrał nazwisko Neuwert (co po niemiecku oznacza „nowa jakość/wartość”). W okresie międzywojennym przybrane nazwisko stało się dla wrogów Nowaczyńskiego przyczyną posądzania go o żydowskie pochodzenie. Po powrocie do Krakowa zapadł na ciężką chorobę (gruźlica), która niemal zakończyła się dla niego śmiercią.

Warszawska droga kariery

Ostatecznie wszelkie kontakty z rodzinnym miastem zerwał po przeprowadzce w 1904 r. do Warszawy. Kraków był częstym obiektem jego publicystycznych i pisarskich ataków (m.in. satyry „Nowe Ateny” i „Wiosna narodów w cichym zakątku”), któremu zarzucał zbiurokratyzowanie, powierzchowny katolicyzm, mieszczańską moralność, sformalizowanie stosunków międzyludzkich. W okresie pobytu w Krakowie publikował na łamach m.in. „Życia”, „Krytyki”, „Ate-neum”, „Liberum Veto”.

W czasie I wojny światowej przebywał w okupowanej przez Niemców Warszawie, krytykując ich w ukazującym się nielegalnie piśmie „Liberum Veto”, z którym był związany od 1903 r., oraz w „Kurierze Porannym”, gdzie prowadził stałą rubrykę poświęconą Niemcom. W czasie okupacji gromadził wszelkie materiały kompromitujące Niemców (w 1922 r. wydał je w tomie zatytułowanym „Dokumenty historyczne z wojny europejskiej”). Aby uchronić się przed powołaniem do armii austro-węgierskiej w 1917 r., wstąpił do 1. pułku I Brygady Legionów. W sumie w szeregach legionów spędził kilka tygodni. W 1918 r. groził mu proces sądowy o dezercję, jednak odzyskanie przez Polskę niepodległości zdezaktualizowało tę sprawę.

Niemalże od początku niepodległości bardzo aktywnie zaangażował się w działalność publicystyczną i polityczną. W latach 1918–1919 wydawał pismo „Liberum Veto” związane ideowo z ruchem narodowym (swoje artykuły zamieszczali m.in.

Jan Zamorski i Leszek Gembarszewski, którzy domagali się restytucji monarchii). Także niemal od początku II RP związał się z Narodową Demokracją, choć nigdy nie był w sposób formalny członkiem żadnej ekspozytury partyjnej ruchu narodowego. Należy także podkreślić, że przed 1918 r. był zwolennikiem Józefa Piłsudskiego, a w czasie swojej młodości bardzo nieprzychylnie wyrażał się na temat powstającego ruch wszechpolskiego. Jak podaje Jan Dobraczyński, długo nad biurkiem Adolfa Nowaczyńskiego wisiał portret Piłsudskiego. Jednak w okresie międzywojennym to właśnie Adolfowi Nowaczyńskiemu przypadło miano największego i najbardziej zacieklego wroga sanacji i samego marszałka, którego zwykł nazywać nie komendantem, lecz „komediantem” i „brygandierem”. Za swoją antysanacyjną postawę przyszło mu zapłacić utratą zdrowia. Trzykrotnie został dotkliwie pobity przez tzw. nieznanych sprawców. 23 grudnia 1927 r. porwany i wywieziony na Wolę, gdzie wskutek pobicia oślepił na lewe oko. Jednak najbardziej drastyczne zajście miało miejsce 26 maja 1931 r., kiedy

wianie legionów Piłsudskiego – skończył się dla niego wyrokiem skazującym. Ponadto toczył (lub jemu były wytaczane) procesy sądowe, m.in. z Marią Jehanne Wielopolską, Leonem Belmontem, Marianem Dąbrowskim.

Narodowe afiliacje

Adolf Nowaczyński w okresie międzywojennym zamieszczał swoje artykuły w czołowych pismach obozu narodowego, m.in. w „Myśli Narodowej”, z którą był związany od jej początków, tj. 1921 r., i w „Gazecie Warszawskiej”. Od 1935 r. na stałe związał się z założonym i kierowanym przez Stanisława Piaseckiego tygodnikiem „Prosto z Mostu”. Ponadto swoje teksty publikował też m.in. w „Rzeczpospolitej” (powiązanej z chadecją), poznańskiej „Tęczy”, w dzienniku „ABC”, „Albertinum”, wielkopolskim „Kurierze Poznańskim”, w „Kronice Polski i Świata”, „Merkuryszu Polskim Ordynaryjnym”. Mimo że podkreślał związki łączące go z Narodową Demokracją, często zaskakiwał swoich sojuszników politycznych, pisząc np. do lewicowych „Wiadomo-

DŁUGO NAD BIURKIEM ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO WISIAŁ PORTRET PIŁSUDSKIEGO. JEDNAK W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM TO WŁAŚNIE JEMU PRZYPADŁO MIANO NAJWIĘKSZEGO I NAJBARDZIEJ ZACIEKŁEGO WROGA SANACJI I SAMEGO MARSZAŁKA

w stołecznym Teatrze Polskim został pobity przez członka prosanacyjnego Legionu Młodych. W wyniku napaści uszkodzone oko musiało zostać usunięte. Powyższe drastyczne zdarzenia nie były jedynymi represjami, jakich doświadczył ze strony reżimu sanacyjnego. Za artykuł opublikowany w styczniu 1923 r. w „Myśli Narodowej”, w którym próbował dokonać rehabilitacji zabójcy prezydenta Gabriela Narutowicza – Eligiusza Niewiadomskiego, został wręcz aresztowany. W toku procesu sądowego tym razem – uniewinniony. Kolejny istotny proces miał miejsce w 1927 r., kiedy oskarżono go o zniesła-

ści Literackich”, w których był jednym z najlepiej opłacanych autorów, lub pozytywnie wypowiadając się na temat grupy poetyckiej Skamander w chwili jej powstania, czy później, gdy stał się jej nieprzejeżdżanym wrogiem.

W swojej publicystyce oraz utworach literackich bardzo ostro zwalczał rządy zarówno sanacyjne, jak i lewicowych literatów. Ponadto przestrzegał przed zagrożeniem niemieckim, krytykował środowisko artystyczne i polityczne związane z Krakowem, a przede wszystkim zasłynął jako jeden z najbardziej antyżydowskich publicystów tworzących w II RP. >>

>> Jednak błędne byłoby uznawanie, że problematyka żydowska determinowała całą jego twórczość. Adolf Nowaczyński w swojej aktywności publicznej podkreślał znaczenie dla pozycji międzynarodowej Polski dostępu do Morza Bałtyckiego, poza tym był zafascynowany Wielkopolską, którą uważał za wzór godny do naśladowania przez pozostałe regiony Polski. Jego artykuły o charakterze publicystycznym wyróżniały się zapalczywością, wojowniczością i niekiedy przesadą. Warto także zaznaczyć, że był znany z gromadzenia kompromitującej dokumentacji dotyczącej czołowych polityków II RP, która przybrała kształt legendarnego archiwum.

Artystyczna dusza

Był autorem kilkudziesięciu dramatów, komedii, wyborów utworów satyrycznych, pamfletów, esejów literackich. Do najważniejszych jego dzieł zalicza się m.in. „Małpie zwierciadło” (Lwów 1902), „Facecje sowizdrzalskie” (Kraków 1904), „Siedem dramatów jednoaktowych” (Lwów 1907), „Smocze gniazdo” (Warszawa 1905), „Car samozwaniec” (Warszawa 1908), „Wielki Fryderyk” (Warszawa 1910), „Cyganeria Warszawska” (Warszawa 1912), „Nowe Ateny” (Warszawa 1913), „Studia i szkice” (Lwów 1901), „Wczasy literackie” (Warszawa 1905), „Komendant Paryża” (Poznań 1926), „Wiosna narodów” (Warszawa 1929), „Cezar i Człowiek” (Warszawa 1937), „Wojna wojnie” (Warszawa 1927), „O żonach złych i dobrych” (Warszawa 1931), „Góry z piasku” (Warszawa 1922), „Warta nad Wartą” (Poznań 1937), „Poznaj Poznań” (Poznań 1939), „Plewy i perły” (Warszawa 1934), „Młodość Chopina” (Warszawa 1939), „Najpiękniejszy człowiek mojego pokolenia” (Poznań 1936). W inscenizacjach jego dramatów grał wybitny aktor teatralny Ludwik Solski. Adolf Nowaczyński jest uważany za mistrza stylizacji języka dramatów, komedii, który wiernie oddawał charakter danej epoki. Za swoich literackich mistrzów uważał Szekspira, Arystofanesa, Wyspiańskiego, Conrada, z którym prowadził stałą korespondencję i którego próbował sprowadzić do kraju. Nade wszystko jednak za wzór uważał francuskiego pisarza, pamflicistę będącego jednym z przywódców Akcji Francuskiej – Leona Daudeta. Działalność pisarska została uhonorowana w 1928 r. przyznaniem mu literackiej nagrody Kra-



Leon Wyczółkowski,
portret Adolfa Nowaczyńskiego
z 1906 r.

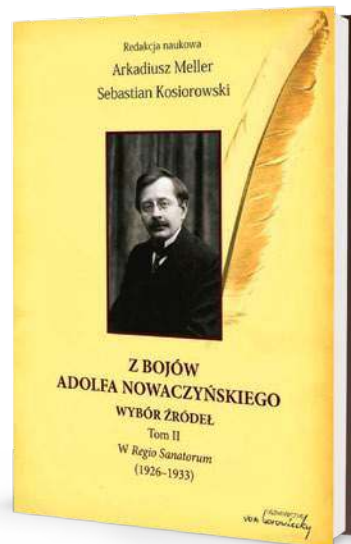
kowa. Z kolei w 1939 r. otrzymał nagrodę tygodnika „Prosto z Mostu”.

Od lat 30. datuje się jego odejście od indyferentyzmu religijnego ku katolicyzmowi. Po rozwodzie z pierwszą żoną Wiktorią Gottowt ożenił się z Heleną Boniecką – dla niej dokonał konwersji na protestantyzm. Po jej śmierci 30 grudnia 1938 r., która doprowadziła go do załamania nerwowego, dokonał rekonwersji na katolicyzm. Postanowił zamieszkać w klasztorze albertynów znajdującym się na warszawskiej Pradze, gdzie miał ostatecznie się znaleźć na jesieni 1939 r. Przeprowadzkę do klasztoru rozpoczął od przeniesienia swoich cennych zbiorów książkowych, do których należały zbiory ariańskie oraz kolekcja XVIII-wiecznych kalendarzy politycznych, które otrzymał od pisarza Józefa Weyssenhoffa. Wakacje 1939 r. spędził w Wojniłowie w województwie stanisławowskim u swojej córki Marii i zięcia Mariana Sigmunda. Pod koniec sierpnia 1939 r. znalazł się w Warszawie, gdzie prawdopodobnie przebywał do końca pierwszego tygodnia września. Następnie udał się z powrotem do Wojniłowa. Po inwazji Armii Czerwonej na Polskę został aresztowany przez Sowieców i osadzony w więzieniu w Kałuszu. Na skutek interwencji żydowskich studentów został zwolniony z więzienia i udał się do Lwowa, skąd wyjechał do Warszawy, gdzie znalazł się pod koniec października lub na początku listopada 1939 r. W czasie oblężenia Warszawy jego kamienica przy ul. Złotej uległa zniszczeniu, podobnie jak zbiory przekazane klasztorowi albertynów. Wobec powyższego zamieszkał u siostry swojej pierwszej żony, aktorki Heleny Sulimy. Niemieckie władze okupacyjne wprowadziły zakaz publikowania i sprzedawania wszystkich dzieł Adolfa Nowaczyńskiego.

Mimo że został pozbawiony środków do życia, angażował się w działalność charytatywną (przekonywał kupców, bankierów, przemysłowców do udzielania pomocy finansowej pisarzom znajdującym się w trudnej sytuacji materialnej) z ramienia Rady Głównej Opiekuńczej i Stołecznego Komitetu Samopomocy. W 1940 r. zaangażował się w organizację ośrodka pracy twórczej w Karolinie k. Podkowy Leśnej. 7 września 1940 r., na skutek działalności niemieckiego agenta zatrudnionego w ośrodku, został aresztowany przez gestapo razem z innymi aktorami, pisarzami i uwięziony na Pawiaku, skąd wypuszczono go po około dwóch tygodniach. Kolejny raz został aresztowany przez gestapo 5 września 1942 r. Ponownie osadzono go na Pawiaku, gdzie był brutalnie bity i poddany wyczerpującym przesłuchaniom. Po wyjściu z więzienia (według jednej z wersji swoje drugie uwolnienie zawdzięczał protekcji ze strony Władysława Studnickiego) wycofał się z aktywności publicznej. Świadkowie wspominają, że po wyjściu z Pawiaka załamał się psychicznie. Zaczął coraz częściej wyjeżdżać z Warszawy.

W czerwcu 1944 r. poważnie zachorował podczas pobytu w Milanówku, skąd Ludwik Solski i Władysław Zyglarski przewieźli go do Warszawy do szpitala św. Rocha, w którym zmarł 3 lipca 1944 r.

Autor wraz z Sebastianem Kosiorowskim dokonał wyboru i opracował pisma Adolfa Nowaczyńskiego zatytułowane „Z bojęw Adolfa Nowaczyńskiego”. Dotychczas ukazały się trzy tomy



Anioł Śmierci

Trudno o większy banał niż stwierdzenie, że świat byłby lepszy, gdyby 16 marca 1911 r. w bawarskim Günzburgu na świat nie przyszedł Josef Mengele.

Gdy zjadł już lody waniliowe w kantynie SS, lubił pójść na rampę kolejową obozu Auschwitz-Birkenau, by jednym ruchem ręki decydować o ludzkim życiu: jednego człowieka wysłać do komory gazowej, drugiemu dać fałszywą nadzieję, która w rzeczywistości okazywała się morderczą pracą w obozie śmierci, a często – rolą ofiary jego zbrodniczych eksperymentów.

Syn bogatych przedsiębiorców od dziecka opętany był chęcią dokonania czegoś, co da mu wiekopomne miejsce w światowych encyklopediach. Josef Mengele w pewien sposób spełnił swoje dziecięce marzenie – stał się najstraszniejszym symbolem niemieckiego okrucieństwa i hitlerowskiego przemysłu zagłady z czasów II wojny światowej.

Gerald Posner i John Ware w książce „Polowanie na Anioła Śmierci z Auschwitz” skrupulatnie opisują historię życia jednego z największych zbrodniarzy w historii ludzkości: od przyjścia na świat w sielankowej Bawarii czasów kajzerowskich po naturalną śmierć w Brazylii, gdzie po klęsce III Rzeszy znajdowali spokojną przystań hitlerowscy zbrodniarze.

Historia życia doktora Josefa Mengele jest opowieścią o jednym z największych wynaturzeń, które poznała ludzkość w swej historii. Pogwizdujący arie operowe, gdy tylko mógł, stawał na kolejowej rampie, by zabawiać się w boga. Robił to w obozie, w którym w jeden dzień Niemcy potrafili zabijać tysiącami więźniów III Rzeszy. Dzięki opisom Posnera i Ware’a poznajemy z jednej strony codzienne życie człowieka uznanego dziś za symbol nazistowskiego totalitaryzmu, a z drugiej odkrywamy przerażającą historię eksperymentów medycznych

lekarza nazywanego Anioł Śmierci, bo ludzkie życie nie miało dla niego znaczenia. Dzieci, kaleki i (najważniejsze dla niego) bliźnięta uczynił obiektem pseudonaukowych badań, by zdobyć przepustkę do historii medycyny.

Mengele nigdy nie stanął przed obliczem sprawiedliwości. Ważnym wątkiem książki amerykańskich dziennikarzy jest opis wieloletniego „polowania” na kata z Auschwitz, które jednak nie zakończyło się oczekiwanym sukcesem. Chodzący na wolności Mengele był i jest wyrzutem sumienia, ale i lekcją, która mówi nam, jaki staje się świat, gdy ludzie w pogoni za władzą i sławą na własne życzenie wyzują się elementarnych zasad człowieczeństwa. ■



John Ware, Gerald Posner, „Mengele. Polowanie na Anioła Śmierci z Auschwitz”, Znak Horyzont 2019

REKLAMA



„NIGDY NIE BĘDĘ MIAŁ DZIECI. PO TYM, CO ZROBIŁ MÓJ OJCIEC, NIE UWAŻAM, BY NALEŻAŁO PRZEDŁUŻAĆ LINIĘ FRANKÓW”

NORMAN FRANK

SYN HANSA FRANKA
RZEŹNIKA POLSKI

RAFAŁ
ŁATKA

W KRĘGU KLIO

Upadek Zachodu i jego przyczyny

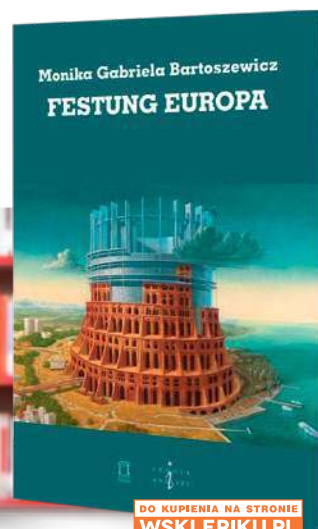
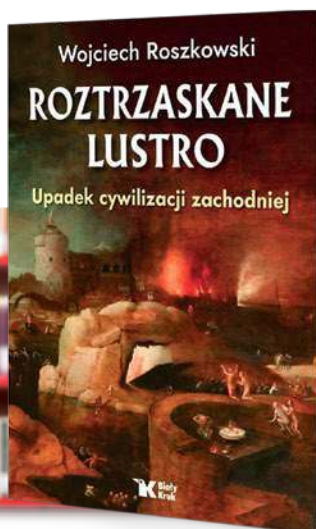
Wojciech Roszkowski, „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej”, Biały Kruk, Kraków 2019

Monika Gabriela Bartoszewicz, „Festung Europa”, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2018

Pogłębiający się kryzys cywilizacji zachodniej stał się od początku XX w. przedmiotem zwiększonego zainteresowania myślicieli politycznych, poczynając od słynnej pracy Oswalda Spenglera „Zmierzch Zachodu” (publikacja w latach 1918–1922). Na polskim rynku wydawniczym również ukazywały się książki wskazujące na systematyczny zmierzch Zachodu. Warto wspomnieć tu interesujące prace Ryszarda Legutki, który wskazywał na źródła tego zjawiska. Nikt jednak dotąd nie zmierzył się z problemem w tak całościowy sposób jak Wojciech Roszkowski w świeżo wydanym „Roztrzaskanym lustrze. Upadku cywilizacji zachodniej”. Autor w niezwykle sugestywny sposób oraz uwzględniając szeroki kontekst historyczny, wskazał przyczyny stopniowego upadku Zachodu, które mają oczywiście wielopłaszczyznowy charakter, ale zasadniczego źródła należy poszukiwać w zwycięstwie relatywizmu moralnego, nihilizmu oraz skutecznych prób lewicy mających na celu rozmycie tradycyjnych wartości i destrukcji rodziny jako podstawowej komórki społeczeństwa. Autor rozpoczął od nakreślenia źródła wielowiekowej potęgi Zachodu, która opierała się na trzech głównych filarach: filozofii greckiej, prawie rzymskim i moralności chrześcijańskiej. Pokazał stopniowy rozkład każdej z wymienionych wyżej podstaw cywilizacji zachodniej. Zwrócił przede wszystkim uwagę na uśmiercenie przez wpływowych filozofów europejskich (na czele z Nietzschem) Boga jako bytu absolutnego i wstawienie w jego miejsce człowieka, którego możliwości miały być niczym nieograniczone. Wspomniane koncepcje przyczyniły się również do zanegowania przez myśli-

cieli odwołujących się do idei oświecenia, możliwości ustalenia prawdy jako zgodności z rzeczywistością. Upadek wartości, ubóstwienie człowieka i powszechny relatywizm moralny doprowadziły do makabrycznych zbrodni w XX w., co znalazło swój pełny wyraz w dwóch wielkich totalitaryzmach poprzedniego stulecia: komunizmie i nazizmie. Miały one charakter nie tylko ideologii politycznych, ale również quasi-religii, w której Bóg został zastąpiony przez przywódców partyjnych: Lenina, Stalina i Hitlera. Obydwa negowały tradycyjny system wartości, odwoływały się do lewicowych haseł, w centrum stawiając i ubóstwiając partie. Na równi nienawidziły Kościoła katolickiego i propagowanych przez niego wartości moralnych. Kryzys Zachodu pogłębiła rewolucja obyczajowa lat 60. XX w., będąca buntem młodości w oparciu o odwołania do idei niczym nieskrępowanego liberalizmu obyczajowego oraz marksizmu kulturowego. Lewica odniosła nieprawdopodobny sukces, dokonując „marszu przez instytucje” postulowanego przez Antoniego Gramsciego, zdobywając stopniową kontrolę nad instytucjami nauki, kultury, sztuki, a przede wszystkim w mediach publicznych. Agresywność jej przedstawicieli oraz sprytna taktyka polegająca na stopniowym rozmiękczeniu wszelkich zasad moralnych poskutkowała zepchnięciem tradycyjnych wartości na margines społeczny. W większości krajów Zachodu doprowadziło to do wiary w nową ideologię ciągłego postępu opartego na niczym nieograniczonej samorealizacji jednostek, które nie muszą (a nawet nie powinny) krępować się

żadnymi zasadami moralnymi. Roszkowski wnikliwie opisał przebieg wspomnianych procesów. Wskazał na efekty, jakie przyniosło niemal powszechne zwy-



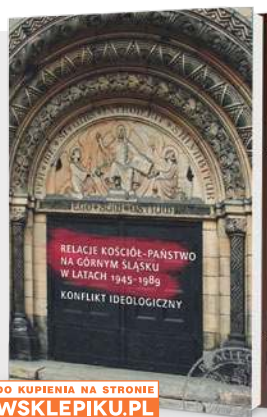
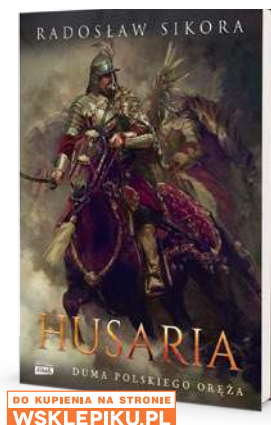
cięstwo marksizmu kulturowego i zniszczenie świata tradycyjnych wartości. Wśród nich na pierwszy plan wysuwa się funkcjonowanie cywilizacji śmierci, w której życie ludzkie ma niewielką wartość (szczególnie życie nienarodzone oraz osób starszych); gdzie panuje powszechny relatywizm, czego wyrazem jest stwierdzenie, że każdy światopogląd jest akceptowalny i ma taką samą wartość, np. że rodzinę może tworzyć również dwójka homoseksualistów. Słabości tego świata opierającego się na lewicowym liberalizmie widać najlepiej w obliczu kryzysu migracyjnego, który jak w soczewce pokazuje słabości cywilizacji, która zatraciła podstawy własnej tożsamości. Mimo wnikliwie opisanego szeregu negatywnych zjawisk Roszkowski wskazuje, że nie należy tracić nadziei, gdyż słabość projektu lewicowej rewolucji staje się dla części społeczeństw zachodnich widoczna, co daje nadzieję na zmianę i powrót do świata tradycyjnych norm i wartości.

Drugą niedawno wydaną pracą odnoszącą się do upadku Zachodu, po którą z pewnością warto sięgnąć, jest książka

Moniki Gabrieli Bartoszewskiej „Festung Europa”. Autorka wnikliwie analizuje powody słabości Unii Europejskiej, procesu oddalania się elit politycznych od społeczeństw, z jakich się wywodzą. Wskazuje także na bezradność Zachodu w obliczu najazdu tzw. uchodźców, a tak naprawdę muzułmańskich imigrantów ekonomicznych, którzy chcą wykorzystać słabość państw dobrobytu. Nie ukrywają oni, że chcą skolonizować Europę i zdobyć ją dla świata islamu. Lewicowe elity polityczne nie tylko temu nie przeciwdziałają, ale również okłamują własne wspólnoty narodowe, że najazd imigrantów jest zjawiskiem korzystnym. Prowadzi to do coraz dalej idącej cenzury medialnej, gdzie pokazywanie zbrodni i przestępstw popełnianych przez muzułmanów jest w Europie Zachodniej niemal zupełnie zakazane. Kluczową koncepcją, do której odwołuje się autorka, jest pojęcie bezpieczeństwa społecznego, które dobrze tłumaczy wzrastające rozminięcie się świata elit politycznych i społeczeństw w poszczególnych państwach Unii Europejskiej.

Radosław Sikora, „Husaria. Duma polskiego oręza”, Znak Horyzont, Kraków 2019

Radosław Sikora od wielu lat należy do niestrudzonych popularyzatorów wiedzy na temat husarii. Opublikował już na ten temat wiele opracowań o charakterze zarówno naukowym, jak i popularnym. Nowo wydana książka jest sprawnie napisaną syntezą, a równocześnie swoistym wprowadzeniem do wiedzy na temat tej wyjątkowej polskiej formacji zbrojnej. Autor opisuje w niej nie tylko dzieje husarii i jej wielkich zwycięstw, ale rozprawia się także z szeregiem mitów, które na jej temat funkcjonują. Najważniejszą tezę stawianą w książce jest wskazanie, iż zasadniczym źródłem tryumfów husarii było nie tyle jej unikatowe wyposażenie, ile czynnik ludzki odwołujący się do silnych motywacji. Wśród nich na pierwszy plan wysuwały się: patriotyzm, dążenie do zdobycia sławy, umiłowanie wolności i równości szlacheckiej oraz wiara w swe wyjątkowe zdolności. W momencie, gdy w XVIII w. nastąpił wśród szlachty schyłek wspomnianych wartości, nastąpił także upadek husarii. Autor oczywiście nie ogranicza się do nakreślenia powodów wysokiego morale tej formacji zbrojnej, ale szczegółowo omawia także jej uzbrojenie, sposób organizacji i zaplecze. Jednym z najciekawszych rozdziałów jest opis husarskich kopii i ich wyjątkowego charakteru na tle wyposażenia armii innych państw europejskich. Warto również szczegółowo zapoznać się z rozdziałem: „Jak pokonać husarza?”. Sikora rozprawia się w tym miejscu z mitem, że schyłek husarii nastąpił wraz z rozwojem broni palnej, precyzyjnie udowadniając, że husarze potrafili sobie świetnie radzić z ostrzałem z muszkietów.



„Relacje Kościół-państwo na Górnym Śląsku w latach 1945-1989. Konflikt ideologiczny”, red. Adam Dziurok, IPN, Warszawa-Katowice 2019

Dzieje Kościoła katolickiego w Polsce Ludowej cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem badaczy dziejów najnowszych naszego kraju. Ważnym ich elementem jest regionalistyka, która pozwala na przedstawienie lokalnej specyfiki zwalczania Kościoła przez komunistyczne władze i udzielenie odpowiedzi na pytanie: jak implementacja poleceń centralnych przebiegała na poziomie wojewódzkim? Górny Śląsk jest w tej perspektywie

niewątpliwie istotny, co pozwala nam dostrzec to pod redakcją Adama Dziuroka. Wynika to w zasadniczej mierze z charakteru miejscowej społeczności oraz konieczności odrębnej periodyzacji konfliktu państwa z Kościołem wynikającej m.in. z działalności lokalnej hierarchii kościelnej (by wspomnieć tylko o bp. Stanisławie Adamskim i bp. Herbercie Bednorzu).

REKLAMA



Książka, jakiej nie było

HUBERT MUSIAŁ

„Straszny dwór” okazuje się jednym z głównych pręseł polskiej kultury spinających z sobą I i II Rzeczpospolitą, Wolność z Niepodległością. Pierwsza była szlachecka, druga – wywalczona przez wszystkie stany i dla wszystkich stanów – demokratyczna. Po 123 latach niewoli nie stałaby się jednak ani niepodległa, ani demokratyczna, gdyby nie świadomość prawa do własnego państwa oraz wizje Sienkiewicza i Moniuszki właśnie, które tę świadomość nie tylko podtrzymały, ale i rozszerzyły.

W swojej najnowszej książce Jacek Kowalski stara się zrozumieć fenomen „Straszego dworu” w związku z całością dokonań kompozytora, jego zapleczem duchowym (czyli kulturą Wielkiego Księstwa Litewskiego), a także bieżącymi zdarzeniami. Łączy przy tym tło historyczne z kroniką wydarzeń tzw. rewolucji moralnej – najintensywniej toczącej się i przeżywanej w Warszawie, będącej przecież od

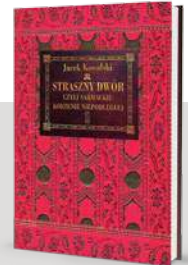
1858 r. miejscem zamieszkania Moniuszki – i w fascynujący sposób wydobywa ze „Straszego dworu” sensy szczególnie aktualne w początku lat 60. XIX w. W efekcie uzmysławia czytelnikom, że w obliczu klęski powstania styczniowego „Straszny dwór” pozwalał publiczności wskrzesić wspaniałość Polski przedrozbiorowej, a zarazem przypomnieć sobie wielkość moralną Polski przedpowstaniowej. To w części pierwszej.

Część druga to edycja „Straszego dworu”, „jakiej dotąd nie było”. Składa się bowiem na nią kilka przekazów opery: rękopis libretta pióra Chęcińskiego (i on jest podstawą), tekst libretta drukowany, partytura utworu, w którą Moniuszko własną ręką wpisywał słowa, oraz egzemplarze cenzorskie, które Kowalski odnalazł w archiwach Národní Divadlo w Pradze.

W „Strasznym Dworze», czyli sarmackich korzeniach Niepodległej” forma jest dostosowana do treści. Sarmatyzm stanowi dominantę interpretacji, którą Kowalski prowadzi w formie gawędy – dzięki podziałowi na niewielkie całości

atrakcyjnej dla szerokiego odbiorcy, a jednocześnie rzetelnie przygotowanej od strony źródłowej i pożytecznej również dla znawców zagadnienia. Autor zastrzega wprawdzie, że występuje z pozycji amatorskich, ale to skromność nie nieuzasadniona. Jego zmysł historyczny, głęboka wiedza na temat staropolszczyzny oraz ruchów insurekcyjnych XVIII, XIX i początków XX w., a wreszcie czynna znajomość literatury pieśniowej – eliminuje rutyniarstwo, poszerza horyzont obserwacji i umożliwia świeże spojrzenie. Pozwala to Jackowi Kowalskiemu dokonać niejednej obserwacji i sformułować niejedną myśl, których na próżno by szukać w opracowaniach przedmiotu. ■

Jacek Kowalski,
„Straszny Dwór»,
czyli sarmackie
korzenie Niepodległej”,
Państwowy Instytut
Wydawniczy



Historia śpiewająco



GABRIELA
SIEROCIŃSKA-
-DEC

Wydarzeniom i procesom historycznym bardzo często towarzyszyły pieśni. Wiele z nich powstało z potrzeby chwili, a przetrwały wieki. Bez problemu można by stworzyć kanon utworów związanych z wydarzeniami historycznymi.

O niektórych z nich opowiada książka „Co nam w duszy śpiewa” Marcina Brykczyńskiego. Stanowi ona część większego projektu „Niepodległe nutki”, którego głównym celem jest przybliżenie sylwetek ludzi kultury, kompozytorów, muzyków żyjących i tworzących w czasach zaborów. Projekt prezentuje ich twórczość i pokazuje, w jaki sposób wpływała ona na za-

chowanie polskiej tożsamości i wspierała dążenia niepodległościowe.

Książka zawiera siedem krótkich tekstów o pieśniach ważnych dla naszych dziejów i o ich autorach. Ułożone chronologicznie, zapoznają młodego czytelnika z historią powstania utworów, zawierają także ciekawostki, mało znane fakty z życia twórców. I tak oto dzięki lekturze dowiemy się m.in., skąd się wzięła do dziś śpiewana pieśń „Boże, coś Polskę” i jakie zmiany zachodziły w jej tekście oraz czym były spowodowane. Albo co wspólnego ma Henryk Sienkiewicz z „Warszawianką”.

Każda opowieść jest pretekstem do wprowadzenia ważnego tematu z czasów, kiedy Polski nie było na mapie. Wybrane utwory są różnorodne i mogą być wstępem do rozmowy z dzieckiem oraz wprowadzenia do historii Polski pod zaborami. Mamy więc utratę niepodległości i tęsk-

notę za ojczyzną. Dzięki „Warszawiance” pojawia się wątek powstań i walki z bronią w rękę. A rozdział o jednym z najważniejszych tekstów czasów zaborów – „Rocie” to opowieść o tym, jak starano się zachować polską tożsamość i walczyć o prawo do używania języka polskiego. Ostatni rozdział jest poświęcony „Mazurkowi Dąbrowskiego”, historii jego powstania i symbolicznie zamyka temat odzyskaniem przez Polskę wolności.

Przy każdym utworze, poza opowieścią, umieszczono tekst i zapis nutowy. Dzięki temu lektura nie może się skończyć niczym innym jak wspólnym rodzinnym albo szkolnym śpiewaniem.

Książkę można pobrać ze strony internetowej www.niepodleglenutki.pl. ■

Marcin Brykczyński,
„Co nam w duszy
śpiewa”, Fundacja
„Rodzice Szkoła”,
Warszawa 2018,
Wiek 6+



PANCERNI PO AMERYKAŃSKU

„FURIA” JEST KOLEJNYM FILMEM POWSTAŁYM NA FALI POPULARNOŚCI „SZEREGOWCA RYANA”. PODOBNIIE JAK W PRODUKCJI SPIELBERGA JEGO TWÓRCY CHCIELI UWYPUKLIĆ ZARÓWNO DRASTYCZNOŚĆ WOJNY, JAK I HEROIZM ŻOŁNIERZY. JEDNAKŻE WYSZŁO KINO ZNACZNIE BRUTALNIEJSZE, NIE TYLKO W OBRAZIE, ILE NA PŁASZCZYŹNIE PSYCHOLOGICZNEJ I JĘZYKOWEJ



**KAROL
MAZUR**

Bohaterów filmu w reżyserii Davida Ayera poznajemy w kwietniu 1945 r., kiedy losy wojny są już przesądzone. Po sforsowaniu Renu i Odry wojska alianckie weszły na terytorium III Rzeszy, zdobywając kolejne niemieckie miasta i miasteczka. Opór Niemców był skierowany przede wszystkim przeciwko wojskom sowieckim, które ruszyły całą masą w stronę Berlina, zostawiając za sobą spaloną ziemię po fali rabunków, mordów i gwałtów na cywilach. Zachodni alianci mieli nieco łatwiejsze zadanie. Ludność niemiecka i Wehrmacht prawie nie stawiali im oporu. Jedynie formacje Waffen SS próbowały powstrzymać nadchodzącego z zachodu wroga nagłymi kontratakami i twardą obroną w ufortyfikowanych miejscach. Przez cały film śledzimy losy załogi tytułowej „Furii”, czyli czołgu Sherman. Stanowią ją dowódca sierżant Don Collier „Wardaddy” (w tej roli znakomity Brad Pitt) oraz inni trzej zaprawieni walkami w Afryce i Normandii czołgiści. Dołącza do nich nowy żołnierz, szeregowy Norman, który ma zastąpić poległego w walce strzelca. Okazuje się, że jest on zupełnym żółtodziobem i musi nauczyć się wojaczki od podstaw. Doświadczeni podkomendni Colliera dbają,

aby szybko wszedł w tryby wojennej maszyny. Załoga „Furii” w ciągu całego filmu mierzy się ze wszystkimi niebezpieczeństwami i trudami walk w czołgu. Możemy zobaczyć, jak amerykańscy czołgiści walczą w polu i w mieście. Muszą zwłaszcza uważać na ukrytych esesmanów z pancerfaustami. Spotykają też na swojej drodze największe zagrożenie, czyli niemiecki czołg ciężki Tygrys. Wreszcie w finale filmu bronią się do końca przed nacierającymi niemieckimi żołnierzami w unieruchomionym shermanie.

„Furia” to naprawdę niezły dramat wojenny. Został nakręcony z dbałością o realia historyczne: czołgi Sherman i Tygrys grają prawdziwe maszyny, a nie podróbki, jak to bywało w dawnych filmach o tej tematyce. Co prawda znawcy przedmiotu wskazują kilka błędów w pokazaniu taktyki i sposobie działania broni pancernej (chodzi zwłaszcza o pojedynki sbermanów z tygrysem), ale nie mamy tutaj do czynienia z jakimiś znaczącymi przekłamaniami. Najbardziej w „Furii” został uwypuklony aspekt brutalności wojny. Możemy się o tym przekonać, oglądając sceny palenia się amerykańskich czołgistów po niemieckim ataku z pancerfaustem. Bohaterowie nie szczędzą też wulgaryzmów i przekleństw. Zabijają wroga z taką łatwością jak traperzy zwierzyne. Nie są też dżentelmenami w stosunku do podbitej ludności niemieckiej. W pewnym momencie można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia ze zdemoralizowaną hałastrą wyrzutków, a nie z bohaterskimi

żołnierzami. Obraz ten łągodzi nieco postać niedoświadczonego i wrażliwego Normana, którego czołgowi kompani próbują psychologicznymi i werbalnymi metodami skłonić do przyjęcia ich stylu bycia. Bardziej hartują go jednak kolejne potyczki z Niemcami niż wpływ kolegów.

Twórcy „Furii” nie zapomnieli wprowadzić o wymiarze heroicznym filmu, ale w porównaniu z „Szeregowcem Ryanem” wypada to mniej przekonująco. W większości scen bitewnych czołgiści walczą raczej o przetrwanie niż w imię jakichś szlachetnych ideałów. Dopiero w ostatniej potyczce postanawiają stawić opór do końca, aby powstrzymać jednostki SS przed atakiem z flanki na swoją dywizję, co na pewno przyczyniłoby się do poważnych strat własnych. Scena ta, choć znakomicie nakręcona, może jednakże budzić bardziej politowanie niż podziw. Bohaterstwo głównych postaci ociera się tu raczej o brawurę, jeśli nie głupotę. Pięciu czołgistów nie miało najmniejszych szans przeciw kilkusetosobowemu pododdziałowi SS, nawet jeśli chronił ich pancerz czołgu. Niemcy powinni zaś sobie poradzić z nimi znacznie szybciej, niż to zostało pokazane w filmie.

Niemniej „Furia” to film ważny i warto go zobaczyć nie tylko dlatego, że podtrzymuje pamięć o walce Amerykanów z niemieckim totalitaryzmem, ale także dlatego, że jego twórcy w ciekawy, choć nie do końca udany, sposób balansują między ukazaniem patosu i okrucieństwa wojny.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BRACIA MNIEJSI

CZY KOGUT, KTÓRY URATOWAŁ DUSZĘ ŚWIĘTEGO PIOTRA, JEST JUŻ W NIEBIE?



MAGDALENA
SZCZEPANIAK

Święty Roch był pewien, że wkroczy do raju, ale się omylił. Jako że przyszedł z psem, Piotr się wściekł i nie wpuścił obu. – Precz mi stąd! Nie ma dla psów miejsca w raju! Też mi opowiadanie, że ci życie uratował! Także mnie pewien kogut uratował duszę, skłaniając do skruchy. Czy jednak przywiódłem go ze sobą?

To bajka, ale prawda jest taka, że nie znajdziemy życiorysu żadnego świętego, który źle traktowałby jakiekolwiek zwierzę. Byli tacy zapamiętali, którzy wzdrzali się na myśl o zabiciu choćby muchy, mrówki czy komara. Koniec końców dogadywali się z Bożymi stworzeniami, które posłusznie nie wchodziły im w drogę. Przykładem św. Róża z Peru, która w ogrodzie swoich rodziców zbudowała sobie szopę i używała jej jako pustelni. Rozmawiała ze zwierzętami i z drzewami. Zaprzyjaźniła się też z komarami ze swojej chaty. Były ich całe chmary, ale jej nie gryzły. Rzuciły się za to na każdego, kto wchodził do ogrodowej pustelni.

„Byłoby śmiesznie mówić, że to anioł. Ale nie mogę też powiedzieć, że był to zwykły pies” – powiedział kiedyś z uśmiechem Jan Bosko o swoim Grigio. Zjawiał się, gdy kapłanowi groziło niebezpieczeństwo. Ksiądz był wielokrotnie atakowany przez swoich wrogów, grożono mu i napadano na niego. Grigio zawsze pojawiał się znienacka, nikt nie mógł ustalić, skąd pochodzi. Pewnego wieczoru święty musiał załatwić bardzo ważną sprawę. Przed domem drogę zatarasował mu Grigio, warcząc na kapłana, ilekroć ten próbował zrobić krok. W końcu ksiądz postanowił zostać w domu. Następnego dnia

święty dowiedział się, że na jego wizytę czekał mężczyzna uzbrojony w pistolet.

O św. Marcynie de Porres z Limy jego bracia dominikanie mówili: „Leczyć biedaków, kłaść ich do swojego łóżka to rozumiemy, ale co robią tutaj zwierzęta?”. A Marcin odpowiadał: „Kogut zламаł skrzydło, pies nogę, a kot ma urwany ogon i rany na brzuchu. Muszę je trochę podleczyć”. Dokarmiał też głodne myszy. Pewnego dnia rozmnożyło się ich takie mnóstwo w klasztorze, że przełożony zaczął mu czynić gorzkie wyrzuty. Wtedy Marcin wyprowadził myszy na zewnątrz, a one posłusznie poszły za nim i więcej do klasztoru nie powróciły. Nazywano go żartobliwie adwokatem myszy.

Św. Augustyn radził: „Kup sobie psa. To jedyny sposób, abyś mógł nabyć miłość za pieniądze”.



Św. Franciszek, najbardziej znany wśród świętych prekursor miłości do wszelkiego stworzenia, mówił: „Bądź człowiekiem wśród stworzeń, bratem między braćmi”. Kiedyś był świadkiem, jak wieśniak bił opornego osła, aż zwierzę go kopnęło i ugryzło. Franciszek klęknął wówczas przed osłem i przemówił do niego, a wieśniakowi wyjaśnił, że więcej można osiągnąć miłością niż kijem. Bracia świętego zdjęli z osła ciężary i sami je ponieśli.

Ks. Jan Twardowski wspominał, że nieraz wysłuchiwał spowiedzi, w których dorośli i dzieci spowiadali się z dręczenia zwierząt, bo zdawali sobie sprawę, że to grzech. I radził tym, którzy go popełnili, a czuli wyrzuty sumienia, przeproszenie czworonoga. „Znałem człowieka, który szczerze przeproszał swojego kota, i dobrze czynił. Jak przeproszać kota? Najprościej, mówiąc na przykład: »Przepraszam cię, kocie kochany!«”. Ksiądz poeta przypominał, że zwierzęta towarzysząc człowiekowi w codziennym trudzie, nie pozwalają nam cierpieć w samotności, wspierają też naszą wiarę. Pewien człowiek wyznał mu, że nauczył się modlić dzięki psu: był zaganiany, wiecznie brakowało mu czasu na modlitwę, aż w końcu kupił psa, z którym spacerował trzy razy dziennie i aby urozmaicić sobie spacer, odmawiał wówczas różaniec. „Przepraszamy więc zwierzęta i za wszystko im dziękujemy” – mówił.

Tą opowieścią, po dwóch latach, żegnam się z czytelnikami i z tą rubryką, dziękując za pomysł jej powstania wicenaczelnej Małgorzacie Żaryn. I wierszem się żegnam, ks. Jana Twardowskiego. ■

Popatrz na psa uwięzowanego
przed sklepem
o swym panu myśli
i rwie się do niego
na dwóch łapach czeka
pan dla niego podwórzem,
łąką, lasem, domem,
oczami za nim biegnie
i tęskni ogonem
pocałuj go w łapę
bo uczy jak na Boga czekać

FRANCUSKI DEWOITINE D.520
POD WZGLĘDEM PARAMETRÓW
TECHNICZNYCH BYŁ
JEDNYM Z NAJLEPSZYCH
MYŚLIWCÓW POCZĄTKU
II WOJNY ŚWIATOWEJ



Dewoitine D.520 posiadał dobre
uzbrojenie, był zwrotny, sylwetka
kadłuba miała aerodynamiczny profil

DEWOITINE D.520: MYŚLIWIEC ZAPOMNIANY, CHOĆ UDANY



KACPER
GROCHOCKI

Lata 30. XX w. były okresem dynamicznego rozwoju lotnictwa na całym świecie i zjawisko to nie ominęło również francuskich sił powietrznych. W 1934 r. dowództwo lotnictwa ogłosiło konkurs na nowe myśliwce dla swoich potrzeb. Emil Dewoitine, który dwa lata wcześniej opracował przyjęty do służby samolot D.500, zaproponował władzom wojskowym swój kolejny projekt. Model D.513 miał jednak gorsze osiągi od konkurencji i został odrzucony. Mimo to konstruktor się nie poddawał i samodzielnie przygotowywał nową maszynę o oznaczeniu D.520.

Wdrożony w 1937 r. program modernizacji i rozbudowy francuskiego lotnictwa również nie zakładał produkcji samolotu Dewoitina, nie znalazł on bowiem uznania w oczach konserwatywnej komisji technicznej. By jednak zainteresować wojsko swoim myśliwcem, projektant zapowiedział, że czas potrzebny do wybudowania egzemplarza D.520 będzie połowę krótszy od przyjętego do uzbrojenia modelu Morane-Saulnier MS.406 (co ostatecznie okazało się nieprawdą). Z pomocą legendarnego asa myśliwskiego I wojny światowej René Foncka konstruktorowi udało się przekonać ostatecznie lotni-

czych decydentów do poddania swojego samolotu próbom, które miały się rozpocząć pod koniec 1938 r.

Podczas testów prototypów D.520 okazał się szybszy od konkurencji, a nanoszone na bieżąco korekty techniczne tylko poprawiały osiągi maszyny. Po aneksji Czechosłowacji w marcu 1939 r. i zaostrzeniu się sytuacji politycznej w Europie rząd francuski złożył pierwsze zamówienie na 200 nowych myśliwców projektu Dewoitina. Z końcem października oblatany został pierwszy seryjny egzemplarz D.520, który był poddawany dalszym próbom i poprawkom. Ostatecznie do czasu agresji III Rzeszy na Francję wyprodukowano 228 maszyn, lecz do służby przyjęto 75 sztuk. Na pozostałych egzemplarzach przeprowadzano korekty techniczne mające na celu wyeliminowanie stwierdzonych wad samolotu (m.in. problemy z chłodzeniem silnika i uzbrojeniem).

Dewoitine D.520 był jednosilnikowym dolnopłatem o metalowej konstrukcji półskorupowej z chowanym podwoziem. Napęd stanowił rzędowy silnik o mocy 920 KM, który pozwalał na osiągnięcie prędkości maksymalnej rzędu niespełna 550 km/h. Zasięg wynosił 890 km, a maksymalny, przy zachowaniu odpowiedniej wysokości i prędkości, ok. 1500 km. Samolot uzbrojony był w działko kal. 20 mm strzelające przez wydrążony wał śmigła oraz 4 karabiny maszynowe kal. 7,9 mm umieszczone parami w skrzydłach.

Do kapitulacji Francji 25 czerwca 1940 r. zbudowano niespełna 440 sztuk

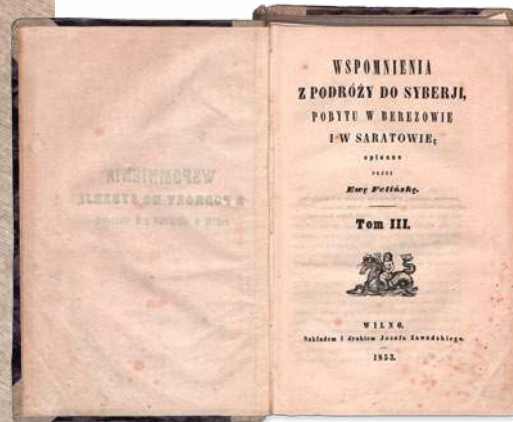
D.520, po czym ich produkcja została przerwana. Montaż wznowiono w sierpniu 1941 r. i trwał on do roku 1943, kiedy francuskie zakłady zostały przystosowane do produkcji niemieckich samolotów. Łącznie powstało niewiele ponad 900 sztuk wszystkich maszyn z „rodziny” D.520.

W czasie kampanii francuskiej piloci alianccy latający bojowo samolotami projektu Dewoitina zgłosili łącznie 108 pewnych strąceń oraz 39 prawdopodobnych. Wśród zestrzelonych był także niemiecki as myśliwski Werner Mölders, który później sam „przetestował” D.520 i uznał go za świetną maszynę. Oprócz Francuzów myśliwcem tym latali piloci polscy i czechosłowaccy.

Po 25 czerwca 1940 r. głównym użytkownikiem D.520 była Francja Vichy, lecz nie tylko. Niemcy wykorzystywali go w celach szkoleniowych, a Włosi wcielili zdobyte egzemplarze do swoich sił powietrznych. Kilkadziesiąt egzemplarzy zakupiła też w 1943 r. Bułgaria.

Dewoitine D.520 był udaną konstrukcją, o dużym potencjale rozwojowym. Myśliwiec posiadał dobre uzbrojenie, był zwrotny, a sylwetka kadłuba miała nowoczesny, aerodynamiczny profil. Rezerwy do wykorzystania pozostawały jeszcze w zakresie jednostki napędowej. Miał zadatki, by być samolotem tak zapamiętanym jak brytyjski Supermarine Spitfire czy niemiecki Messerschmitt Bf-109. Późne wejście do służby i szybka kapitulacja Francji przesądziły jednak o jego losie.

MATKA ŚWIĘTEGO



**KOBIETY, KTÓRE WCZEŚNIEJ PODĄŻAŁY
NA SYBERIĘ, CZYNIŁY TO W ŚLAD
ZA SWOIMI MĘŻAMI CZY NARZECZONYMI,
A NIE WSKUTEK WŁASNEJ DZIAŁALNOŚCI.
EWA FELIŃSKA BYŁA JEDNĄ Z PIERWSZYCH
„SAMODZIELNYCH” ZESŁANEK**



**JOANNA
PUCHALSKA**

Wkrótce po ślubie Ewa z Wendorffów i Gerard Felińscy osiedli w jego majątku na Wołyniu. On objął stanowisko deputata w sądzie, ona zajęła się gospodarstwem. Majątek ziemski był przedsiębiorstwem prawie samowystarczalnym. Ku-

powołało się wykwintniejszą garderobę, sól, gwoździe oraz korzenne przyprawy i opłacało się służbę. Cała reszta produkowana była na miejscu. Uprawy, hodowla, przetwórstwo owoców i warzyw, pasieka zaspokajały z nadwyżką własne potrzeby. Do tego na miejscu wyrabiano płótno, świece, miody pitne i gorzałkę. Gotówki mogło braknąć, ale nikt głodny nie chodził.

Tego wszystkiego należało w Wojuty nie dopilnować, a ponieważ mało było lekarzy i siedzieli przeważnie w miastach, dziedziczka musiała też otoczyć włościan podstawową opieką medyczną. Tak w ogóle to dobrze jej się układały

stosunki z chłopami. Chorym nosiła do chałup lekarstwa i jedzenie, zawsze miała jakieś drobiazgi albo przynajmniej dobre słowo dla dzieci. Traktowała poddanych z szacunkiem, ale też okazywała surowość w przypadku nadużyć.

Pięcioro dzieci i matka

Gdy już była na świecie piątka, Ewa namówiła męża, aby się zajął Wojutynem, a sama przeniosła się do pobliskiego Zboroszcza i tam, mając więcej spokoju, poświęciła się ich wychowaniu. Sama uczyła elementarza i katechizmu. Wieczorem rozmawiała z dziećmi i dokonywała z nimi rachunku sumienia z minionego dnia. Postępowanie ich traktowała w kategoriach cnoty i grzechu. Nie namawiała do współzawodnicstwa, nie grała na ambicjach ani poczuciu winy, ale odwoływała się do sumienia. Reprimendy były krótkie i konkretne. Karała w stosunku do stopnia winy, a nie straty materialnej. Szczere przyznanie się i skrucha stanowiły okoliczność łagodzącą. Była matką ciepłą i serdeczną, więc najmniejszy chłód z jej strony już stanowił karę. Czasem jednak uciekała się do różgi. Późniejszy święty dwakroć tego doświadczył i jako dorosły przyznał, że słusznie.

Krzemieniec i Konarski

Wkrótce po powstaniu listopadowym Gerard zmarł. Po jego śmierci dla lepszej edukacji dzieci, których była już szóstka, Ewa przeniosła się do Krzemieńca. Słynne liceum zostało wprawdzie zlikwidowane, ale byli dawni nauczyciele, którzy dawali lekcje.

Tu zetknęła się z Szymonem Konarskim, który organizował Stowarzyszenie Ludu Polskiego. Ideały szerzenia oświaty na wsi i porozumienia szlachty z włościanami były bliskie jej sercu, toteż wkrótce została przewodniczącą Towarzystwa

Kobiecego, powstałego wewnątrz Stowarzyszenia. Towarzystwo miało m.in. za zadanie rozbudzać w „niższych stanach” świadomość narodową. Ewa napisała program i statut, a poza tym prowadziła zagraniczny sekretariat Stowarzyszenia i przez jej ręce przechodziła niemal cała korespondencja Konarskiego, prowadzona m.in. z Joachimem Lelewalem.

Zdrada i zsyłka

Aresztowano ją 19 lipca 1838 r. na podstawie donosu. W Wilnie przesłuchiwał ją słynny z okrucieństwa prezes Komisji Śledczej książę Aleksy Trubecki. Nikogo nie wysypała, a wręcz jej zeznania uchroniły jej bliską krzemieniecką przyjaciółkę, Salomeę Słowacką Bécu, przed represjami. Faktom oczywistym nie zaprzeczała, poza tym wszędzie tam, gdzie się dało, odpowiadała „nie wiem”, „nie słyszałam”, „nie znam”.

Została skazana, choć dopiero w marcu 1863 r. car wprowadził sądy wojskowe dla „przestępców obojga płci”. Na podstawie zeznań innych osób, które w śledztwie były bardziej rozmowne, uznano ją za jedną z najbardziej czynnych uczestniczek spisku. Groziło jej zesłanie na Syberię z pozbawieniem praw stanu i konfiskatą majątku. Ostatecznie została wysłana „na wieczne zamieszkanie”, ale bez utraty szlachectwa, do Berezowa w guberni tobolskiej i skazana na konfiskatę majątku.

Kobiety, które wcześniej podążały na Syberię, czyniły to w ślad za swoimi mężami czy narzeczonymi, a nie wskutek własnej działalności. Ewa Felińska była jedną z pierwszych „samodzielnych” zesłańców.

Lata wygnania

Pierwsze dwa spędziła w Berezowie, kolejne trzy w Saratowie. Dzieci wzięli do siebie krewni i znajomi. Zygmunt Szczęśny, zwany Filem, trafił do Kijowa, Julek znalazł się w Żytomierzu, Paulina, Alojzy, Zosia i najmłodsza Wiktoria – na Litwie. Najstarsza Paulina koniecznie chciała przyjechać do matki, na co ta się nie zgodziła.

Na zesłaniu Ewa żyła korespondencją z dziećmi. Pisała do nich czułe i mądre listy. Z literackim zacięciem opisywała syberyjskie realia, ale przede wszystkim udzielała życiowych rad i w ten sposób po macierzyńsku czuwała nad nimi. Pau-

linie wkrótce oświadczył się znany malarz Adam Szemesz, uczeń Jana Rustema. Dziewczyna jednak nie chciała wyjść za mąż, dopóki matka jest na zesłaniu. Ewa napisała wtedy do niej: „Strzeż się dziecko drogie, aby fałszywe wyobrażenie o obowiązkach nie obłąkało cię czasem. Godzi się i należy zrobić ofiarę z własnego szczęścia, kiedy nią można zapewnić szczęście innym; lecz jeśli ta ofiara odbywa się nie tylko własnym, lecz jeszcze cudzym kosztem, bez żadnej dla nikogo korzyści, wówczas jest to nierozsądnem, jeśli nie występem marnotrawieniem moralnych zasobów, które Bóg na to złożył w sercach naszych, byśmy w zakresie woli jego świętej i siebie, i innych uszczęśliwiać mogli”.

Paulina wyszła więc za swego malarza, który niebawem został aresztowany za „przechowywanie niedozwolonych wierszy i obrazę Majestatu” i na rozkaz Mikołaja I wysłany do Chersonia pod dozór policyjny. Tam szczęśliwym zbiegiem okoliczności załatwił zgodę na wyjazd do Saratowa i w ten sposób Paulina w październiku 1842 r. padła w ramiona matki. Niestety mimo najczulszej matczynej opieki niebawem zmarła tuż po wydaniu na świat synka.

Piórem i lemieszem

Zaczęła pisać jeszcze przed śmiercią córki. Jej pierwszą publikacją, ogłoszoną w 1843 r. w „Tygodniku Petersburskim” pod pseudonimem Weneranda Kokosz, był artykuł „Myśli o postępie ludzkości”. Potem powstały trzy powieści obyczajowe, które ukazały się w druku po jej powrocie do kraju. Były to: „Hersylia”, „Pan Deputat”, „Siestrenica i ciotka”. Józef Ignacy Kraszewski wydrukował w swoim „Athenaeum” jej opowiadania „Wigilia Nowego Roku” i „Pomyłka”.

W 1844 r. przyszło ułaskawienie i zezwolenie na zamieszkanie w dowolnie wybranym miejscu. Wróciła do Wojutyna. Majątek należał prawnie do jej męża, więc nie został skonfiskowany. Teraz przeszedł na dzieci, które były małoletnie, więc mogła objąć w ich imieniu zarząd. Gdy tam przyjechała, jak pisze jej córka Zosia: „włościanie padali jej do nóg [...] Zdawało się, że dzieci rodzone nie mogłyby się bardziej cieszyć z jej powrotu, przyrzekali dopomagać. I tak matce, jak i mnie się zdawało, że nie ma lepszych od nich dzieci na świecie. A jednak wojutyńska gromada słynęła z pijań-

stwa, złodziejstwa i zuchwalstwa. Jedną tylko matkę naszą szanowali i słuchali, wierzyli w jej bezstronną sprawiedliwość, wierzyli, że przed nią jak przed Bogiem nic się nie ukryje”. Gorące przyjęcie spotkało też Ewę ze strony sąsiadów. We wszystkich dworach witano ją z szacunkiem i przyjaźnią.

Majątek był zaniedbany, nieodbudowany po pożarach. Na szczęście z pomocą przyszły niewielki spadek i honoraria autorskie. Powieści, ukazujące życie kresowej szlachty po upadku Polski, zbyt silnie akcentowały moralne niedostatki, by mogły się podobać przeciętnym czytelnikom, toteż sprzedawały się tak sobie mimo dobrych recenzji. Zarzucała beletrystykę i wzięła się za „Wspomnienia z podróży do Syberii, pobytu w Berezowie i Saratowie”. Te odniosły sukces. Miały kilka wydań, zostały przetłumaczone na angielski i na duński. Powodzeniem cieszyły się też „Pamiętniki z życia”. Sama autorka mało ceniła swoją twórczość, uważała ją za środek zarabiania na chleb: „Na sądzie bożym nie z tego sprawę zdam, jakie książki pisałam, ale jaką byłam córką, żoną, matką i obywatelką”.

Bieg ukończyła, wiary ustrzegła

Była głęboko religijna, posty zachowywała do późnego wieku. Do spowiedzi i komunii przystępowała we wszystkie święta, codziennie odmawiała różaniec. Tak jak dawniej opiekowała się poddanymi i do chorych kazała się budzić nawet w nocy.

Zosia i Wiktoria wyszły za mąż, Alojzy się ożenił, Fil i Julek zostali księżmi. Uważała, że dzieci powinny być samodzielne i nie chciała z nimi mieszkać, choć ją o to wszystkie błagały. W 1851 r. Alojzy objął Wojutyn i mogła wreszcie odpocząć. Zbudowała sobie wtedy mały domek w wojutyńskim ogrodzie za pieniądze zarobione na literaturze.

Spędziła w nim ostatnie lata życia i tu ukończyła piąty tom pamiętników. Domem i ogrodem zajmowała się jeszcze sześć tygodni przed śmiercią. 19 grudnia 1859 r. źle się poczuła i dzień później zmarła. Pochowano ją w Wigilię, w dzień jej imienin.

„Tak zakończyło się to życie, które było czyste jak brylant i jak brylant twarde” – napisze później jej syn, święty arcybiskup Warszawy Zygmunt Szczęśny Feliński.

JEŚĆ ALBO NIE JEŚĆ? OTO JEST PYTANIE


PO: STIGALENAS/SHUTTERSTOCK.COM

**KRZYSZTOF
ŻARYN**

WIELE OSÓB NIE PAMIĘTA LEPSZEGO SMAKU Z DZIECIŃSTWA NIŻ PORANNA KROMKA ŚWIEŻEGO PIECZYWA POSMAROWANA MASŁEM. TO WSPOMNIENIE, KOJARZONE PRZED W SZYBOKIM Z POBYTAMI NA WSI, MALUJE ROZMARZONY WYRAZ NA TWARZY NIEJEDNEGO Z NAS

W kraju, w którym jedną z głównych potraw narodowych jest kanapka, masło od zawsze królowało na stołach. Jego niepowtarzalny smak był jednak okupiony męką oraz słynną frazą „musisz skrobać, bo zmarznąte”, co nadszarpywało nerwy niejednego stoika. W związku z tym na rynku pojawiło się dużo zamienników łatwych w smarowaniu, które miały łączyć smak z prostotą wykonania. Zarówno masło, jak i margaryna mają swoich zwolenników i przeciwników. Jednym z argumentów obu grup są motywy zdrowotne, jakoby surowce te miały drastyczny wpływ na choroby krążeniowe. Jak wygląda historia obu tych wyrobów śniadaniowych oraz jak kształtują one stan naszych tętnic?

Dzieło przypadku

Niewątpliwie starszym bratem z omawianego rodzeństwa jest masło. Jego historia jest ściśle związana z zastoso-

waniem mleka w menu człowieka starożytnego. Mimo że udowodnienie bydlę datuje się na czas neolitu, nie oznacza to, że od razu rozkoszowano się mlecznymi wyrobami. W tamtym okresie bowiem głównym celem hodowli zwierząt było pozyskiwanie mięsa i skóry. Co i raz odkrywano poszczególne narzędzia, które przypuszczalnie mogły przodkom służyć do produkcji np. serów, jednak badacze nie potrafili jednoznacznie stwierdzić słuszności tych domniemań. Nie było wszakże wątpliwości co do znalezisk datowanych na ok. 5 tys. lat przed narodzeniem Chrystusa. Obiekty, takie jak figurki czy malowidła, ukazujące sceny dojenia bydlę nie mogły być niczym innym jak dowodem na zapoznanie się człowieka ze smakiem mleka. Gdy pojawiło się mleko, można było przystąpić do eksperymentów związanych z jego przetwórstwem.

Teorii co do sposobu wynalezienia masła jest kilka. Łączy je jednak wspólny mianownik – przypadek. Jedne źródła mówią, że masło powstało z serwatki jako wyrób uboczny z wytworzonego twarogu owczego. Inne, że odkrycia nowego

produktu dokonał pewien pasterz, który zostawił woreczek z mlekiem na pastwisku, mleko sfermentowało i spowodowało oddzielenie się tłuszczu, czyli masła. Najbardziej urzekająca jest jednak historia, w której główną rolę odegrał pewien bliżej nieznany jeździec. Krążąc po bezdrożach, przemierzając niezliczone kilometry na koniu, trzymał przy siodle pojemnik z napojem, który miał dodawać mu krzepy. Gdy podróżnik, po długiej jeździe chciał się posilić tykiem tłustego mleka, okazało się, że w wytrzęsionym bukłaku znalazł tylko tłuszcz i gęsty biały maziowy płyn. Ów jeździec nie wiedział, że wynalazł właśnie dwa przysmaki naszych czasów – masło i maślaninę.

Północ kontra Południe

Patrząc na pochodzenie i sposób odkrycia masła, mamy skojarzenia z ludami barbarzyńskimi. To właśnie jedno z takich plemion przyniosło ten wyrób do Europy – byli to Scytowie. Dotarłszy na południe kontynentu, pokazali ten produkt starożytnym Grekom, a potem

Rzymianom. Jednak ci, znani z miłości do owoców drzewa oliwnego, pogardzili barbarzyńskim przysmakiem i nie byli skłonni do zrezygnowania z tradycyjnej kuchni. Z drugiej strony terenów europejskich – od północy osiedlili się dwa inne plemiona, na razie pogańskie – Celowie i Normanowie. Im oswojenie się z tłuszczem mlecznym powiodło się lepiej. Potwierdzeniem mogą być dzisiejsze różnice w nawykach żywieniowych południowców oraz ludzi z Północy. Wielka Brytania i Skandynawia słyną z dużego spożycia masła, a tereny śródziemnomorskie nie mogą się obyć bez dodatków oliwy do potraw.

Postne czy sute?

Proces wprowadzenia na stałe masła do menu był długi. W średniowieczu nie było dużego boomu na ten produkt. Jedynie na terenach Francji zyskał on popularność. Między innymi słynne ciasto francuskie, które znane było już w wiekach średnich, w dużej mierze produkowane jest z dodatkiem masła, którego jakość decyduje o jakości wyrobu. Na stałe ten tłuszcz mleczny zagościł na europejskich stołach w XVIII w. i od razu wprowadził spore zamieszanie. Problemem był jego status związany z przestrzeganiem postu. Długo władze kościelne deliberowały nad klasyfikacją tego surowca: uznać go za dozwolony czy zakazany ze względu na zawartość tłuszczu zwierzęcego. Ostatecznie został określony jako suty i w okresie postu wyeliminowany z jadłospisu. Decyzja ta spotkała się ze sporą dezaprobatą Francuzów zakochanych od lat w tym produkcie.

Prototyp margaryny

Właśnie w państwie francuskim narodziła się dużo młodsza siostra masła – margaryna. Za czasów panowania Napoleona III Bonapartego kraj ten był uwikłany w wiele wojen, zwłaszcza ze wschodnim sąsiadem – Niemcami. Cesarz zlecił swym naukowcom opracowanie receptury produktu, który zapewnić miał siłę żołnierzom, a przy okazji nie psuć się tak szybko w warunkach bitewnych. Wykonawcą tegoż zlecenia okazał się aptekarz, niejaki Hyppolite Mège-Mouriès. Jego mazidło

składało się z łoju wołowego, zmielonych wymion krowich oraz wody, co nie czyniło go najbardziej apetycznym produktem pod słońcem. Nazwał je „margarine” od koloru, jaki powstał. Opatentował swój wynalazek w nieco późniejszym czasie – w 1872 r. Mimo to rok wcześniej otworzyła się pierwsza fabryka tego wyrobu na terenie Holandii w Oss, gdzie funkcjonuje do dziś. Tam też powstały inne fabryki, które pod koniec XIX w. utworzyły Unię Margaryny, łącząc swe siły m.in. w procesie sprowadzania tłuszczu wołowego z Argentyny. O dziwo, holenderscy potentaci szybko znaleźli konkurencję na rynku światowym. Najbardziej zaskakujący był fakt, że było to przedsiębiorstwo braci Lever produkujące mydło. Firmy te połączyły swe siły w 1930 r., kiedy powstała korporacja Unilever, która dzisiaj jest wielką firmą produkującą artykuły spożywcze, higieniczne i wiele innych.

Mieszanina tłuszczu i hipokryzji

Wraz z rozwojem techniki zaczęła się również zmieniać forma produkcji margaryny. Nowa firma powoli przestała korzystać z tłuszczów zwierzęcych i przechodzić na roślinne. Wtedy też pojawiły się metody utwardzania tych tłuszczów – m.in. przez uwodornianie – co powodowało powstawanie najgorszych produktów ubocznych tego procesu, a mianowicie izomerów trans kwasów tłuszczowych. Pierwszymi, którzy zorientowali się, że margaryna

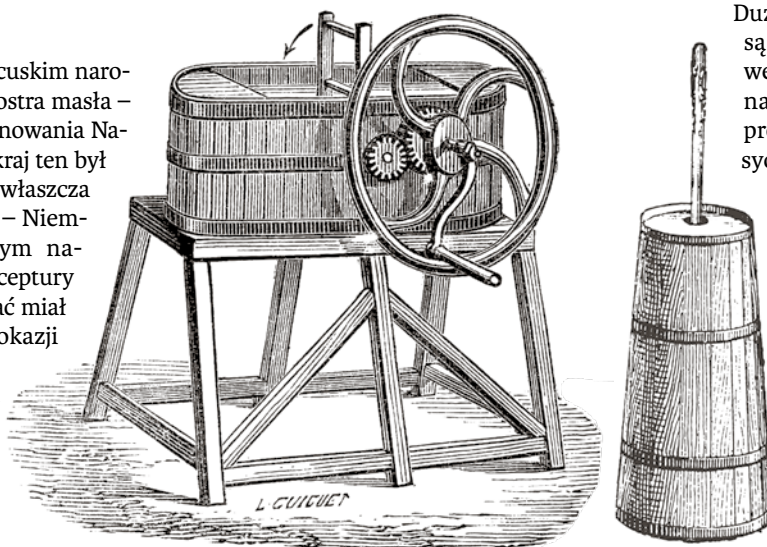
nie jest zdrowym produktem, byli Amerykanie, którzy zakazali jej sprzedaży w kilku stanach. Ich sceptycyzm sięgał jeszcze 1985 r., kiedy jeden z kongresmenów określił margarynę jako mieszaninę tłuszczu i hipokryzji. Mimo to ogólna reklama i aktualna wówczas wiedza pozwoliły przekonać społeczeństwo, że ten rodzaj smarowidła jest zdrowszy i lepszy od odstawianego i owianego złą sławą masła. Ten stan świadomości obowiązywał dość długo. Dopiero niedawno nasza wiedza znacznie się poprawiła i jesteśmy świadomi, że uwodornianie jest procesem bardzo dla nas niezdrowym i powoduje wytworzenie bardzo złego składnika żywieniowego, jakim jest tłuszcz trans.

Czy to oznacza, że kategorycznie możemy stwierdzić, iż margaryna jest niezdrowa i należy zacząć stosować masło? Nie do końca. Wraz z biegiem lat i rozwojem techniki oraz wiedzy naukowcy wymyślili nowe sposoby na otrzymywanie smarowideł masłopodobnych. Między innymi metoda przeestryfikowania pozwala otrzymać tłuszcz roślinny o twardszej konsystencji, nie wytwarzając przy tym niezdrowych substancji w produkcie. Brak tłuszczu trans oznacza, że spada ryzyko powstawania miażdżycy, nowotworów czy stanów zapalnych organizmu. Nie oznacza to oczywiście, że powinniśmy nagminnie stosować ten produkt na co dzień. Co więcej, dalej istnieje wiele margaryn, które są dla nas szkodliwe, takie jak miksy tłuszczów roślinnych i masła oraz margaryny twarde kostkowe.

Zalecenie powściągliwości dotyczy również masła. Ani jedno, ani drugie nie jest najlepszym wyborem, jeżeli chodzi o dostarczenie tłuszczu w naszej diecie.

Dużo lepszymi źródłami tłuszczu są: oleje roślinne (oliwa z oliwek, olej rzepakowy) orzechy, nasiona, awokado, oliwki. To produkty bogate w jednonienasycone oraz wielonienasycone kwasy tłuszczowe, które mają bardzo pozytywny wpływ na układ krążenia. Stosując zamiennie te źródła tłuszczu, dużą ilość błonnika w diecie oraz spożywając 1–2 porcje ryb w tygodniu, możemy spokojnie pozwolić sobie co jakiś czas na pajdę wiejskiego chleba z masłem lub margaryną (według uznania).

Maselnice do ręcznego wytwarzania masła z XIX w.



SZTAMBUCH PANCERNIAKA



Archiwum
Akt
Nowych

WSPOMNIENIA ZE SZLAKU BOJOWEGO,
PRZEDSTAWIONE ZA POMOCĄ
RÓŻNYCH TECHNIK ZDOBIENIA, TO
PIĘKNE I CENNE ŹRÓDŁO DO POZNANIA
LOSÓW MIECZYŚŁAWA BIAŁKIEWICZA,
OFICERA 4. PUŁKU PANCERNEGO
„SKORPION”, KTÓRY WALCZYŁ M.IN.
O MONTE CASSINO I BOLONIĘ



KATARZYNA
WYSOCZYŃSKA

Mieczysław Białkiewicz we wrześniu 1939 r. był żołnierzem wojsk pancernych w Baonie Czołgów 7TP. Jego szlak wojenny wiodł poprzez Węgry, Jugosławię na Środkowy i Bliski Wschód, gdzie w ramach Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich walczył o Tobruk. W kampanii włoskiej jako dowódca plutonu czołgów w 4. Pułku Pancernym „Skorpion” walczył w bitwie o Monte Cassino. Za swoją postawę, a zwłaszcza za uratowanie załogi rozbitego czołgu oraz wzięcie do niewoli 26 niemieckich grenadierów, został odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Autor przy tworzeniu tego wyjątkowego pamiątkownika stosował różne techniki zdobienia. Po wojnie ukończył Szkołę Sztuk Pięknych w Londynie i był założycielem znanej w całej Europie firmy jubilerskiej Sphinx Jewels. Opracowanie nowej technologii odlewu metalu przyniosło mu sławę i uznanie branży jubilerskiej – w 1984 r. został przyjęty do londyńskiego cechu złotników.

Jubilerstwo to niejedyna jego pasja. Był człowiekiem o wielu zainteresowaniach;



zajmował się rysunkiem, malarstwem i rzeźbiarstwem. Był również ekspertem w zakresie falerystyki i uzbrojenia z okresu II wojny światowej, a także kolekcjonerem militariów. Kolejną paszczyną jego zainteresowań były sport: narciarstwo, lotnictwo szybowcowe oraz motoryzacja. Na tym polu również odnosił sukcesy, bo czterokrotnie zdobył mistrzostwo Wielkiej Brytanii w lotnictwie sportowym.

Pasje te realizował w towarzystwie i dzięki wsparciu swojej małżonki Aleksandry, którą poznał na Bliskim Wschodzie i poślubił w 1945 r. Pani Aleksandra



w ramach PWSK obsługiwała radiostację Sztabu 2. Korpusu Polskiego, a po wojnie była archiwistką w Instytucie Polskim im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, gdzie pracowała nad dokumentacją katyńską oraz spisami osób deportowanych.

Razem na uchodźstwie służyli Polsce. Udzielali się czynnie w organizacjach niepodległościowych, kombatanckich i społecznych. Pani Aleksandra wspierała Zjednoczenie Polek oraz Fundację Sue Ryder. Mieczysław Białkiewicz był prezesem Koła 4. Pułku Pancernego „Skorpion” oraz Związku 2. Warszawskiej Dywizji Pancernej. Działał również w Polskim Klubie Motorowym w Anglii oraz w Jaguar Club, którego był założycielem. W latach 80. Prezydent RP na Uchodźstwie Ryszard Kaczorowski powołał go na członka kapituły Orderu Polonia Restituta oraz Orderu Wojennego Virtuti Militari.

Prezentowany sztambuch jest częścią bardzo bogatej kolekcji Mieczysława i Aleksandry Białkiewiczów, przekazanej kilka lat temu do Archiwum Akt Nowych. Składają się na nią mapy, fotografie oraz cenna dokumentacja związana z losami Polaków na frontach II wojny światowej oraz życia polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.



PIOTR
NIEDZIELA

W Narodowym Archiwum Cyfrowym, wśród wielu innych fotografii dotyczących Funduszu Obrony Narodowej, znajduje się zdjęcie ukazujące przekazanie wojsku 13 samochodów sanitarnych Fiat 621, ufundowanych przez Związek Spółdzielni Spożywców RP „Społem”. Podczas uroczystości 4 czerwca 1939 r. na placu marsz. Piłsudskiego w Warszawie odbyło się poświęcenie ciężarówek.



Plac marszałka Piłsudskiego w Warszawie, 4 czerwca 1939 r.: poświęcenie 13 samochodów sanitarnych Fiat 621

DAR SPÓŁDZIELCÓW „SPOŁEM” NA RZECZ MOTORYZACJI WOJSKA POLSKIEGO W 1939 r.

Fiat 621 był podstawową ciężarówką Wojska Polskiego w latach 30. Jego produkcja stanowiła udany rezultat pierwszego etapu motoryzacji armii. Z uwagi na brak krajowych firm motoryzacyjnych władze postanowiły oprzeć się na licencji zagranicznej. Wybór padł na słabo wówczas znanego w Polsce włoskiego producenta. Umowę licencyjną podpisano w 1932 r. W celu produkcji różnych modeli Fiata w Warszawie przy ul. Terespolskiej wybudowano w latach 1933–1934 nowoczesną Fabrykę Samochodów Osobowych i Półciężarowych.

Fiat 621 ze względu na prostą konstrukcję i dużą trwałość cieszył się dobrą opinią we Włoszech. Jednak w polskich warunkach jego wytrzymałość okazała się niewystarczająca. W samochodach produkowanych w Warszawie zastosowano zmiany, które miały na celu ich wzmocnienie. W latach 1935–1939 wyprodukowano ok. 13 tys. podwozi ciężarówek, z których finalnie powstawały samochody o różnych zastosowaniach. Pod koniec tego okresu już tylko 10 proc. części pochodziło z zagranicy, reszta była krajowej produkcji.

Odrodzone państwo polskie było zagrożone przez dwóch silnych i wrogich sąsiadów: Związek Sowiecki i Niemcy. W latach 30., szczególnie po dojściu do władzy Hitlera, to niebezpieczeństwo

wzrastało. Polskie władze polityczne i wojskowe miały pełną świadomość zagrożenia, m.in. dzięki świetnie działającemu wywiadowi. Zresztą jest faktem, że II RP miała silną armię jak na ówczesne standardy. Wojsko było traktowane priorytetowo. Państwo wydawało znaczną część swojego dochodu na obronność. Jednak wielka dysproporcja w potencjałach gospodarczych powodowała, że Polska została znacznie zdystansowana w kwestii modernizacji wojska przez Niemcy i ZSRS.

Władze II RP szukały sposobów na wzmoczenie wysiłku obronnego. W 1936 r. powołano Fundusz Obrony Narodowej. Nie jest znana dokładna suma, jaką zgromadził FON. Według szacunków był to rząd wielkości ok. 1 mld zł. Większość zgromadzonej sumy uzyskano jako pożyczki zagraniczne i różne środki od państwa.

Jednak także ofiarność społeczeństwa na rzecz FON była olbrzymia i bezprecedensowa. Przewyższyła znacznie oczekiwania władz. Ubóstwo i życie całych rodzin tylko ze skromnych zarobków ojców były powszechne w II RP. A przecież te rzesze społeczne masowo łożyły na FON, nie tylko bogaci.

Zbiórka na FON odbywała się w niekorzystnych warunkach ekonomicz-

nych i politycznych. Prowadzono ją w kraju biednym, dopiero podnoszącym się z katastrofy wielkiego kryzysu gospodarczego. Władza polityczna miała charakter autorytarny. Różne grupy społeczne miały powody, aby jej nie popierać, a mimo to powszechnie wsparły FON. Jaki z tego wniosek? To wcale nie gospodarka ani dobra koniunktura są najważniejsze. Również to samo można powiedzieć o rozkładzie poparcia społecznego dla poszczególnych partii politycznych. Najważniejsze są autentyczny patriotyzm narodu i jego gotowość do poświęceń dla własnego państwa.

Można zadać pytanie: po co to wszystko? Mimo olbrzymiego wysiłku na rzecz wzmocnienia Wojska Polskiego i tak przegrano wojnę w 1939 r. Jednak starania nie poszły na marne. Udało się przygotować naród do walki. Nie można było wygrać samotnej wojny z Niemcami i ZSRS. Jednak mimo przegranej Wojsko Polskie walczyło nadal na różnych frontach i w różnych formach aż po ostatnie oddziały żołnierzy wyklętych. Mobilizacja społeczeństwa do obrony umożliwiła przetrwanie II wojny światowej. Natomiast utrwalenie postawy walki o niepodległość pozwoliło na przeczekanie okresu władzy komunistycznej.

WIELKANOC 1945

W 1945 r. NIEDZIELA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO WYPADŁA 1 KWIETNIA. WIOSNA NIOSŁA KONIEC WOJNY. W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH, JENIECKICH LUB NA PRZYMUSOWYCH ROBOTACH BUDZIŁY SIĘ RADOŚĆ I NADZIEJA, CZEGO ŚLAD ODNAJDUJEMY W RELACJACH



**MICHAŁ
TOMASZ
WÓJCIUK**

W

iele obozów jenieckich w obliczu zbliżania się frontu było w trakcie ewakuacji. Niemcy

pędzili jeńców pieszo lub przewozili koleją. Ewakuowanym ze stalagu Lamsdorf (Łąbinowice na Śląsku Opolskim) Polakom w miejscowości Neustadt Niemcy pozwolili na uczestnictwo we mszy św. Uroczysty nastrój zmąciła tragedia. Kolumnę ostrzelały samoloty alianckie. W Bawarii, jak wspominał st. strz. Lech Kożuchowski „Leszek”, na mszy św. jeńcy powstańcy razem ze strażnikami Ślązakami śpiewali „Boże, coś Polskę”.

Produktów do świątecznej „biesiady” dostarczały paczki od rodzin i instytucji charytatywnych. Łączniczka Anna Lehr-Spławińska „Hanka” (w powstaniu – Faranowska), jeniec stalagu Sandbostel, wspominała, że polscy żołnierze z różnych obozów zrzekli się swoich paczek na rzecz kobiet. Były w nich: smalec, kakao, czekolada, papierosy, kawa. Kawę i papierosy wymieniano na artykuły spożywcze. Czasem sami Niemcy dawali różne produkty. W stalagu Altengraben ppor. Józef Krzeski „Słuchawka” z Żoliborza dostał świąteczny pakunek w podzięcie za... wyrwanie zęba żonie komendanta obozu. Ucztę jeniecką w Blankenburgu wspominał kpr. pchor. Zdzisław Skwara „Zych” z Batalionu „Gozdawa”: „Mieliliśmy jajka, nawet pół litra też się znalazło. Wielkanoc mieliśmy wspaniałą”.

W miejscowości Bad Berka polscy jeńcy ucztowali przy stołach na dworze. W niemieckim obozie koncentracyjnym dla kobiet Ravensbrück uczestniczki powstania na Wielkanoc dostały po trzy kartofle w mundurkach i po łyżce stynke – drobnych rybek.

Przymusowa pracownica w fabryce broni w Altengraben sanitariuszka Danuta Zdziarska „Danka” (po mężu Wicha) z Batalionu „Gozdawa” ulepiła z mleka w proszku kłęzącego baranka, brązowe rogi zrobiła przez zamoczenie w kakao. Z produktów znalezionych w paczce PCK zrobiła także brązowego zajączka. Wielkanoc wspominała jako czas tańców i radości. W stalagu Oberlangen nieznaną uczestniczką powstania „Małgosia” wycięła z amerykańskiej puszk po grejpfrutach kurczaczka i przymocowała do zakrętki. Podarowała go uczestniczce walk na Żoliborzu, Zofii Siemaszko „Hance”, po wojnie znanej artystce.



Ozdoba wielkanocna wykonana w stalagu Oberlangen: kurczak wycięty z blachy amerykańskiej puszk po grejpfrutach

Wspomnienie świątecznych obrzędów odnajdujemy w relacjach ze stalagu Zeithain, w którym powstał polski szpital jeniecki. Przebywali w nim oprócz lekarzy i personelu medycznego niezdolni do pracy ranni oraz chorzy. Sanitariuszka Anna Świderkówna, po wojnie wybitny historyk chrześcijańskiego antyku, wspominała obozowego śmigusa dyngusa. Podobno zainspirowany nim jeniec z Italii wylał sobie kubeł wody na głowę. Z kolei sanitariusz kpr. pchor. Stanisław Iwankiewicz „Jacek” napisał, że Niemcy, widząc biegających jeńców z wiadrami wody, myśleli, że wybuchł pożar...

Dzięki fotografiom absolwenta medycyny ppor. Czesława Gwela „Orłósia”, współorganizatora szpitala w Zeithain i młodszego ordynatora placówki, możemy się przyjrzeć wielkanocnym przygotowaniom i ceremonii obnoszenia gaika. Na zdjęciach widać kolorowo ubrane sanitariuszki: Stanisławę Mikucką „Sowę”, Krynę Kunowską „Kunę”, Barbarę Lewandowską „Wirtę” oraz Irenę Gabler „Kucię”. Uwagę zwraca charakterystyczny blaszany termos na stole, kilka miseczek i stoików, naczynie z ustrojonymi zielonymi gałązkami. Jedną z uczestniczek obrzędu trzyma pleciony koszyk z wiktuałami. Gaikiem była zielona gałązka przybrana kolorowymi wstążkami i różnymi ozdobami obnoszona w wielkanocny poniedziałek po polskich wsiach jako symbol początku wiosny i odnawiania się życia. Jeniecki gaik w Zeithain został poniesiony przy dużym wietrze najszerzą obozową aleją.

Trzy tygodnie później w obawie przed zbliżającą się Armią Czerwoną niemiecka załoga uciekła z obozu.

Wielkanocne przygotowania w obozie Zeithain: naczynie z zielonymi gałązkami i pleciony koszyk z wiktuałami



Materiał przygotowany przez zespół Muzeum Powstania Warszawskiego



Muzeum Powstania Warszawskiego

GÓRNA PÓŁKA

Lizbona

ANTONI
DUDEK

„Szczęśliwy ten kraj, którego Syberia jest Madera”. Te słowa miał wypowiedzieć w 1930 r. marszałek Józef Piłsudski po trzymiesięcznym pobycie na tej wiecznie zielonej wyspie, gdzie wystali go lekarze dla poratowania zdrowia.

Jednak to nie ta urokliwa wyspa, ale stolica Portugalii miała się stać niespełna dekadę później jednym z najważniejszych ośrodków skupiających Polaków zmuszonych do ucieczki z okupowanego kraju. O ile losy polskiej emigracji politycznej we Francji, Wielkiej Brytanii czy USA doczekały się już szeregu opracowań,

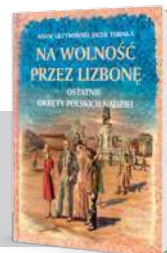
o tyle dzieje tych, którzy trafili w czasie II wojny światowej do Portugalii, interesowały dotąd historyków tylko incydentalnie. Lukę tę z powodzeniem wypełnia obszerna książka Adama Grzybowskiego i Jacka Tebinki.

Portugalia, dzięki swemu położeniu na zachodnich krańcach Europy, uniknęła udziału w II wojnie światowej, ale nie znaczy to, że rządzący nią od 1932 r. autorytarnie Antonio Salazar nie musiał lawirować między walczącymi mocarstwami. Na szczęście dla Polaków, w konsekwencji tradycyjnych, ścisłych relacji brytyjsko-portugalskich, a także licznych angielskich inwestycji w tym kraju, Salazar wołał wspierać aliantów. Sam zresztą również dobrze na tym wyszedł, bo gdyby przyłączył się do Hitlera i Mussoliniego, to najpewniej podzieliłby ich los. Wprawdzie Salazar odmówił formalnego uznania rządu RP na uchodźstwie, ale równocześnie Portugalczycy nie tylko tolerowali istnienie polskiej placówki dyplomatycznej w Lizbonie, ale w wielu sprawach okazali swoją przychylność kierującemu nią Karolowi Dubicz-Pentherowi. Nie prze-

szkadzało to portugalskiemu rządowi w rozwijaniu handlu z III Rzeszą, przy czym sprzedawano jej towary niemal wyłącznie za złoto. W konsekwencji portugalskie rezerwy tego kruszcu wzrosły w latach wojny blisko sześciokrotnie, z 63 do ponad 356 ton.

Od Polaków zaroilo się w portugalskiej stolicy zwłaszcza po klęsce Francji w 1940 r. Autorzy śledzą losy wielu z nich, przedstawiają też dzieje Komitetu Pomocy Uchodźcom Polskim w Portugalii, w którym działali m.in. Jan Kowalewski i Tadeusz Katelbach. Nie zabrakło też informacji o walce wywiadów, emigracyjnych intrygach i swarach, wreszcie o życiu kulturalnym Polaków, którym udało się schronić przed wojennym piekłem właśnie w słonecznej Portugalii.

A. Grzybowski,
J. Tebinka, „Na wolność
przez Lizbonę. Ostatnie
okręty polskich nadziei”,
Warszawa 2018



AUTOPROMOCJA

SIECI

866

DO RZECZY

302

NEWSWEEK

246

WPROST

220

POLITYKA

182

**NAJBARDZIEJ
OPINIOTWÓRCZY
TYGODNIK W POLSCE**



Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki

ŹRÓDŁO: IMM, LUTY 2019



W Garderobie Króla na Zamku Królewskim w Warszawie, od lewej: fotograf Andrzej Wiktor, Maksymilian Prus, Piotr Owczarek, Adam Kozal oraz Damian Parzelski (Fot. Zosia Dąbrowska)

W Niemczech swego czasu karierę zrobił termin „polnische Autodieb”. Dzięki grupce „przedsiębiorczych” rodaków „polski złodziej samochodów” często gościł w niemieckich mediach, gdzie w nagłówkach epatowano nim z naciśkiem na słowo „polski”. Pytanie, czy powinniśmy się wstydić za ten patologiczny margines naszego społeczeństwa, w sytuacji gdy Niemcy zaśmiewający się z kawałów o polskich złodziejach jeszcze kilka dekad wcześniej przez całą okupację kradli systematycznie i systemowo WSZYSTKO. Niemcy kradli nie tylko nasze samochody, lecz również wyposażenia całych fabryk, płody rolne, drewno, węgiel, znaczki pocztowe, dzieci o aryjskiej urodzie... Nikt nie jest w stanie oszacować straconego mienia prywatnych osób, ale ogrom grabieży oddaje liczba 516 tys., ponad pół miliona, pojedynczych dzieł sztuki (o szacunkowej wartości 11,14 mld dol.) zrabowanych przez Niemców. Z kolei tym, którzy rzadko zwiedzają muzea, na wyobraźnię może zadziałać informacja, że z legendarnej winiarni Fukierów w Ryńku Starego Miasta Niemcy trzy dni wywozili ciężarówkami tysiące butelek wina, z czego najmłodsze liczyły 100 lat.

Dla tak ważnego tematu okładowego, jakim jest grabież polskich skarbów kultury, szukałem miejsca do zdjęć o dużym znaczeniu kulturowym i historycznym. Tu miałem dużo szczęścia, dyrektor

Zamku Królewskiego Wojciech Fałkowski bowiem wyraził zgodę na udostępnienie przestrzeni w swojej placówce. Dzięki pomocy Krzysztofa Nakoniecznego wybór padł na Garderobę Króla. Było to ważne wnętrze w Apartamencie Królewskim króla Stanisława Augusta, które pełniło funkcję antykamery. W nim oczekiwali goście przybywający na prywatne audycje do władcy. Piękne, bogato zdobione złote ramy z kolei wypożyczyliśmy od państwa Bożeny i Jacka Danielów, którzy od 1989 r. projektują, oprawiają prace nie tylko prywatnych kolekcjonerów, lecz również dużych placówek kulturalnych. W rolę Niemców wcielił się rekonstruktorzy z GRF Bemowo (Damian Parzelski znany z filmu „Kurier”, Piotr Owczarek, Maksymilian Prus) oraz Adam Kozal – tancerz baletu i aktor w jednej osobie. Sesja była też wyjątkowa z innego powodu. Na plan zdjęciowy w ramach nagrody specjalnej została zaproszona laureatka konkursu plastycznego tygodnika „Sieci” organizowanego od sześciu lat pod hasłem „Polska, moja Ojczyzna” – Zosia Dąbrowska (12 l.) wraz z rodzicami i rodzeństwem (Helenką i Gustawem). To, co mnie skłoniło do zaproszenia rodziny państwa Dąbrowskich z Bydgoszczy, to zdjęcia autorstwa tej młodej damy, ukazujące marszałka Józefa Piłsudskiego, w którego wcielił się jej brat Gustaw. Rośnie mi poważna konkurencja!

MICHAŁ KORSUN



Szkic okładki oraz briefing Michała Korsuna...



...i finalny efekt



Wojciech Fałkowski – dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie – na tle „Dziewczyny w ramie obrazu” Rembrandta



Złote ramy do sesji zostały wypożyczone od państwa Bożeny i Jacka Danielów



„Co by tu jeszcze buchnąć...”



Charakteryzatorka Klaudyna Pabudzińska-Kossek w swoim żywiole



Zwycięzcy konkursu „Polska, moja Ojczyzna” Zosia Dąbrowska (12 l.) z bratem Gustawem



Rodzina Dąbrowskich w obiektywie Zosi, od lewej: mama Hanna, siostra Helenka (8 l.), tata Łukasz oraz brat Gustaw (14 l.)

BOMBOWE MUZEUM

Drugi pobyt w Bydgoszczy nie mógł się obyć bez wizyty w muzeum. Tym razem wybór padł na Explozeum, czyli skansen architektury przemysłowej mieszczący się w byłych niemieckich zakładach zbrojeniowych DAG.

Już samo dotarcie na miejsce, jak na tego typu fabrykę przystało, nie było najprostszym zadaniem. W pobliżu jedynie raz na godzinę zapuszcza się autobus, a z pytanych taksówkarzy tylko jeden znał drogę na miejsce – na obrzeżach miasta, w lesie wchodzącym w obręb Puszczy Bydgoskiej. Początkowe trudności ze wszech miar odpłaca jednak wyjątkowo interesująca i doskonale wykorzystująca walory miejsca ekspozycja.

Zaraz po kupieniu biletu wkracza się na niemal dwukilometrowej długości trasę. Z elektroniczną kartą w ręku, otwierającą napotkane drzwi, przemierza się betonowe pod- i naziemne tunele technologiczne. Kręte korytarze łączą ze sobą siedem budynków. W każdym z nich przygotowane są nowoczesne ekspozycje przedstawiające zarówno dzieje samej fabryki, pracujących w niej pracowników przymusowych i ich ruchu oporu, niemieckich firm chemicznych, jak i życiorys wynalazcy nitrogliceryny oraz zarazem fundatora nagrody swojego imienia Alfreda Nobla czy też rozwój broni od katapulty po bombę atomową. W jednej z postindustrialnych sal zaprezentowano 20 najważniejszych bitew ostatnich 200 lat – obok pancernej bitwy na Łuku Kurskim czy morskich pod Trafalgarem i Cuszimą, wyróżniona jest również nasza rodzima Bitwa Warszawska.

Z racji wyjątkowości obiektu, jakim jest ta była fabryka pocisków, bomb i materiałów wybuchowych, bardzo interesującą część muzeum stanowią opisy poszczególnych budynków, ich przeznaczenia i wyjaśnienia zastosowanych specyficznych rozwiązań konstrukcyjnych. Systemy krętych tuneli prowadzących do schronów, pomieszczenia o kształcie lejków, grube betonowe ściany i lekkie ścianki okienne, za którymi usypywano odpowiednio wyprofilowane wały ziemne – każdy z tych elementów miał spełniać funkcję osłabiającą lub kierującą falę uderzeniową w przypadku wybuchu wytwarzanych tam materiałów.

Faktograficznie istotne są dwie części – poświęcona głównie polskim pracownikom przymusowym zmuszanym w tym miejscu do niewolniczej pracy (wymownym eksponatem jest nekrolog 33 Niemców, którzy zginęli podczas amerykańskiego nalotu fabryki w 1944 r. – nie wspomina on o śmierci 54 nieniemieckich robotników) oraz Armii Czerwonej, która dotarła do Bydgoszczy w styczniu 1945 r. Następujący po tym odjazd półtora tysiąca wagonów towarowych załadowanych różnorodnymi urządzeniami w kierunku wschodnim zakończył historię zakładów zbrojeniowych DAG.

Explozeum jest jednym z najciekawszych muzeów militarnych w Polsce. Przy okazji wizyty w Bydgoszczy naprawdę warto poświęcić trochę czasu, by poznać tajemnice skryte w jego betonowych tunelach.

ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI



FOT. ARCHIWUM AULTORA

NIEMIECKIE HEŁMY MILICJANTÓW



KONRAD
WIESŁAW
ŚLUSARSKI

Wiosną 1946 r. władze bezpieczeństwa zintensyfikowały walkę z podziemiem niepodległościowym, w tym z oddziałami partyzanckimi. Było to związane z planowanym na 30 czerwca tzw. referendum ludowym mającym służyć usankcjonowaniu dotychczasowej polityki reżimu.

Jednym z ważniejszych starć tego okresu był bój stoczony 13 maja na Błatniej k. Brennej, gdzie 10-osobowy oddział plut. Edwarda Biesoka ps. Edek ze zgrupowania NSZ kpt. Henryka Flamego ps. Bartek odparł atak 24-osobowego plutonu operacyjnego Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach. Partyzantom udało się zmusić napastników do odwrotu, zabijając jednego funkcjonariusza UB i ośmiu członków MO. Po stronie oddziału NSZ poległ jedynie dowodzący grupą niespełna 19-letni Edward Biesok, którego leśną mogiłę odnaleziono dopiero w 2013 r.

W czwartek 16 maja 1946 r. władze zorganizowały w Cieszynie uroczysty pogrzeb ośmiu poległym funkcjonariuszom MO, nadając mu charakter manifestacji. Zadbano o odpowiednie miejsce i oprawę, żeby wykorzystać wydarzenie do celów propagandowych w ramach tzw. walki z reakcją. Na trasie przejścia konduktu zgromadzili się liczni mieszkańcy miasta, w tym prawdopodobnie członkowie lokalnego aktywu PPR i podległych organizacji satelickich.

Na prezentowanym zdjęciu kondukt z trumnami skręca z ul. Głębokiej na pl. św. Krzyża, a niezidentyfikowany dotąd autor wykonał

je z okna pobliskiej kamienicy. Ukazane miejsce i budynki można zobaczyć i dziś, choć w ciągu mijających dekad uległy one nieznacznym zmianom. Wzdłuż ulicy stoją prezentujący broń żołnierze Wojska Polskiego (lub Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Wojsk Ochrony Pogranicza), funkcjonariusze UB lub ORMO po cywilnemu z opaskami na ramieniu i przedstawiciele innych formacji.

Niosący trumny funkcjonariusze z Komendy Powiatowej MO w Cieszynie wyróżniają się poniemieckimi, stalowymi hełmami na głowach. Masowe wykorzystywanie przez wojsko i inne formacje zbrojne zdobytego na Niemcach uzbrojenia, elementów ekwipunku czy umundurowania nie dziwi w sytuacji, gdy własny przemysł nie zapewniał pełnego zaspokojenia potrzeb w tym zakresie. Zastanawiać może jednak liczne stosowanie niemieckich hełmów, jednego z najbardziej charakterystycznych elementów wizerunku znienawidzonego okupanta. O ile bowiem w czasie wojny (np. w powstaniu warszawskim) formacje podziemne, nie mając wyboru, były skazane na zdobyczne stahlhelmy,

AR
CHI
WUM
IPN
SEKCJA OPRACOWYWANIA
DOKUMENTACJI
AUDIOWIZUALNEJ

o tyle po jej zakończeniu można było oczekiwać, że władza, choćby ze względów propagandowych, będzie unikać ich stosowania. Jednak, o ile formacje regularnego wojska szybko pozbyły się niemieckich hełmów, korzystając z produkcji krajowej i z sowieckich dostaw, o tyle formacje pomocnicze i bezpieczeństwa, zwłaszcza na ziemiach poniemieckich, w pierwszych latach powojennych stosowały je często, czego świadectwa można znaleźć na fotografiach z tego okresu.

Współcześnie trudno znaleźć źródła opisujące odbiór tej praktyki przez społeczeństwo, jednak wydaje się, iż Polacy pochłonięci codzienną walką o byt w zniszczonym kraju nie zwracali na ten aspekt zbytnej uwagi.

Funkcjonariusze
Komendy Powiatowej MO
w poniemieckich hełmach
podczas pogrzebu w Cieszynie
niosą trumny poległych
towarzyszy, 16 maja 1946 r.





Radosnych Świąt Wielkanocnych

Z okazji nadchodzących Świąt Wielkiej Nocy
Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo
życzy, aby radość zmartwychwstania była obecna
w Waszych sercach i domach